

Marie Ferrarella

Szarada

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Kristina Fortune odłożyła słuchawkę.

Proszę, proszę, Grant się żeni! Cieszyła się ze szczęścia swojego przyrodniego brata, a jednocześnie było jej trochę żal samej siebie. Nie wierzyła bowiem, że kiedykolwiek spotka mężczyznę, dla którego straci głowę. Tym bardziej że po tym, co zrobił David, nie była już tak naiwna i ufna jak dawniej.

Bez ryzyka nie ma zysku, przemknęło jej przez myśl. Ale i nie ma cierpienia.

Wzdychając cicho, podeszła do okna. Zazwyczaj z szesnastego piętra rozciągał się wspaniały widok na centrum Minneapolis. Dziś, jak podało radio, widoczność była zerowa. Lotnisko zostało sparaliżowane. Gęsta mgła otulała miasto niczym białe puchowe boa ramiona pięknej dziewczyny.

Kristina stała zamyślona. Cały dzień towarzyszyło jej uczucie niepokoju, niezadowolenia. Spoglądając przez okno na mleczone opary, zaczęła rozmyślać o swojej babce.

Wciąż nie mogła uwierzyć, że Kate zginęła. Niby stale ktoś umiera, gazety ciągle opisują jakieś tragedie, ale to są cudze tragedie, dotyczące obcych ludzi.

To dziwne, ale sądziła, że Kate zawsze będzie żyła

- że jest wieczna jak słońce, które codziennie wschodzi i zachodzi. Nigdy nie zdradzała żadnych oznak słabości czy zmęczenia.

Kristina zacisnęła palce na małym srebrnym wisioru w kształcie serca. Kiedyś to serce wisiało na bransolecie, z którą Kate się nie rozstawała. Wraz z narodzinami kolejnych dzieci i wnuków Ben Fortune dawał żonie kolejną ozdóbkę do zaczepienia na bransolecie. Srebrne serduszko ofiarował jej w dniu, w którym Kristina przyszła na świat.

Ściskając je w dłoni, Kristina przypomniała sobie, jak wypłakiwała się babce po swoich zerwanych zaręczynach. Okazało się, że Davida, którego kochała do szaleństwa, bardziej pociągało jej nazwisko i pieniądze niż ona sama. Zresztą wkrótce potem, poprzez małżeństwo, wszedł do rodziny o długich tradycjach politycznych. Kristina całą noc przesiedziała u Kate, która zdawała się doskonale rozumieć, jak się czuje osoba zdradzona przez kogoś bliskiego.

Kate... to była niesamowita kobieta. W dodatku nie starzała się tak jak inni - nie miała zmarszczek, ręce się jej nie trzęsły, umysł nie rdzewiał. W wieku siedemdziesięciu lat stanowiła uosobienie młodości i radości życia. Dlatego nie zasługiwała na śmierć.

Łzy napłynęły Kristinie do oczu ale z całej siły je powstrzymała. Kate nie chciałyby, żeby ją opłakiwano. Chciałyby, żeby rodzina kontynuowała dzieło zapoczątkowane przez nią i przez Bena - żeby firma, którą stworzyła wspólnie z mężem, dalej rozwijała się i prosperowała.

Kristina ponownie westchnęła. Przybijały ją te mleczone opary za oknem. Muszę gdzieś wyjechać, pomyślała; uciec stąd choćby na kilka dni.

Zerknęła na dokument, który leżał u niej na biurku i który studiowała od rana. Nie, na więcej niż kilka dni.

Przypomniała sobie wiadomość od Granta. Żenił się z Meredith. Ślub, wesele... a potem podróż poślubna i miodowy miesiąc. Tak! To jest to! Pensjonat dla zakochanych!

Z entuzjazmem, który cechował wszystkie jej poczynania, wróciła do biurka i zaczęła robić notatki. Coś, co wczoraj było jeszcze w sferze wyobraźni, dziś nabierało coraz bardziej realnych kształtów.

W wieku dwudziestu czterech lat Kristina, osoba niezwykle prężna i ambitna - pod tym względem wdała się w babkę - cieszyła się dużym uznaniem swoich współpracowników w dziale reklamy. Miała dziesiątki pomysłów, a dzięki pracowitości i talentowi potrafiła osiągnąć sukces we wszystkim, czego się tknęła.

Wychowana w bogatej rodzinie, pozbawiona jakichkolwiek trosk materialnych, mogłaby całymi dniami pływać się w luksusie, a wieczory i noce spędzać na bankietach. Ale to nie było w jej stylu.

Zaczęła kartkować dokument, który przysłał jej Sterling Foster, doradca prawny rodziny. Na końcu dokumentu dołączona była czterostronicowa broszura wykonana na byle jakim papierze, zawierająca trzy nieciekawe fotografie pensjonatu, w który Kate z niewiadomych powodów zainwestowała spore pieniądze. Przeczytawszy towarzyszący zdjęciom tekst Kristina powróciła do notatek.

Zawsze dążyła do perfekcji. Do zwycięstwa. Chciała być pierwsza i najlepsza. Nie zadowalało jej bycie jednym z wielu członków rodziny. Pragnęła odstawać od reszty.

Tak jak jej babka.

Może to jest moja szansa, pomyślała, ponownie studiując broszurę. Po chwili odłożyła ją na bok i sięgnęła po list, który Sterling przysłał wraz z umową własności i informacjami na temat pensjonatu.

Kochana Kate. Każdemu z dzieci i wnuków zostawiła w spadku nie tylko pieniądze. Jej, Kristinie, zapisała połowę pensjonatu w południowej Kalifornii. Okazało się, że od dwudziestu lat była jego współwłaścicielką, lecz do niczego się nie wtrącała, pozwalając swoim wspólnikom zarządzać wszystkim tak, jak chcą.

Kristina uśmiechnęła się pod nosem. Trudno jej było wyobrazić sobie Kate, która innym daje wolną rękę i do niczego się nie wtrąca. Pod tym względem też wdała się w babkę. Zawsze musiała przedstawić swój punkt widzenia.

Milczących nikt nie słucha, powiedziała kiedyś Kate. Wtedy, przed laty, Kristina potraktowała to jako oczywistość, dopiero później zrozumiała, że jeśli chce się w życiu do czegoś dojść, coś przeforsować, trzeba wyraźnie ludziom o tym mówić; nie liczyć na to, że się sami domyślą.

Postukała różowym paznokciem w zdjęcie na okładce broszury. Tak, będzie to wymagało sporego wkładu pracy. Z przyzwyczajenia poprosiła wczoraj o informacje dotyczące finansów pensjonatu, czyli strat, zysków, podatków

i tak dalej. Dziś rano informacje leżały na biurku. No cóż, nie była to najbardziej udana z inwestycji poczynionych przez Kate.

Zastanawiając się nad tym, Kristina doszła do wniosku, że pewnie Kate pozostawała współwłaścicielką ze względów sentymentalnych. Może tam, w pensjonacie „Rosa”, spędziła z dziadkiem Benem miesiąc miodowy?

Miesiąc miodowy. Romantyczny wyjazd we dwoje. Miłe chwile, które czekają Granta, a których ona z Davidem... Nie, nie warto wracać myślami do Davida.

Powzięła decyzję. W pracy odnosiła same sukcesy; przez dwa lata wymyślała kampanie reklamowe, proste, niewyszukane, lecz przykuwające uwagę klientów. Teraz pragnęła spróbować sił w czymś innym. Tak, marzyło jej się wyzwanie. Coś nowego, coś, co by mogła stworzyć niemal od podstaw. Coś nie związanego z rodzinnym interesem. Popatrzyła na broszurę. Pensjonat na okładce kusił. Bardzo kusił.

Zgarnawszy razem dokumenty, schowała je do dużej brązowej koperty. Znikł nastrój przygnębienia, który towarzyszył jej od rana. Miała jasno sprecyzowany plan działania.

- Dzięki, babciu - szepnęła. - Zawsze wiedziałaś, jak mi pomóc.

Frank Gibson od piętnastu lat pracował w dziale reklamy Fortune Industries. Zaczynał na najniższym szczeblu drabiny i powoli wspinał się do samej góry. Z każdym awansem tracił coraz więcej włosów. Teraz, gdy zajmował stanowisko wiceprezesa, została mu już

tylko odrobina puchu nad uszami, wiedział jednak, że i ona wkrótce zniknie.

Wszystko z powodu stresu.

Popatrzył na śliczną, szczupłą dziewczynę, którą dwa lata temu, bez porozumienia z nim, zatrudniono w jego dziale. Ponieważ należała do rodziny Fortune'ów, nie mógł się temu sprzeciwić. Nie spodziewał się po niej zbyt wiele, ale szybko zorientował się, że jest dobra. Energetyczna, ambitna, utalentowana, o bystrym umyśle i fantastycznej wyobraźni.

Wcale nie chciał, żeby gdziekolwiek odchodziła.

Potańczał dłońmi krawędź biurka; zawsze to robił, kiedy się denerwował.

- O co prosisz? - spytał z niedowierzaniem.

Wiedziała, że w ogóle o nic nie musi go prosić. Tak naprawdę wystarczyło, żeby porozmawiała z ojcem. Na pewno wyraziłby zgodę, zwłaszcza że chodziło o spadek po jego matce..

Jednakże Frank był jej szefem i prawdę mówiąc, dogadywała się z nim dużo lepiej niż z własnym ojcem. Nie chcąc więc sprawić mu przykrości, postanowiła uszanować jego zwierzchnictwo.

- O zgodę na urlop.

Za dwa miesiące wypuszczają na rynek nowe perfumy. Tą sprawą od początku zajmuje się Kristina. Są jeszcze tysiące drobnych spraw do załatwienia.

- Urlop? Teraz? Jesteśmy w samym środku kampanii.

Roześmiała się.

- Frank, my zawsze jesteśmy w samym środku kampanii. Jak nie tej, to innej. - Usiadłszy na kanapie, za-

łożyła nogę na nogę. Lubiła tego pocziwca. Był miły, serdeczny, ale nie nadskakujący. Traktował ją normalnie.

- Poradzisz sobie beze mnie. Zostawiam ci moje notatki, wskazówki, uwagi. Znajdziesz wszystko pod hasłem „Zbawienie”.

Taką nazwę nadała nowemu zapachowi.

Właściwie już tydzień temu, kiedy dostała list od Sterlinga, postanowiła zająć się pensjonatem. Ale ponieważ nigdy nie rzucała się na głęboką wodę, poświęciła ten czas na zebranie informacji o tego typu obiektach.

Frank skrzywił się. Po latach męczarni wreszcie nauczył się pisać listy na komputerze, ale to było wszystko.

- Przecież wiesz, że nie znoszę komputerów. Od tego mam ciebie - zażartował.

Roześmiała się. Wiedziała, że Frank ją ceni. Od pewnego czasu zlecał jej większość kampanii reklamowych. Trzydziestosekundowy film, który wymyśliła, zwiększył sprzedaż „Ukrytego Grzechu” o całe dziesięć procent.

- No dobrze. Przyznaję, jesteś genialna. Będę ci to powtarzał codziennie, tylko nie odchodź.

- Nie odchodzę, Frank. Przecież nie rzucam pracy. Proszę tylko o urlop. - Wstała z kanapy. Z jednej strony, pochlebiało jej, że uważa ją za niezastąpioną, z drugiej, trochę przeszkadzało. - Na dwa miesiące. Może dwa i pół - dodała, mając przed oczami zdjęcie obskurnego pensjonatu.

Zdawał sobie sprawę, że nie ma sensu się z nią kłócić. Była Kristiną Fortune i w przeciwieństwie do zwykłych śmiertelników mogła robić, co chciała.

- A czego chcesz dokonać w ciągu tych dwóch miesięcy?

- Jeszcze nie wiem. - Zawahała się. Czuła, że tam jest jej miejsce. Goś ją wzywało. Może głos babki? W każdym razie wiedziała, że musi tam jechać. - Kate zostawiła mi w spadku pół pensjonatu w Kalifornii...

- W Kalifornii? - powtórzył za nią Frank. - Tam mają trzęsienia ziemi!

Roześmiała się, widząc jego przerażoną minę. Frank należał do osób, które boją się wszystkiego co nowe.

- A my mamy paskudne mgły i tornada.

Prychnął pogardliwie. Za żadne skarby świata nie pojechałby do Kalifornii. Nawet służbowo. Gdyby trzeba było, wysłałby kogoś w zastępstwie.

- Mgła nie zabija.

- To prawda - Kristina wyjrzała przez okno - ale śmiertelnie przygnębia. - Nie musiała się przed Frankiem tłumaczyć, ale ponieważ go lubiła, chciała, by ją zrozumiał. - Po prostu chcę spróbować sił w czymś innym. Stworzyć coś niemal od podstaw.

- I nie zmienisz decyzji? - Pytanie było retoryczne. Znał odpowiedź. Westchnąwszy ciężko, przechylił głowę na bok; przez moment wyglądał jak wróbel przypatrujący się smacznej gliście, - Nie dam rady cię przekonać, żebyś została?

Oczy załśniły jej wesoło, toteż rozłożył bezradnie ręce. Poddał się; cóż innego mógł zrobić?

- No dobrze. Zgadzam się, żebyś wzięła urlop. - Zmarszczył groźnie, czoło. - Powiedz, czy zdarzyło się, żeby mężczyzna kiedykolwiek ci czegoś odmówił?

- Nie - odparła: ze śmiechem. Nawet David niczego

jej nie odmówił. To ona odmówiła poślubienia go, kiedy odkryła, że jego jedyną miłością są pieniądze.

Skierowała się do drzwi, kiedy nagle Frank zawołał:

- Ale serio, co ty tam będziesz robić w tej... no, w tym... - Czekał, aby podała mu nazwę miasta.

- W La Jolli.

- W La Jolli? To nie jest odpowiednie miejsce dla kogoś takiego jak ty. Zwariujesz pośród tych przystojnych, muskularnych nicponi, którzy całymi dniami nic nie robią, tylko ujeżdżają fale.

Frank, światowiec, który nosa nie wychylił poza Minneapolis! Ale wiedziała, że przemawia przez niego troska, i to ją wzruszyło.

- Nic mi nie będzie, Frank. - Postanowiła, że uchyli rąbka tajemnicy. - Chcę wyremontować ten pensjonat. Zmodernizować go. Stworzyć coś, z czego babcia byłaby dumna.

- Mam wrażenie, że gdyby pani Kate zależało na modernizacji, sama by się tym zajęła - powiedział, bojąc się, aby Kristina nie poniosła sromotnej porażki.

- Niekoniecznie. Może nie miała na to czasu?

- A ty masz? - spytał, widząc przed oczami tysiące spraw czekających na załatwienie.

- Poradzisz sobie beze mnie, Frank. - Ruszyła do drzwi; musiała się jeszcze spakować.

- Jak się z tobą można skontaktować?

- Nie można - rzuciła przez ramię. - Sama się odezwę.

Albo i nie, dodała w myślach.

Zgodnie ze, swoim zwyczajem, wszystko zostawiła

N idealnym porządku. Wiedziała, że precyzyjne notatki na temat nowej kampanii pozwolą Frankowi bez trudu zorientować się, co i jak. Była dobra, ale nie była przecież niezastąpiona. Wykonała najtrudniejszą pracę wstępną, teraz pozostały nudne szczegóły, których należało dopilnować, to wszystko.

Postanowiła więcej nie zaprzątać sobie głowy pracą, kampanią reklamową, paskudną pogodą. Liczy się przyszłość.

Kto wie, co się wkrótce wydarzy?

Miała przeczucie, że coś ważnego.

- Hej, Max! - Paul Henning zwinął dłoń w trąbkę; niełatwo było przekrzyczeć warkot dźwięku. - Do ciebie!

Max Cooper odwrócił się w stronę przyczepy. Na widok współnika wymachującego słuchawką westchnął głośno, po czym ściągnął z głowy kask i przecesał palcami włosy. Miał nadzieję, że nie dzwoni kolejny dostawca z informacją, że nie zdąży dostarczyć czegoś w ustalonym terminie. Z powodu potężnych grudniowych ulew budowa osiedla mieszkaniowego już i tak była o miesiąc opóźniona. Wszyscy pracowali teraz pełną parą, aby nadrobić zaległości. I nie płacić kar za niedotrzymanie terminu.

Dając Paulowi znak, że już idzie, ruszył do ciasnej przyczepy, w której mieściło się ich biuro. Od dawna obiecywał sobie, że musi kupić nową przyczepę, większą, wygodniejszą, ale na razie nie miał czasu o tym myśleć.

Paul, mężczyzna wysoki, lecz - w przeciwieństwie do

umięsnionego Maxa - chudy jak patyk, przywarł do ściany, aby Max mógł przejść.

Max wskazał głową na telefon.

- Kto? - spytał bezgłośnie.

- Powiedziała, że to sprawa osobista - odparł szepem Paul. Oczywiście wiedział, kto jest na drugim końcu linii, ale uznał, że zażartuje sobie z przyjaciela.

Osobista? Dziwne, pomyślał Max. Nie był z nikim związany. Z Ritą rozstał się jakiś czas temu. Na pożegnanie wykrzyczała mu, że nie odpowiada jej ktoś, kto ma „cholernego cykora przed zaangażowaniem emocjonalnym”. Podniósł słuchawkę do ucha. Czyżby Rita postanowiła dać mu jeszcze jedną szansę? Oby nie. Odkąd odeszła od niego Alexis, pozwalał sobie wyłącznie na krótkie romanse. Może dlatego, że po Alexis została mu bolesna rana w sercu, która nie chciała się zagoić.

- Halo?

- Max? Mówi June. Przepraszam, że ci przeszkadzam w pracy, ale powinieneś tu jak najszybciej przyjechać. I zobaczyć toto na własne oczy.

Miła, spokojna Jane Cunningham liczyła sobie sześćdziesiąt parę lat i była recepcjonistką w małym pensjonacie, którego Max został jakiś czas temu współwłaścicielem. Najchętniej sprzedałby swój udział, ale nie chciał sprawiać przykrości swym przybranym rodzicom. John i Sylwia Murphy zaopiekowali się zadziornym buntownikiem, od którego inni się odwrócili, kiedy miał trzynaście lat; ofiarowali mu miłość i wychowali go na porządnego człowieka. Zawdzięczał im wszystko.

Skoro postanowili scedować na niego swoją połowę

pensjonatu, nie bardzo mógł im odmówić. Zresztą prowadzeniem „Rosy” zajmowała się June, a on zaglądał tam raz w tygodniu, w piątek po szóstej, żeby sprawdzić, jak sobie radzi. Teraz jednak miał na głowie budowę osiedla, toteż pensjonat był ostatnią rzeczą, o jakiej chciał myśleć. Nie wyobrażał sobie, coś takiego mogło się wydarzyć, aby June, która nigdy go w pracy nie niepokoiła, uznała, że powinien natychmiast przyjechać.

- Jakie „toto”? - spytał. - Co za „toto” mam oglądać?
- Pannę Fortune.
- Kate? Przecież ona nie żyje. Prawie od dwóch lat.

Czytał w prasie, że jej samolot rozbił się na jakimś odludziu w Afryce czy Ameryce Południowej. A potem prawnik rodziny, niejaki Sterling Foster, przysłał mu list z informacją, że postępowanie spadkowe po zmarłej Kate potrwa dłuższy czas, więc na razie pensjonat ma być prowadzony tak jak dotąd.

- Nie Kate. Jej spadkobierczyni - wyjaśniła June. - Kristina Fortune.

Nigdy nie przyszło mu do głowy, że osoba, która odziedziczy po Kate jej połowę pensjonatu, przyjedzie do La Jolli na inspekcję.

- Przyjechała? Osobiście?
- O, tak. I chce się z tobą widzieć. Natychmiast.
- Natychmiast? - powtórzył zdziwiony. Pierwszy raz słyszał, aby June użyła takiego słowa.

Jego rozmówczyni roześmiała się gorzko, po czym zniżyła głos:

- To jej określenie, nie moje. Ale powinieneś przyjechać, Max. Słyszałam, jak mówiła coś o burzeniu ścian.

Co? Kim, do diabła, jest ta Kristina Fortune?! Nie-
szczególnie mu zależało na „Rosie”, ale nie życzył sobie,
by ktokolwiek ją burzył. Tu z Johnem i Sylwią Murphy
spędził sporą część swojego dzieciństwa. Tę najlepszą.

Zasłoniwszy ręką mikrofon, zwrócił się do Paula:

- Mogę cię zostawić samego na kilka godzin?

Jego partner wyszczerzył zęby.

- Właśnie się zastanawiałem, jak się ciebie pozbyć.
Uwielbiam być szefem.

Max odkrył z powrotem mikrofon.

- June? Już ruszam.

- Miło mieć własną nieruchomość, no nie, stary? -
zażartował Paul, ale widząc ponurą minę przyjaciela,
przestał się z nim droczyć. - Co się stało?

- Zdaje się, że moja nowa współpracownica rwie się do
wprowadzania zmian.

Paul nalał sobie drugi kubek kawy.

- Nowa współpracownica?

- Tak. - Max odwiesił na miejsce kask. - Pensjonat
należał do Kate Fortune i moich przybranych rodziców.
Kilka lat temu Kate zginęła w katastrofie samolotu. Przed
chwilą w „Rosie” pojawiła się jej spadkobierczyni. June
uważa, że powinienem przybyć natychmiast.

- Natychmiast? To nie pasuje do June.

- Cytowała Kristinę - odparł Max, wciągając kurtkę.
Energicznym krokiem skierował się do samochodu.

ROZDZIAŁ DRUGI

Zapłaciwszy za taksówkę, Kristina wolnym krokiem zbliżała się do pensjonatu. Hm, na zdjęciach w broszurze nie było widać, że jest aż tak zniszczony, ale - serce zabiło jej szybciej - miał niezaprzeczalny urok i pewien niepowtarzalny styl. A także ogromny potencjał.

Wystarczyłoby tylko zatrudnić solidnego fachowca - i w ciągu paru miesięcy stara, podupadająca „Rosa” zamieniłaby się w mały, romantyczny hotelik przynoszący zysk.

Pierwszy z wielu takich hotelików.

Natychmiast zaczęła opracowywać w myślach szczegóły. Nie była ignorantką. Przed wyjazdem z Minneapolis dokładnie się zapoznała z różnymi aspektami prowadzenia pensjonatu. Pomysł sieci bardzo się jej spodobał. Hoteliki dla zakochanych. Gdyby udało się jej stworzyć coś takiego w La Jolli, mogłaby kupić kilkanaście innych pensjonatów w różnych częściach Stanów. Powstałaby sieć hoteli dla zakochanych i nowożeńców. „Pod Łukiem Amora”...

Nagle potknęła się. Właściwie nie tyle potknęła, co wbiła obcas w szparę między deskami na podłodze. Gdyby nie uchwyciła się poręczy, pewnie by upadła. Psiakość. Ktoś powinien był załatać tę dziurę!

A raczej przeprowadzić gruntowny remont całości, uznała, obejrawszy parter. Po chwili wróciła do holu, w którym mieściła się recepcja. Kobieta, która przedstawiła się jako June, przez cały czas dotrzymywała jej towarzystwa.

Kristina rozejrzała się wkoło. Dziesiątki pomysłów kłębiły się jej w głowie. Na moment zatrzymała wzrok na dużym kamiennym kominku. Wyobraziła sobie tańczące w nim płomienie...

- Kominki.

- Słucham? - June popatrzyła na nią niepewnie.

- Kominki - powtórzyła Kristina. - We wszystkich pokojach trzeba zbudować kominki. Przerobić tę rudę na uroczy romantyczny hotelik.

- Nie ma miejsca na kominki - zauważyła June.

- Znajdzie się. I tak trzeba wyburzyć kilka ścian, żeby zamontować łazienki.

Przed wylotem z Minneapolis poprosiła asystentkę o dostarczenie jej informacji na temat wszystkich zatrudnionych tu osób. June Cunningham pracowała w „Rosie” od ponad dwudziestu lat. Nie sprawiała wrażenia kogoś, kto z entuzjazmem podejrze do proponowanych zmian. Trudno, będzie musiała poszukać sobie nowej pracy. Zresztą lepiej, żeby w odremontowanym hotelu pracowały osoby młode, pełne życia.

- Ma pani książkę telefoniczną? - spytała, coraz bardziej podniecona swym pomysłem. Po co tracić czas? Można od razu wezwać fachowca, prosić o przygotowanie kosztorysu...

June miała złe przeczucia. Podejrzewała, że Kristina

Fortune zamierza zrównać pensjonat z ziemią, a ją i resztę personelu pozbawić pracy. Boże, gdzie Max? Dlaczego go tak długo nie ma? Przecież minęła prawie godzina!

Kristina zauważyła spojrzenie, jakim obrzuciła ją starsza kobieta, zanim schyliła się po książkę. Utwierdziło to ją tylko w przekonaniu, że recepcjonistkę należy zwolnić. Ruszała się jak mucha w smole.

Nic dziwnego, że pensjonat popada w ruinę. Nikt się tu nie spieszy. Ogrodnik, którego widziała na zewnątrz, wyglądał tak, jakby spał na stojąco. Podobno pracuje tu jedna pokojówka. Na szesnaście pokoi. Na razie Kristina jej nie widziała.

June położyła książkę telefoniczną *na* blacie.

- Chce pani wezwać taksówkę? - spytała ze źle skrywaną nadzieją w głosie.

Kristina już nieraz zetknęła się z niechęcią czy wrogością osób podlegających jej służbowo. Większość ludzi nic o niej nie wiedziała, zazdrościli jej pieniędzy i pozycji, a opinię o niej wyrabiali sobie na podstawie zasłyszanych plotek. Nie przejmowała się tym. Nie zależało jej na ich przyjaźni, tylko na tym, by osiągnąć zamierzony cel.

Z niezadowoleniem kartkowała strony. W książce figurowały adresy lokalnych firm budowlanych; nie było z czego wybierać.

- Nie. Szukam dobrego majstra - odparła chłodno.

- Mamy własnego majster-klepkę. To nasz kelner Antonio. On wszystko potrafi naprawić.

No tak, to wiele wyjaśnia, pomyślała Kristina.

- Tu potrzebna jest firma budowlana z prawdziwego zdarzenia, a nie kelner majster-klepka.

June chciała powiedzieć, że Max ma firmę budowlaną, ale w ostatniej chwili ugryzła się w język. Niech sam powie.

- Gdzie tu jest telefon?

Kristina rozejrzała się wkoło. Zaznaczyła ogłoszenie niejakiego pana Jessupa, który obiecywał, że robi absolutnie wszystko, począwszy od wbijania gwoździ, a skończywszy na stawianiu domów. Nie doczekawszy się odpowiedzi, machnęła zniecierpliwiona ręką i wyciągnęła z torebki komórkę. Jeśli taka tu obsługa, nic dziwnego, że pensjonat świeci pustkami.

Słyszac westchnienie ulgi, podniosła głowę. Zobaczyła, jak June wybiega zza lady i pędzi do drzwi. Odwróciła się zaintrygowana.

- Max, ona dzwoni po jakiegoś majstra. Zrób coś!

Domyśliła się, że przybył Max Cooper, współwłaściciel „Rosy”. Wyłączyła komórkę. Telefon do pana Jessupa może poczekać.

- „Łowca z gór powrócił” - mruknęła pod nosem, cytując jednego ze swoich ulubionych poetów.

Zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów. Wysoki, umięśniony, przystojny, ubrany w sprane dżinsy, które opinały jego uda i biodra niczym najczulsza kochanka, biało-niebieską koszulę i kurtkę dżinsową. Z daleka widziała, że ma niebieskie oczy. Właśnie taki odcień tęczy powinien mieć grecki bóg. Spod kowbojskiego kapelusza wystawały ciemne włosy.

Facet na pewno mógłby się spodobać wielu jej kole-

żankom, zarówno wolnym, jak i mężatkom, ale na niej jego uroda nie robiła wrażenia. Na niej wrażenie robiła inteligencja, a komuś, kto dopuścił do takiej ruiny, wyraźnie jej brakowało.

Ocenia mnie jak towar w sklepie, pomyślał Max. Uznał, że nie pozostanie jej dłużny.

Raz w życiu spotkał Kate. Przyjechała na długi weekend, by podpisać jakieś dokumenty. Siedziała na tarasie, a zachodzące słońce tworzyło nad jej głową coś w rodzaju aureoli. Chociaż był wtedy nastolatkiem, czuł, że patrzy na kobietę z klasą.

Teraz patrzył na smarkulę. Na śliczną, zgrabną, długonogą smarkulę, która miała ochotę zagarnąć dla siebie wszystkie zabawki. Ale połowa zabawek należy do niego i nie zamierzał się nimi z nią dzielić. Ani zgadzać na żadne burzenie ścian!

June, wiedząc, że wroga lepiej obłąskawić niż rozdrażnić, postąpiła krok naprzód.

- Max, oto twoja nowa wspólniczka, Kristina...

Nie czekając, aż recepcjonistka ich sobie przedstawi, Kristina przeniosła telefon do lewej ręki, a prawą wyciągnęła na powitanie.

- Kristina Fortune - powiedziała. - Jestem wnuczką Kate. Jedną z kilku.

Nagle przyszło jej do głowy, że nad kominkiem świetnie by wyglądał portret babci. Nawet wiedziała który. Ten namalowany z okazji trzydziestych urodzin Kate, na którym stoi w zielonej sukni i...

- Bardzo mi miło - rzekł Max. Ponieważ nie doczekał się żadnej reakcji, po chwili puścił jej dłoń.

Miał wrażenie, że myślami Kristina jest gdzieś daleko. Wolałby, aby jej ciało dołączyło do myśli i zniknęło z La Jolli. June świetnie sobie radziła z prowadzeniem pensjonatu, nie widział więc powodu, aby cokolwiek zmieniać. A już na pewno nie chciał, by cokolwiek zmieniała Kristina Fortune.

- Buja pani w obłokach?

Speszyła się, jakby przyłapał ją na czymś wstydliwym.

- Tak. Zastanawiałam się, co by najlepiej wyglądało nad kominkiem.

Nad kominkiem wisiła ogromna kolorowa tkanina, którą Sylwia Murphy tknęła własnoręcznie przez wiele, wiele dni. Babka Sylwii pochodziła z plemienia Czerokeeów, tkanina zaś przedstawiała indiańską legendę.

Max zmrużył oczy.

- A co się pani nie podoba w tym, co teraz tam wisi?

Zorientowała się, że Max będzie się sprzeciwiał zmianom. Cóż, ludzie pozbawieni wyobraźni zawsze boją się nowości.

- Nie pasuje do stylu.

O czym ona, do diabła, mówi? Ledwo zdążyła się przedstawić i już chce robić przemeblowanie?

- Do jakiego stylu?

- Do tego, w jakim zamierzam urządzić ten pensjonat. Romantycznego. Stworzymy tu hotelik dla zakochanych. „Pod Łukiem Amora”.

Obserwowała go, ciekawa, czy nazwa mu się spodoba. Nie spodobała się. Hm, trudno. Ale skoro jest współwłaścicielem, to powinna mu wyjaśnić swą koncepcję, prze-

konać do niej. Podejrzewała jednak, że z tym facetem nie pójdzie jej tak łatwo jak z Frankiem.

- Przepraszam. Trochę się zagalopowałam.

Trochę? Max wymienił porozumiewawcze spojrzenie z June. Nie zauważył wyrazu irytacji na twarzy Kristiny. Zsunąwszy z czoła kapelusz, zahaczył kciuki o szlufki w džinsach.

- Jeśli wolno spytać... dlaczego uważa pani, że pensjonat należy na cokolwiek przerabiać?

- Bo trzeba. To chyba oczywiste - odparła protekcyjnym tonem.

- Dla mnie nie. Moim zdaniem dobrze jest tak, jak jest.

- Pańskim zdaniem... - Przez chwilę przyglądała mu się badawczo, jakby próbowała ocenić jego zdolności intelektualne. Sądząc po jej minie, nie miała o nim najlepszej opinii. - Podejrzewam, że nie interesują pana księgi rachunkowe?

Nie, ale to była tylko i wyłącznie jego sprawa.

- June prowadzi księgowość. - Skinął głową w stronę starszej kobiety, która ponownie zajęła miejsce za ladą recepcji. - Ja sprawdzam, czy sumy się zgadzają.

- Za rzadko pan to robi - rzekła Kristina, w myślach dodając: pewnie każdego przestępnego roku.

Pensjonat niewiele go obchodzi. Cieszy się, mogąc go powierzyć opiece June. Sam zaś całą energię wkłada w swoją firmę budowlaną.

- Myśli pani, że wolno tu wpaść jak torpeda i...

Postanowiła mu przerwać, zanim się rozkręci. Szkoda jej było czasu na awantury.

- Nie wpadłam jak torpeda. Normalnie weszłam. I o mało sobie zębów nie wybiłam na nierównej podłodze.

- To niedobrze - zmartwił się.

Gotowa była się założyć, że zmartwiła go nie podłoga, tylko to, że ona, Kristina, zdołała uniknąć nieszczęścia.

- Potem przez godzinę dokładnie sobie wszystko obejrzałam - kontynuowała. - I uważam...

- Że co? Że po godzinie jest pani ekspertem?

Słyszała wyzwanie w jego głosie.

- Nie. Ekspertem byłam, zanim tu dotarłam.

Jeszcze nigdy w życiu nie spotkał osoby tak pewnej siebie i tak zarozumiałej.

- Aha, czyli zna się pani na prowadzeniu pensjonatu?

- Nie. Znam się na finansach i rynkach zbytu.

Przez dłuższy czas nic nie mówił, wiedząc, że ją to denerwuje.

- Na rynkach zbytu? A cóż takiego pani sprzedaje?

- spytał w końcu, przyglądając się jej ironicznie.

Miała ochotę go spoliczkować. Była poważną, odpowiedzialną osobą, która przyjechała tu w konkretnym celu, bynajmniej nie dla własnej przyjemności. Niestety, jej współnikiem i współpracownikiem okazał się człowiek o inteligencji myszy.

- Pracuję w dziale reklamy - oznajmiła. - Obmyśliłam całą kampanię reklamową „Ukrytego Grzechu”.

Wiedział, że „Ukrytym Grzechem” są perfumy. Trafił na próbkę w piśmie, które prenumerował. Połowa stron była nimi nasączona.

- Gratuluję. Choć nie mam pojęcia, co to jest.

Jeśli myślał, że ją zdenerwuje, to się mylił.

- Wcale mnie to nie dziwi. Nie potrafimy docierać do ludzi poprzez sen.

Kiedy indziej może by się roześmiał, ale dziś... Coraz bardziej irytowała go ta zarozumiała smarkula i jej napsuszony ton.

- Niby co to ma znaczyć? Że całymi dniami leżę do góry brzuchem i...

Kristina założyła ręce na piersi. No, facet wreszcie zaczyna rozumieć!

- Pensjonat chyli się ku upadkowi - oświadczyła. - Większość pokoi stoi pustych. Rezerwacje są na żalonym poziomie. A pan...

- Jest poza sezonem - przerwał jej.

Kątem oka dostrzegł, jak June kręci z niezadowoleniem głową. Czego ona chce? Żeby podlizywał się tej wariatce?

- W południowej Kalifornii, gdzie słońce świeci przez cały rok, chyba nie ma podziału na sezon i poza sezonem.

- A pani jest rodowitą Kalifornijką, tak?

Westchnęła. Starła się trzymać nerwy na wodzy, ale Max Cooper robił wszystko, aby straciła nad sobą kontrolę. Chyba już lepiej rozmawiałoby mi się z papugą, pomyślała.

- Jeżeli będzie pan kwestionował każde moje słowo, niczego nie osiągniemy.

- A dlaczego pani uważa, że cokolwiek chcę z panią osiągnąć, panno Fortune? Mnie się ten pensjonat podoba.

Nie zamierzała mu ustępować. Nagle spostrzegła wielką kanapę stojącą przed kominkiem. Styl wczesnoame-

rykański. Tak, jej też się trzeba będzie pozbyć. Podeszła do mebla.

- Przykro mi. - Przejechała dłonią po kwiecistym obiciu. Ciekawe, kiedy ostatni raz je prano? - Połowa budynku *należy do mnie*.

Zdjął jej rękę z oparcia kanapy. Dobrze wiedział, co knuje.

- A połowa do mnie - rzekł. - Bez mojej zgody nie może pani nic zrobić.

Nie może? Nie znała takiego pojęcia.

- Mogę pana wykupić - oznajmiła.

Co za ironia losu, pomyślał. Od dawna marzył o tym, aby sprzedać swój udział w „Rosie” i poświęcić się firmie budowlanej, którą sam stworzył. Teraz nadarza się okazja, a on nie zamierza z niej skorzystać.

Wiedział bowiem, że sprzedaż byłaby zdradą wobec ludzi, którzy przyjęli go do siebie i otoczyli miłością. Zwłaszcza sprzedaż takiej osobie jak Kristina Fortune, która dziesięć minut po podpisaniu umowy wezwała ekipę remontową, wyrzuciła połowę mebli i zwolniła wszystkich pracowników, a na ich miejsce zatrudniła nowy bezduszny personel.

Nie mógł na to pozwolić. Znał tych ludzi od lat; przyjaźnili się. Wbrew temu, co sądzą zadufani kierownicy działu reklam w wielkich, nowoczesnych firmach, istnieje na świecie coś takiego jak lojalność.

- Nie może pani - stwierdził. - Bo mnie sprzedaż nie interesuje.

Co za uparty typ! Przecież widać, że pensjonat nic go nie obchodzi, w przeciwnym razie nie dopuściłby do

takiej dewastacji. Jako osoba logiczna nie znosiła, gdy ktoś zachowywał się irracjonalnie.

- Nie rozumiem, dlaczego chce pan dopuścić, aby to wszystko popadło w ruinę?

Z okien wychodzących na drugą stronę rozciągał się wspaniały widok na ocean. Za takie widoki turyści na całym świecie gotowi są płacić krocie. A tu pokoje stoją puste.

Max nie podzielał punktu widzenia swej współpracownicy. Uważał, że Kristina Fortune ma zbyt wybujałe ego. Znal takie kobiety - jedną z nich była Alexis.

Zacisnął usta.

- A dlaczego pani sądzi, że wszystko popada w ruinę?

Boże, ten facet to kretyn. Przystojny kretyn. Utkwiła wzrok w jego twarzy, której rysy przywodziły na myśl oblicza pierwotnych mieszkańców tych ziem, ludzi wolnych i niepokornych.

- Wystarczy się rozejrzeć - oznajmiła chłodno. - Nawet półgłówek...

June, która bez słowa obserwowała ten pojedynek, w końcu nie wytrzymała. Wyszła zza lady i ustawiła się między nimi. Wiedziała, że dalsza wymiana ciosów niczego nie rozwiąże. Oboje muszą się uspokoić, ochłonać, a potem zacząć od początku. Oczywiście nie obchodziła jej Kristina, ale obchodził Max i przyszłość pensjonatu.

- Panno Fortune, może zawołam Sydney, żeby zaprowadziła panią do pokoju? - Uśmiechnęła się ciepło, zupełnie jakby Kristina była długo oczekiwanym gościem. - Na pewno jest pani zmęczona po locie z...

- Z Minneapolis - odpowiedziała Kristina, nie spu-

szczając oczu z twarzy Maxa, który ledwo tłumił wściekłość.

June skinęła głową, jakby miała nazwę miasta na czubku języka.

- No właśnie, z Minneapolis. Pięć godzin w samolocie - szczebiotała jak ptaszek. - To może człowieka wykończyć. Sydney!

Kiedy ostatni raz ją widziała, Sydney szła do kuchni, żeby coś przekąsić.

Kristina nie czuła się zmęczona, ale wiedziała, że krótka przerwa dobrze jej zrobi. Krzykiem niczego nie osiągnie; musi znaleźć inny sposób na tego upartego kowboja.

Tak, uspokoi się, odświeży, obmyśli nową strategię. Rzadko traciła nad sobą panowanie, ale Cooper działał na nią jak czerwona płachta na byka.

- Dziękuję. - Spojrzała na June. - Chętnie się rozpakuję. - Po czym, przenosząc wzrok na Maxa, dodała: - Zrobiłam mnóstwo notatek i szkiców, które chciałabym panu pokazać.

- Nie mogę się doczekać - mruknął pod nosem.

Puściła jego komentarz mimo uszu. To jest o wiele trudniejsze, niż się spodziewała. Nie zamierza się jednak poddać. Kristina Fortune nigdy się nie poddaje. Zawsze osiąga wyznaczony cel.

Z zaplecza niespiesznie wyłoniła się Sydney. Co za ludzie! - pomyślała Kristina. Czy wszyscy w Kalifornii ruszają się jak muchy w smole? Zresztą, wszystko jedno. Nie zamierza się tu przeprowadzać. Chce tylko zrobić coś z tą walącą się rudera.

June zauważyła w oczach Sydney błysk zainteresowania.

- Sydney, to jest Kristina Fortune, wnuczka Kate, która odziedziczyła połowę „Rosy” - wyjaśniła, po czym przeniosła wzrok na Kristinę. - A to jest Sydney Burnham, najmłodsza z pracujących tu osób.

Przez kilka lat Sydney pracowała w „Rosie” podczas letnich wakacji. Po studiach uznała, że woli senną atmosferę La Jolli od pełnego napięcia życia maklera giełdowego. Studia skończyła cztery lata temu; od tamtej pory pensjonat był dla niej niczym drugi dom. Teraz, rozejrzawszy się dokoła, zauważyła stojące z boku dwie walizki. Podniosła je.

- Miło cię poznać, Kristino - rzekła.

Zdaniem Kristiny, aby wszystko funkcjonowało jak należy, personel nie powinien się zbyt spoufalać z kierownictwem. Tak, stanowczo należy zachować pewien dystans.

- Panno Fortune - poprawiła najmłodszą pracownicę. Max odwrócił się, wznosząc oczy do nieba.

June odczekała, aż nowa współwłaścicielka zniknie na schodach.

- No dobrze, masz chwilę spokoju - powiedziała. - Odpocznij i zastanów się, co dalej...

- Chwila nie wystarczy. Boże, co za rozpieszczone, zarozumiałe, uparte dziewczyszko!

- I pomyśleć, że to są jej zalety! - June parsknęła śmiechem. - Poradzisz sobie, Max. Jakoś ugasisz ten pożar.

Maxowi stanął przed oczami mężczyzna, którego na-

zywał ojcem. Przydałaby mu się teraz jego pomoc. John Murphy był urodzonym negocjatorem. Z każdym potrafił dojść do porozumienia.

- Nie jestem Johnem.

June zawsze podobała się skromność Maxa. Chłopak tak piekielnie przystojny jak on mógł wyrosnąć na zadufanego buca, a zdołał tego uniknąć.

- Nie - przyznała - ale wiele się od niego nauczyłeś. Na pewno znajdziesz sposób, żeby dogadać się z panną Kristiną i trochę ją utemperować.

Miał co do tego spore wątpliwości.

- Wiesz, June... Wydaje mi się, że czasem mnie przeceniasz.

- A mnie się wydaje, że sam siebie nie doceniasz.

- Zadrzała, jakby nagle zerwał się chłodny wiatr. - Musisz coś zrobić, Max. Mam wrażenie, że ona najchętniej wszystkich nas by się stąd pozbyła.

- Ja też mam takie wrażenie - przyznał.

Należy przemówić Kristinie Fortune do rozumu.

Tylko jak?

ROZDZIAŁ TRZECI

Siedziała na szerokim łóżku z podwiniętymi pod siebie nogami i przytkniętą do ucha słuchawką telefoniczną. Nagle przyszło jej do głowy, że do każdego łóżka warto dobudować baldachim; drobna rzecz, a od razu stwarza bardziej romantyczny nastrój.

Za oknem woda z łądem toczyły zażartą dyskusję. Fale gniewnie zalewały brzeg, a drzewa wyznaczające naturalną granicę działki, na której stał pensjonat, potrzęsały gałęziami, jakby wyrażały sprzeciw. Zanosiło się na burzę.

Położenie, piękne widoki - mnóstwo od tego zależy. Reszta zależy od niej, bo na pewno nie *ad* pana Coopera. Jego nie interesowały jej pomysły, ale zamierzała go do nich przekonać. Przecież to miejsce woła o pomstę do nieba.

Głos ciotki wyrwał ją z zadumy, Zadzwoiła do Rebeki od razu po wejściu do pokoju.

- Mówię ci, Rebeko, to trzeba zobaczyć na własne oczy - odpowiedziała po chwili.

Rebeka była jej ulubioną ciotką, może dlatego że przypominała z charakteru Kate. Ponieważ istniała między nimi niewielka różnica wieku, Kristina traktowała Rebeke bardziej jak starszą siostrę niż jak ciotkę. Nawet kiedy

była kilkuletnim brzdącem, zawsze zwracała się do niej po imieniu. „Ciociu” brzmiałoby jakoś dziwnie.

- Widzę tu ogromny potencjał - ciągnęła, zapalając się do tematu. - Należy go wydobyć. Oczywiście będzie to wymagało sporego nakładu pracy, bo na razie pensjonat wygląda koszmarnie. Żebyś widziała te meble!

Rebeka roześmiała się.

- Co? Na stołach makatki, na ścianach kolorowe wycinanki, nad kominkiem wypchany łeb łosia i tak dalej?

Może trochę przesadziłam z krytyką, pomyślała Kristina.

- Nie, aż tak źle nie jest - powiedziała.

Rebeka ponownie wybuchnęła śmiechem.

- Kocham takie miejsca! Zwłaszcza stare domy, w których straszy.

Tu nie straszy, pomyślała Kristina. „Rosa” się rozpada.

- Przemawia przez ciebie pisarka, która uwielbia mroczne tajemnice i zagadki. Co innego byś mówiła, gdybyś przyjechała tu jako zwykła turystka.

- Masz rację, kochanie. Czasem ponosi mnie fantazja.

- Rebeka na chwilę zamilkła, po czym dodała: - Wiesz, może dlatego, że w swoich powieściach ciągle rozwiązuję różne zagadki, nie potrafię pogodzić się ze śmiercią Kate. - Westchnęła głęboko. - Coś mi w tym wszystkim nie daje spokoju.

Kristina zadumała się; nie wiedziała, czy pisarze mają jakieś przeczucia nieznanne zwykłym śmiertelnikom, czy też ciotka najzwyczajniej w świecie nie chce przyjąć do wiadomości smutnej prawdy. Zrobiło się jej żal Rebeki. Owszem, szczątki, które znaleziono na miejscu katastrofy,

były tak spalone, że identyfikacja zwłok okazała się niemożliwa, ale przecież Kate leciała samolotem sama. Nikogo z nią nie było. Zresztą od katastrofy minęły już prawie dwa lata...

- Rebeko... - zaczęła łagodnie.

- Wiem, co chcesz powiedzieć. Żebyś pogodziła się z losem. Ale nie mogę. Potrzebuję jakichś dowodów. Dlaczego mam wierzyć komuś na słowo? Stale mi się wydaje, że to nie koniec. Że tak jak na filmach: ciąg dalszy nastąpi. Tylko nie wiem kiedy.

Nie było sensu wyklócać się z Rebeką. Odznaczała się nie mniejszym uporem od Kate. Była to cecha, którą Kristina z nią dzieliła.

- A ten detektyw, którego ty i ojciec zatrudniliście, niczego nie znalazł? Żadnych śladów?

- Gabriel pracuje bez wytchnienia, ale niestety... Zresztą ma pełno innych spraw na głowie. Teraz, na przykład, szuka czegoś, co by potwierdziło niewinność Jake'a. Wiem, że Jake nie zabił Moniki Malone i wkrótce to udowodnimy. Potem znów zajmiemy się sprawą katastrofy. Nie poddam się, dopóki nie uzyskam satysfakcjonujących odpowiedzi. - Z tonu Rebeki wynikało, że nie chce dłużej rozmawiać ani o detektywie, ani o Kate. - A ciebie kochanie, też czeka mnóstwo pracy. - Urwała. - Właściwie mama nigdy nie mówiła o tym pensjonacie.

Kristina pogładziła narzutę na łożku. Ciekawy wzór, ładny materiał, tylko miejscami postrzępiony. Wszystko się tu sypie.

- Nie dziwię się - rzekła ze śmiechem. - Ja bym się czymś takim też nie chwaliła.

- Więc co? Robisz generalny remont?

Kristini usiadła wygodniej, jakby szykując się do walki, którą będzie musiała stoczyć.

- Tak, chciałabym zacząć jak najszybciej. Tylko najpierw muszę przekonać do tego pomysłu kowboja Maxa.

- A kimże jest kowboj Max?

Nagle uzmysłowiła sobie, że w swojej opowieści pominęła ten drobny szczegół.

- Współwłaścicielem „Rosy” - wyjaśniła.

- Jak to? Myślałam, że współwłaścicielami są małżonkowie Murphy.

- Byli. Ale potem uznali, że czas przejść na emeryturę i przekazali pensjonat swojemu przybranemu synowi. - Kristina wzruszyła ramionami. - Nie bardzo ich interesowało, co się dalej stanie z ich własnością.

Rebeka domyśliła się reszty.

- Coś mi się zdaje, że nie przypadliście sobie do gustu?

Kristina uśmiechnęła się pod nosem. Wielokrotnie to samo chciała powiedzieć o Rebecce i detektywie Gabrieli Devereax.

- Można to tak ująć - rzekła. - A jeśli chcesz znać prawdę, rzuciliśmy się na siebie jak dwa bezpańskie psy na kość.

- Niedobrze, kochanie. Lepiej uważaj tam na siebie.

- Nie przejmuj się mną. Mam rozum, pieniądze i wpływy.

I co najważniejsze, starannie obmyślony plan - kampanię reklamową, wstępny projekt, harmonogram pracy. Remont zająłby sześć, siedem miesięcy. Gdyby natych-

miast do niego przystapiono, latem można by przyjąć pierwszych gości.

- A jedyne, czym się może pochwalić kowboj Max, to seksowny uśmiech i ptasi mózdzek - dodała po chwili.

Nagle usłyszała pukanie do drzwi.

- Rebeko, muszę kończyć. Słuchaj, będę zajęta, więc nie licz na codzienne raporty, dobrze? Aha, i powiedz rodzinie, że kiedyś się odezwę.

- W porządku. Ja też będę dość zajęta. Nie pozwolę, żeby Jake'a skazano.

Kristina, podobnie jak reszta Fortune'ów, nie wierzyła że jej stryj Jake, człowiek szlachetny, poważny, zamknięty w sobie, mógłby kogokolwiek skrzywdzić.

- Wszyscy wiedzą, że nie zabił Moniki - ciągnęła Rebeka.

Pukanie powtórzyło się. Kristina spojrzała zniecierpliwiona na drzwi.

- Wszyscy prócz oskarżyciela. Czy wyznaczono już termin rozprawy?

- Tak. Początek marca.

- Do tego czasu na pewno wrócę - obiecała Kristina. Wiedziała, jak ważne jest, aby rodzina wystąpiła w komplecie, wsparła Jake'a swoją obecnością. - Powodzenia, Rebeko. I do zobaczenia za kilka tygodni.

Pukanie, głośne i natarczywe, rozległo się po raz trzeci. Pewnie on, pomyślała. Wali, jakby się paliło. Odłożywszy słuchawkę na widełki, zawołała:

- Proszę!

Nacisnął klamkę i tłumiąc złość, wszedł do środka. Zanim zastukał, niechcący usłyszał fragment rozmowy.

A więc Kristina Fortune uważa, że on ma ptasi mózdzek? W porządku. Z przyjemnością udowodni jej, jak bardzo się myli.

Z chwilą, gdy Max przekroczył próg, poczuła się nie-swojo. Jakby nagle straciła całą pewność siebie. Spuściła nogi na podłogę i wstała z łóżka. Boso sięgała Maxowi zaledwie do ramienia. Wzrost dawał mu niesłuszną przewagę. Czym prędzej wsunęła stopy w buty na wysokich obcasach.

Zastanawiała się, po jakie лихо przyszedł do niej do pokoju. Przecież go nie zapraszała. Z jego twarzy nie zdołała nic wyczytać.

- Bał się pan, że zacznę remont bez pana?

Wsunął palce w szlufki i zmierzył Kristinę ostrym wzrokiem. Potwornie go drażniła, ale zdawał sobie sprawę, że przez wzgląd na wszystkich powinien wykazać maksimum cierpliwości i dobrej woli.

- Przeszło mi to przez myśl - odpowiedział.

Denerwowało ją, że nie potrafi rozszyfrować wyrazu jego oczu. Nie wiedziała, czego się po nim spodziewać: wrogości, chłodu, bo chyba nie przyjaźni?

- A więc...?

Pamiętał życzliwą przestroagę June. Starannie dobierając słowa, odparł:

- Obawiam się, że początek naszej znajomości wypadł dość niefortunnie...

Czyżby próbował ją przeprosić? Popatrzyła mu w oczy. Nie, to nie była skrucha.

- To prawda - przyznała, czekając na dalszy ciąg.

Ona ma w sobie coś irytującego. Przeszedł na górę,

żeby spokojnie z nią porozmawiać, oczyścić atmosferę, wytłumaczyć, dlaczego jest przeciwny zmianom. Wcale nie chciał jej mordować, chociaż było to kuszące. Policji wyjaśniłby, że ugryzła się i umarła zatruta własnym jadem.

Zmusił wargi do uśmiechu.

- Chciałem panią... ciebie... Skoro jesteśmy współnikami, to może mówmy sobie po imieniu, dobrze? A więc chciałem cię zaprosić na kolację.

No, no, co za zmiana! Prawie go nie poznawała. Przyjrzała mu się podejrzliwie.

- Dokąd?

Chryste! Co za różnica? Przecież nie próbuje zaciągnąć jej do łóżka!

- Do restauracji. Na dole - odparł.

- Dobrze. Zresztą i tak chciałam wypróbować tutejszą kuchnię. W trakcie posiłku możemy omówić interesy.

Zaproszenie było po to, aby załagodzić konflikt. Jeżeli zaczną omawiać interesy, dojdzie do kolejnej awantury. To się całkiem mija z celem.

Max podszedł parę kroków bliżej, zmniejszając dystans między sobą a Kristiną. Miała wrażenie, jakby z każdym krokiem coraz bardziej odcinał jej dopływ powietrza.

- Zostawmy interesy na później, a na razie po prostu spędźmy miło wieczór, poznamy się lepiej...

Ciszą wstrząsał ogłuszający huk. Kristiną podskoczyła i spojrzała w stronę okna, spodziewając się, że zobaczy roztrzaskaną szybę. Gdy niebo przecięła błyskawica, Kristiną wypuściła powietrze z płuc. Potem odwróciła się i zderzyła się z Maxem. Przeszył ją dreszcz.

Czym prędzej wzięła się w garść i skupiła na rozmowie.

- Po co?

Pytanie go zaskoczyło.

- Nie starasz się poznać ludzi, z którymi robisz interesy?

Nie ufała mu. Czuła, że Max Cooper coś knuje. Niestety, czuła również korzenny zapach jego wody kolońskiej, który działał na nią odurzająco, a nie lubiła, aby cokolwiek ją odurzało lub rozpraszało jej uwagę.

- Nie zależy mi na tym.

Najwyraźniej ta kobieta traktuje kolację jak przykry obowiązek.

- Na pewno spędzimy uroczy wieczór - oznajmił Max, nie kryjąc ironii.

David był wyjątkowo czarującym człowiekiem. Ufała mu bezgranicznie, wierzyła we wszystko, co mówił. Wykorzystał jej naiwność. Przysięgła sobie, że więcej nie powtórzy tego błędu, ani w życiu osobistym, ani zawodowym.

- Nie przyjechałam tu w celach towarzyskich - stwierdziła chłodno. - Przyjechałam w interesach.

Raczej przyleciałaś na miotle, pomyślał Max. Zastanawiał się, czy drażnienie innych sprawia jej przyjemność. Ni stąd, ni zowąd chwycił ją za rękę i zdecydowanym krokiem wyszedł na korytarz.

Zaskoczona, próbowała się oswobodzić.

- Przestań! Puść!

Zignorował jej protesty. Siłąc się na cierpliwość, wyjaśnił uprzejmym tonem:

-- Sądzę, że kiedy zaznajomisz się z otoczeniem, z ludźmi, którzy tu pracują, zrozumiesz...

Wiedziała, do czego Max zmierza, ale tylko tracił czas. Podjęła już decyzję i zmiana planów absolutnie nie wchodziła w grę.

- Och, nie wątpię, że są bardzo mili, ale „Rosa” nie jest ich domem. Jest pensjonatem, który powinien przynosić zyski. I dopilnuję, żeby to się stało.

Nie chciał robić sceny, dlatego puścił Kristinę i odczekał, aż starsze małżeństwo wynajmujące jeden z pokoi na piętrze zejdzie na dół. Dopiero po chwili kontynuował:

- Mylisz się.

No jasne. Mężczyźni nie potrafią przyznać kobiecie racji.

- W czym?

Ponownie zacisnął dłoń na jej przedramieniu i skierował się ku schodom. A jednak nie uda się uniknąć awantury, pomyślał.

- Mówiąc, że to nie jest ich dom. Personel mieszka na terenie pensjonatu. Ja też tu kiedyś mieszkałem.

No tak, to wiele wyjaśnia.

- Dla dorastającego chłopca to na pewno było wspomniane miejsce, ale...

Poczuł, jak wstępuje w niego furia. Psiakość, nie po to zaprasza ją na kolację, żeby się z nią kłócić. Chce ją przekonać do swoich racji, a gdyby mu się nie udało, wtedy pójść na kompromis. Podejrzewał jednak, że Kristina należy do osób, które nie uznają kompromisów.

Znów ją zaskoczył, tym razem przykładając palec do jej ust.

- Dajmy temu na razie spokój. Usiądźmy przy stole, zamówmy steki, zjedzmy, i dopiero wtedy wrócimy do interesów, dobrze? - Popatrzył na nią badawczo. - Chyba że jesteś wegetarianką?

Z tonu Maxa wywnioskowała, że wegetarianie nie cieszą się jego sympatią. Z czystej przekory miała ochotę powiedzieć, że nie jada mięsa. Drażnił ją. Może dlatego, że traktował ją jak rozkapryszone dziecko, a nie dorosłą kobietę z głową do interesów. A może dlatego, że był tak przystojny jak David.

Jeśli chodzi o ścisłość, był od Davida dużo przystojniejszy. Właściwie nie ma to żadnego znaczenia, bo była odporna na męski urok. I na pewno pod wpływem uwodzicielskiego uśmiechu czy zalotnego spojrzenia nie zmieni podjętej decyzji.

- Mogą być steki - odparła. - Dla mnie krwisty.

Nie przyznała się, że przepada za krwistym stekiem.

- No, nareszcie się w czymś zgadzamy...

Uśmiech faktycznie miał uwodzicielski. Wzruszyła ramionami.

- W sprawie tego wszystkiego - wykonała ręką taki gest, jakby chciała objąć nim cały pensjonat - też dojdziemy do porozumienia.

Prędzej mi kaktus na dłoni wyrośnie, pomyślał.

Kątem oka zauważył, że June im się przygląda. Skinął do niej głową, po czym wprowadził Kristinę do mieszczącej się na tyłach budynku jadalni.

Była to przestronna sala o drewnianej podłodze i wielkich oknach, z których rozciągał się zapierający dech w piersiach widok. Chociaż podawano tu doskonałe

posiłki, główną atrakcją restauracji był niewątpliwie fantastyczny krajobraz morski.

Kristina nie mogła oderwać od niego oczu - ciemne burzowe chmury w górze, a niżej rozhukane fale.

Nie uszło to uwadze Maxa.

- Podoba ci się? - spytał. - Czy może widok też byś chciała ulepszyć?

Zacisnęła wargi. Nauczyła się mówić ostrym, rozkazującym tonem, bo inaczej nikt jej nie słuchał. Kiedy wcześniej grzecznie coś tłumaczyła czy proponowała, wszyscy ją ignorowali. Widzieli w niej „wnuczkę Kate” albo „córeczkę Nathaniela”. Owszem, była wnuczką Kate, była córką Nate'a, ale była również inteligentną kobietą, której należał się szacunek. Dlatego zmieniła swój sposób bycia, stała się rzeczowa, wymagająca, bezkompromisowa.

- Nie, do widoku nie mam żadnych zastrzeżeń, czego niestety nie mogę powiedzieć o oknach - odparła kąśliwie. - Są brudne.

Zastanawiał się, czy gdyby udusił ją tu i teraz, goście straciliby apetyt, czy nagrodziliby jego wyczyn oklaskami.

Do stołu podeszła Sydney. Tak jak Antonio, w porze posiłków pomagała w restauracji.

- Powiedz Samowi, że zamawiamy dwa steki. Krwiste.

- Coś do picia? - spytała dziewczyna, stawiając na stole koszyk z pieczywem.

Max miał ochotę na podwójną whisky, ale wiedział, że nie może sobie na to pozwolić; do walki musi przystąpić z czystą głową.

- Woda. Dwie wody.

Kristina obruszyła się.

- Cóż to? Nie mam prawa głosu?

- Przepraszam. Nie chciałem być nieuprzejmy. Na co masz ochotę?

- Poproszę kawę mrożoną.

- To wszystko? - spytała Sydney, patrząc na Maxa.

- Tak. Tylko powiedz Samowi, żeby nie kazał nam zbyt długo czekać.

Na ogół kucharz nie spieszył się; pozwalał gościom popijać aperitif i podziwiać widok za oknem. Max jednak pragnął, aby kolacja z tą małą złością trwała jak najkrócej.

- Oczywiście, Max. - Sydney uśmiechnęła się szeroko do swojego szefa. - Panno Fortune... - Skinęła głową do Kristiny i oddaliła się do kuchni.

Kristina rozłożyła serwetkę na kolanach, po czym odłamała kawałek bułki. Pieczywo powinno być ciepłe, pomyślała. Zerknęła na Maxa, ale uznała, że nie ma sensu zwracać mu uwagi na takie drobiazgi. Jednak nie wszystko mogła przemilczeć.

- Nie powinieneś pozwalać, żeby mówiła do ciebie po imieniu.

On również odłamał kawałek bułki.

- To śmieszne, bo wiesz, co chciałem powiedzieć? Że mogłabyś zrezygnować z tej „panny Fortune”.

Zmrużyła oczy; źle znosiła krytykę, zwłaszcza gdy uważała, że jest ona nieuzasadniona.

- Dlaczego?

To chyba oczywiste. Ale może nie dla księżniczki.

- Bo to stwarza dystans - odparł.

Nie wiedziała, o co mu chodzi. Odłożyła bułkę na

bok. Jadła niewiele, a chciała zostawić miejsce na główne danie.

- I bardzo dobrze.

Westchnął głęboko. Cóż, w tej sytuacji powinien wyjaśnić jej kilka spraw. To jasne, że Kristina nie przywykła do kontaktów z normalnymi ludźmi.

- Powinnaś ich traktować jak rodzinę, a nie jak pracowników.

Co za brednie wygaduje ten facet? Aż ją zamurowało.

- Przecież są pracownikami. Dostają pensję. A jeżeli będą dobrze wykonywać swoje obowiązki, pod koniec roku otrzymają premię. - Nie była bezduszna. Wiedziała, jak trudno jest dojść do czegoś w życiu.

Stracił apetyt.

- Ludzie to nie tresowane zwierzęta, Kristino - rzekł.
- Nie można ich karać i nagradzać; trzeba rozumieć. A ty wszystkich do siebie zrażasz. Wiesz o tym?

Czuła, że kiepsko im się będzie współpracowało.

- Nie lubisz mnie, prawda, Cooper? Ale nie szkodzi. Wspólnicy nie muszą się lubić.

- Byleby jeden wspólnik słuchał drugiego, tak?

- Jeżeli ten drugi ma dobre pomysły...

Czy on naprawdę tego nie rozumie?

- Dobre pomysły na duży zarobek?

- Co w tym złego? - zapytała.

Psiakość, jeżeli nie zależy mu na zysku, to dlaczego bawi się w hotelarza? Dlaczego nie sprzedał pensjonatu?

Zanim zdążył odpowiedzieć, pojawiła się Sydney ze stekami. Stawiając talerze, zerknęła na Maxa ze współczuciem.

Smacznego, Kris - powiedział, siłąc się na uśmiech.

Nienawidziła drobnień.

- Mam na imię Kristina - oznajmiła, dobitnie wymawiając każdą sylabę. - Kristina, nie Kris.

Masz na imię Wiedźma, pomyślał, nastawiając się na długi i męczący wieczór.

- Smacznego, Kristino.

Zadowolona, skinęła głową, jakby chciała powiedzieć: punkt dla mnie. Po chwili ukroiła kawałek mięsa. Musiała przyznać, że było bardzo smaczne, ale oczywiście porcje powinny być mniejsze, a składniki ułożone w sposób bardziej artystyczny. Nowożeńcy nie przykładają zbyt wielkiej wagi do ilości jedzenia na talerzu.

Podniosła oczy i zobaczyła, że Max się jej przygląda.

- Zastanów się, Cooper. W pensjonacie jest szesnaście pokoi, z czego tylko pięć jest wynajętych.

Maxowi przeszedł apetyt.

- A zmiany, które proponujesz, sprawią, że nie będziemy mogli opędzić się od gości?

- Tak! - Pochyliła się do przodu; oczy lśniły jej z podniecenia. - Będziemy robić rezerwacje z dwumiesięcznym wyprzedzeniem.

Zdumiewał go brak wątpliwości Kristiny Fortune. Nigdy nie prowadziła pensjonatu, więc...

- Jesteś bardzo pewna siebie.

- No, oczywiście! - W jej głosie nie było wahania.

- Skąd się to bierze? Ta wiara, że wszystko się uda? Przecież mu mówiła, tylko pewnie jej nie słuchał.

- Stał, że znam się na interesach - odparła.

- Czyli traktujesz „Rose” jak maszynkę do robienia pieniędzy?

- Naturalnie. - Spojrzała mu prosto w oczy.
- Posłuchaj... - Przybrał cierpliwy ton nauczyciela tłumaczącego zadanie opóźnionemu w rozwoju dziecku.
- Wspomniałem ci wcześniej, że dla nas wszystkich ten pensjonat jest jak dom...

- Oszczędź mi sentymentów, Cooper - przerwała mu.
- Dom domem, a tobie po prostu wygodniej jest nic nie robić. Ale nie martw się. Nie zagonię cię do roboty. Sama się wszystkim zajmę. Wynajmę ekipę, przeprowadzę remont. A ty możesz sobie dalej zbijać bąki. - Popatrzyła na niego z pogardą. - Postaram się zbytnio nie zakłócać ci spokoju. Ani hałasem, ani szelestem pieniędzy, jakie zaczną później napływać.

Spróbował tak, jak kazała mu June: zaprosił Kristinę na kolację, chciał być miły. Nie wyszło.

- Powiedz mi, Kristino, bo nie bardzo się orientuję... Czy kiedy człowiek ma wypchany portfel zamiast serca, to łatwiej mu się żyje, czy trudniej?

Co za bezczelność! Jakim prawem ją obraża?

- Skoro chcesz mnie zranić, nie będziemy rozmawiać.

- Rozmawiać? My nie rozmawiamy! - Podniósł głos, nie przejmując się, że ktoś ich może usłyszeć. - Ty stawiasz żądania. Ty nie rozmawiasz. Chyba w ogóle nie wiesz, na czym polega rozmowa.

Wstała od stołu i cisnęła serwetkę na krzesło. Nie zamierzała tego dłużej słuchać, a tym bardziej nie zamierzała wdawać się w awanturę w obecności innych ludzi.

- Podziękuj ode mnie kucharzowi, Stek był znakomity. Czego nie da się powiedzieć o towarzystwie przy stole. - Z dumnie uniesioną głową opuściła jadalnię.

Podobnie jak inni goście, Sydney z zaciekawieniem obserwowała, co się dzieje. Po wyjściu Kristiny podeszła do stołu, żeby zabrać jej talerz.

- Nie przejmuj się, Max - powiedziała. - Ja na twoim miejscu chyba bym jej dała w pysk.

Max westchnął.

- W takim razie dobrze, że nie byłeś na moim miejscu.

Spojrzał na talerz. Jedzenie rzeczywiście było doskonałe, ale niestety nie miał czasu się nim rozkoszować.

- Powiedz Samowi, że stek jest świetny - poprosił dziewczynę, po czym czując na sobie wzrok innych gości, wybiegł za Kristiną.

Cholera, musi się z nią jakoś dogadać. Są współnikami. Marzył o tym, aby znaleźć się z powrotem na placu budowy. Ze stałą, piachem i betonem umiał sobie radzić, natomiast nie potrafił z przemądrzałymi, nadzianymi babami, które zamieszkiwały całkiem obcy mu świat.

Świat, do którego tak chętnie przeniosła się Alexis. Bez skrupułów zerwała zaręczyny i szybkoitko poślubiła nowo poznanego bogacza. Jak się dobrze zastanowić, mąż Alexis jest męskim odpowiednikiem Kristiny. Nic dziwnego, że z miejsca poczuł do niej niechęć.

Minał urzędującą w recepcji June. Starsza kobieta bez słowa wskazała na drzwi. Wzdychając ciężko, Max wybiegł pośpiesznie na zewnątrz. Zobaczył, jak Kristiną kieruje się w stronę plaży. Wspaniale. Może się utopi.

Przeklinając pod nosem, rzucił się za nią biegiem.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Głupia baba. Wystraszył się, że wejdzie do wody i fala zniesie ją daleko od brzegu. A potem on będzie się tłumaczył miejscowej policji, że to wcale nie była jego wina.

- Stój! - krzyknął, usiłując ją dogonić.

Nie obejrzała się ani nie zwolniła, zupełnie jakby nie słyszała jego wołania. Kto wie, czy wręcz nie przyspieszyła kroku.

Max również przyspieszył. Cholera jasna! Jakby mało miał problemów z budową, to teraz musi się jeszcze zajmować bogatą, upartą smarkulą, która ubzdurała sobie remont pensjonatu.

- Hej! Poczekaj!

Złapał ją za ramię i obrócił do siebie. W słabym blasku księżyca widział wściekłość w jej oczach. Ładne miała oczy i bardzo ładną twarz - twarz, która podobałaby mu się, gdyby należała do innej kobiety.

- To niebezpieczne gnać tak przed siebie, kiedy nie zna się terenu! O tej porze roku prąd bywa bardzo silny. Fala mogłaby cię znieść kilometr od lądu, zanim zdążyłabyś wezwać pomoc!

Akurat ty byś się tym przejął, pomyślała gniewnie, próbując strząsnąć jego rękę.

- Wiem, co robię - warknęła. - I jeśli cię to interesuje, nie mam najmniejszego zamiaru topić się jak Ofelia. Posiadam doskonały zmysł orientacji.

- Rany boskie, o co chodzi? - Max widział tylko jedno wytłumaczenie dla jej dziwnego zachowania: ktoś musiał ją kiedyś bardzo mocno skrzywdzić. On podobnie się zachowywał, kiedy Alexis go rzuciła. Ale to oczywiście nie daje Kristinie prawa do wyładowywania furii na wszystkich wokół. - Facet cię rzucił czy co?

Podniosła głowę i wbiła w Maxa wzrok. Nie, nikt jej nie rzucił. To ona zostawiła Davida. Ale zostawiła dlatego, że nie kochał jej, lecz wyłącznie jej pieniądze i pozycję społeczną.

Przymrużyła powieki.

- Uważasz, że kobieta nie może być wściekła bez powodu? Myślisz, że zawsze chodzi o faceta?

Przez moment udawał, że się nad tym zastanawia. Nie dziwił się mężczyźnie, który od niej odszedł. Tylko szalenie zadawałby się z taką wariatką.

- Tak myślę - powiedział w końcu.

Przeczesała ręką potargane włosy. Klamerki, które niedawno przytrzymały ją w miejscu, powyrywał wiatr.

Max nie spuszczał z niej oczu. Miała wrażenie, że przenika ją na wskroś. Znowu poczuła się niezręcznie.

- No dobrze, zgadłeś. Faktycznie chodzi o faceta, ciebie.

Uniósł zdziwiony brwi. Postanowiła wyprowadzić go błędu, zanim pomyśli sobie Bóg wie co.

- Chciałam być sama. Nie miałam ochoty dłużej patrzeć na ciebie. - Skrzywiła się jak na widok upartej pla-

my, która nie daje się wywabić. - Niestety, szczęście mi nie dopisało.

Nie dam się sprowokować, powtarzał w myślach; nie dam się sprowokować. Ale nie było to łatwe. Zdobywając się na maksymalne poświęcenie, wyciągnął rękę do zgody.

- Może wreszcie zakopiemy topór, co? - spytał.

Spojrzała na jego pokrytą odciskami dłoni. Była to dłoń człowieka, który nie boi się ciężkiej pracy. Może więc Max Cooper wcale nie zbija bąków? Może tylko jest uparty jak osioł?

Ignorując wyciągniętą rękę, zerknęła na jego twarz.

- A może wreszcie porozmawiamy jak dwoje rozsądnych ludzi? - Podniosła głos, żeby słyszał ją ponad rykiem fal. - Fakty są następujące. Po pierwsze, pensjonat nie przynosi zysku. Po drugie, działka, na której stoi, warta jest kupę pieniędzy.

Korciło go, aby zatkać jej usta.

- Po trzecie, mam kapitał, dzięki któremu można przerobić „Rose” na prawdziwe чудо. Po czwarte...

Przycisnął wreszcie dłoń do jej ust.

- ...jestem współwłaścicielką - dokończyła, strząsając ze złością jego rękę.

- Jak również straszliwą zrzęda.

To nie tylko uparty osioł. To neandertalczyk!

- Nawet nie wyobrażasz sobie, jakiego rzędu zyski będziemy mogli osiągać.

Stał koło pięknej kobiety w jednym z najpiękniejszych zakątków w całym stanie. W takim miejscu ludzie nie powinni się kłócić, pomyślał. Dlaczego magia sze-

rokiej, złocistej plaży i rozhlukanych fal nie działa na Kristinę kojąco? Dlaczego...

Postanowił spróbować jeszcze raz.

- Może pomieszkaj tu parę dni, rozejrzyj się po okolicy, pooddychaj świeżym powietrzem, zanim podejmiesz decyzję o zmianach?

- Nie muszę. I bez tego wiem, że pensjonat ma ogromne możliwości, których ty nie potrafisz wykorzystać.

Wsunąwszy ręce do kieszeni, ruszył brzegiem wody. Po chwili Kristina zrównała się z nim. Czuł się jak generał Lee, głównodowodzący wojsk Konfederacji, tuż przed kapitulacją w Appottomax - wiedział, że musi się poddać, ale chciał, aby przynajmniej podlegli mu żołnierze mogli zatrzymać swe szable.

- Jeżeli nastąpią tu zmiany - rzekł - wiedz, że na jedno nigdy się nie zgodzę. Nie pozwolę na żadną, jak wy to mówicie, „redukcję etatów”. Personel zostaje.

- Ale jeśli ktoś nienależycie wykonuje swoją pracę...
- zaczęła Kristina.

Zatrzymał się i wbił w nią oczy.

- Robią, co do nich należy. Ja nie mam zastrzeżeń.

Zdziwiła ją stanowczość malująca się na jego twarzy; był jak kwoka broniąca swoich piskląt. Kristina jednak nie zamierzała zrezygnować z planów, które obmyśliła jeszcze przed przyjazdem. Sentymentalny wspólnik może ją pocałować w nos.

- Ale...

- Żadne ale - przerwał jej Max. - Ta kwestia w ogóle nie podlega dyskusji. Kiedy rodzice przekazali mi „Ro-

sę", dałem im słowo honoru, że nikogo nie zwolnię. Ci, którzy u nich pracowali, mają tu zagwarantowaną pracę do końca życia.

Facet ma nie po kolei w głowie! W dzisiejszym świecie obowiązują całkiem inne reguły. Aż dziw, że jeszcze nie poszedł na dno pożarty przez większe ryby. Z jednej strony, jego postawa mogła się wydawać szlachetna, ale Kristina podejrzewała, że kryje się za nią zwykłe wygodnictwo, niechęć do przejęcia kontroli i wprowadzenia konstruktywnych zmian.

- Rozumiem, ale chyba twoi rodzice woleliby, żebyś...

Nie chciał dłużej słuchać jej filozofii życiowej, w której najważniejszym elementem był zysk.

- Czy wiesz, co to jest słowo honoru, Kristino? - spytał, świdrując ją wzrokiem. - Dla mnie to rzecz święta. Jeżeli składam obietnicę, zawsze jej dotrzymuję.

Czy to możliwe, przemknęło mu przez myśl, aby osoba tak piękna była tak bezduszna? A potem przypomniał sobie Alexis. I wiedział, że tak, jest to możliwe.

- Nigdy nie łamię słowa - ciągnął po chwili. - A już na pewno nie dla rozpieszczonej panny, która przyjeżdża na miotle, gotowa wymieść wszystko i wszystkich. Może tak to robicie u siebie, w Minneapolis, ale my tu mamy inne zwyczaje.

Wzdychając głośno, wzniosła oczy do nieba.

- Chcesz powiedzieć, że Kalifornijczycy stanowią uosobienie dobra i prawości?

Może rzeczywiście trochę się zagalopował i niepotrzebnie uogólniał. Podniósł głos, usiłując przekrzyczeć skowyt wiatru.

- Nie wszyscy, ale ja na pewno. - Zbliżył wargi do jej ucha, by wiatr nie porwał jego słów. - A teraz, jeśli masz odrobinę rozumuj w co szczerze wątpię, to radzę ci wrócić do pensjonatu. Spójrz! - Obrócił ją twarzą w stronę gromadzących się na niebie ołowianych chmur. - Nadchodzi burza. Chyba nie chciałabyś, żeby strzelił w ciebie piorun, co? - Z jego tonu wynikało, że on sam nie miałby nic przeciwko temu.

Nie czekając na odpowiedź, energicznym krokiem ruszył w drogę powrotną. Kristina zaczęła się rozglądać po plaży w poszukiwaniu czegoś, czym by mogła rzucić. Kilka metrów dalej zobaczyła wystający z piachu patyk. Wyciągnęła go i niewiele się namyślając, cisnęła nim w Maxa.

Patyk trafił go w środek pleców. Max obrócił się, zerknął pod nogi, po czym skierował się do Kristiny.

Chociaż była zaskoczona własnym zachowaniem i niepewna, co ono za sobą pociągnie, nie cofnęła się; uniosła głowę i popatrzyła na Maxa takim wzrokiem, jakby pytała: i co mi zrobisz?

Z całej siły potrząsnął ją za ramiona.

- Do jasnej cholery co ci odbiło?

- Wszystko przez ciebie! - krzyknęła. - Nie spotkałam drugiej osoby, która doprowadzałaby mnie do takiej furii!

Uzmysłowił sobie, że chyba zbyt mocno zaciska ręce na jej ramionach. Gdy puścił, zobaczył ciemne ślady na jej skórze. Psiakrew! Przecież nie jest nieokrzesany!

- Widzę, że mamy już dwie wspólne cechy. Umiłowanie krwistych steków i wybuchowe temperamenty.

Ładna kombinacja. - Pokręcił głową. - To się nigdy nie uda.

-I Rany boskie, Cooper! Nie łączy nas przysięga małżeńska, tylko interesy.

Przekleństwa cisnęły mu się na usta. Z trudem je powstrzymał. A potem spojrzął w roziskrzone oczy Kristiny i nie w pełni zdając sobie sprawę z tego, co czyni, chwycił ją w objęcia. Miał wrażenie, że porwał go wir. Przez moment walczył, lecz nie potrafił wydostać się na powierzchnię. Był bezsilny wobec pociągu fizycznego, który nim zawładnął.

Kiedy tak stał w świetle księżycy, patrząc na jej targane wiatrem włosy, poczuł coś, czego dawno nie czuł.

Pożądanie.

Pragnął jej. Pragnął się z nią kochać albo ją udusić, było mu wszystko jedno, ale pragnął być blisko niej, trzymać ją w ramionach, nie puszczać.

Kristina zaś straciła pewność siebie. Stała potulnie, nie mogąc oderwać wzroku od jego twarzy. Nie wiedziała, co Max zamierza ani do czego jest zdolny. Nie wiedziała, dlaczego groźny błysk w jego oczach tak bardzo ją fascynuje. Ale wiedziała jedno: że nie podoba się jej władza, jaką nad nią dzierży.

Pochylił głowę. Ich usta dzieliły centymetry. Czują, jak serce mu łomocze. Niczym zapędzone w róg, przeżone zwierzę, zebrała się na odwagę i zaatakowała.

- Jeśli mnie pocałujesz, będziesz tego gorzko żałował!

Ty też, pomyślał i roześmiał się.

- Nie wątpię, Kristino. Ale nie martw się. Wolę nie

ryzykować. Jeszcze byś mnie zaraziła wścieklizną. - Od-sunął ją od siebie trochę gwałtowniej, niż zamierzał. - A teraz ruszaj przodem.

- Dlaczego? - Nie ufała mu.

Popchnął ją lekko i straciła równowagę. Czym prędzej wyciągnął rękę, ratując ją przed upadkiem. Psiakość! To przez te jej buty na obcasach! Gdy tylko stanęła pewnie na nogach, natychmiast cofnął rękę. Nie chciał mieć z Kristiną żadnego kontaktu fizycznego. Za bardzo go pragnął.

- Bo nie mam oczu z tyłu głowy - wyjaśnił. - A nie życzę sobie dostać kijem w łeb.

Posyłając mu gniewne spojrzenie, skierowała się w stronę pensjonatu. Maszerowała szybkim, energicznym krokiem. Zapadające się w piasek obcasy nie spowalniały jej tempa.

Zatrzymała się dopiero wtedy, gdy znalazła się na górze, w swoim pokoju, i przekreśliła klucz w zamku.

Po paru minutach, gdy przestała dygotać, sięgnęła po telefon, żeby zadzwonić do prawnika. Ponieważ było późno, wykreśliła jego numer domowy. Usłyszała sekretarkę automatyczną. Sterlinga nie było w domu. Chociaż wiele osób, będąc w domu, nie odbiera telefonu, Sterling do nich nie należał. Cisnęła ze złością słuchawkę na widełki.

Trudno, musi poczekać do rana, żeby dowiedzieć się, w jaki sposób może wykupić udział Coopera. Nie wyobrażała sobie jakiegokolwiek współpracy z tym typem. Nie po tym, jak zachował się dziś na plaży.

Wyjrzała przez okno. Księżyc przysłaniały czarne

chmury. Nagle zobaczyła w szybie swoje odbicie, a po chwili twarz Maxa, który uśmiechał się ironicznie.

Czym prędzej zaciągnęła zasłony.

Otworzył oczy. Miał wrażenie, jakby każda powieka ważyła tonę. Ból rozsadzał mu głowę, ciało odmawiało posłuszeństwa - buntowało się przed tak wczesnym wstawaniem.

Kontury powoli zaczęły nabierać ostrości. Na biurku stała butelka whisky. W blasku porannych promieni słońca bursztynowy płyn migotał niczym roztopione złoto.

Max jęknął cicho. Przypomniał sobie wczorajszy wieczór. Usiadł na łóżku, pocierając rękami twarz. Przed pójściem spać wypił kilka szklanek; myślał, że alkohol zduśi w nim pożądanie i pozwoli zapomnieć o Kristinie. Tak się nie stało.

To nie był sen. Kristina Fortune naprawdę przyjechała do „Rosy”, burząc jego spokój i próbując wyrwać jego życie do góry nogami. Wiedział, że musi się jej pozbyć, ale w sposób legalny, do którego nie przyczepi się policja.

Wzdychając ciężko, sięgnął po dzinsy leżące w nogach łóżka. Wstał. Po chwili wciągnął koszulę; zostawił ją rozpiętą. Na końcu włożył buty.

Może Kristina lubi sypiać do późna, pomyślał. Może zdąży zjeść w spokoju śniadanie, zanim ona zejdzie na dół. Liczył na to, że mu się uda, bądź co bądź wampiry i inni krwio pijcy nie przepadają za porankami.

Został na noc w pensjonacie, zamiast wrócić do New-

port Beach. Uznał, że spróbuje porozmawiać z Kristiną rano. Może za dnia będzie miał więcej szczęścia.

Dziś nie był tego taki pewien. Wzdrygnął się na myśl o kolejnej konfrontacji.

Wyszedł na korytarz, zamykając za sobą drzwi. Może wczoraj Kristiną była zmęczona po podróży? Może dziś będzie rozsądniejsza? Sam w to nie wierzył.

Noc spędził w pokoju, który zajmował, gdy mieszkał tu z rodzicami. Pokój mieścił się na parterze, za biurem. Aby dojść do jadalni, należało minąć recepcję i salon dla gości. Tak też zrobił. I nagle znieruchomiał.

Kristiną stała na drabinie, którą pewnie pożyczyła od Antonia, na drugim stopniu od góry, i wychylała się w bok, usiłując zdjąć wiszącą nad kominkiem tkaninę.

Tę samą, o której wczoraj była mowa i którą on wyraźnie zabronił jej usuwać.

Psiakrew! Ta wredna mała zołza całkowicie zignorowała jego polecenia. Rozgniewany krzyknął:

- Do jasnej cholery, co ty sobie wyobrażasz?! Że wszystko ci wolno?

Kristiną, zła na siebie, że dała się wczoraj ponieść emocjom, postanowiła, że od samego rana bierze się do pracy. Pierwsza rzecz, która przyszła jej do głowy, to portret Kate. Świetnie by wyglądał nad kominkiem. Wpierw jednak należało sprawdzić stan ściany. Może gdzieś tam cegły się kruszą? To jest w stylu Coopera - powiesić tkaninę, żeby zakryć defekt, zamiast go naprawić.

Zaskoczył ją jego gniewny głos. Obróciła się i nagle

straciła równowagę. Max widział, jak drabina się chwieje. Jeszcze chwila, a zwali się na ziemię. Razem z Kristiną.

Był przy niej w dwóch susach. Zdażył. Zacisnął ręce wokół jej talii. Niestety, rąbnęła głową w półkę nad kominkiem. Sekundę wcześniej krzyknęła, jakby spodziewając się uderzenia i bólu.

Max tkwił bez ruchu, przerażony, trzymając nieprzytomną kobietę w ramionach. Odwrócił ją delikatnie, chcąc obejrzeć jej czoło. Krwi nie było; dostrzegł tylko guz, który przybierał coraz ciemniejszy kolor.

- Kristino?

Nie zareagowała. Wiedział, że nie udaje; duma by jej na to nie pozwoliła. Zaniepokojony, sprawdził jej puls.

- Do diabła! - mruknął pod nosem. - Same z tobą kłopoty! Odkąd się tylko pojawiłaś.

Nadbiegła June. Na szczęście goście byli w jadalni lub w pokojach i nic nie widzieli.

- Słyszałam krzyk. - June spojrzała na przewróconą drabinę, a potem na bezwładną postać, którą Max trzymał w ramionach. - Zabiłeś ją?

Potrząsnął głową. Nie był w nastroju do żartów.

- Nie. Straciła równowagę i wyrznęła głową w kominek. - Ruszył w stronę schodów. - June, zadzwoń do Daniela Valente. Jak się pospieszysz, złapiesz go, zanim wyjedzie do szpitala. Powiedz mu, co się stało i że bardzo by mi się przydał.

- Dobrze. Nie martw się, już dzwonię - powiedziała June, wyciągając książkę telefoniczną.

Max zaniósł Kristinę do jej pokoju i delikatnie położył na łóżku. Długie jasne włosy rozsypały się po poduszce.

Wyglądała tak krucho i bezbrinnie! **Ale** on wiedział, że to tylko pozory, bo w tym **drobnym ciele** kryje się prawdziwy potwór.

Ponieważ musiał poczekać na Daniela, przysunął krzesło do łóżka. Zanim usiadł, jeszcze raz obejrzał jej czoło. Nie ma co, porządne nabiła sobie guza! No cóż, nie był lekarzem. Niech Daniel stawia diagnozę.

- Same kłopoty - powtórzył, siadając okrakiem na krześle.

Jeżeli Daniel wkrótce się nie pojawi, a ona nie odzyska przytomności, wtedy zawiezie ją do szpitala.

Max i Daniel znali się od dzieciństwa, a raczej odkąd Max trafił pod opiekę państwa Murphy. Spędzali ze sobą mnóstwo czasu, razem dorastali i do dziś się przyjaźnili.

Przyjaźń przetrwała kilkuletnią rozłąkę, kiedy to Daniel wyjechał studiować medycynę na wschodnim wybrzeżu Stanów, a Max został w Kalifornii i uczęszczał do miejscowego college'u.

Obecnie spotykali się raz na parę miesięcy, czasem jeszcze rzadziej. Ale zawsze mogli na siebie liczyć. I zawsze czuli się świetnie w swoim towarzystwie, zupełnie jakby rozstali się wczoraj.

Daniel przybył dziesięć minut po telefonie od June. Natychmiast przystąpił do badania Kristiny. Max czekał w milczeniu; wreszcie nie wytrzymał.

- I co?

Daniel poprawił na nosie okulary.

- Ma potężnego guza na czole.

- Tyle to i ja wiem.

- Ale chyba obeszło się bez wstrząsu mózgu. Źrenice

wyglądają normalnie. - Chowając do torby stetoskop, wstał z łóżka. - Moja rada? Obserwuj ją uważnie. - Uśmiechnął się. - Nie powinno ci to sprawiać przykrości.

Pozory mylą, przyjacielu, pomyślał Max.

- Wierz mi, stary, kiedy toto jest przytomne, lepiej mieć się na baczności. Ona tylko tak słodko i niewinnie wygląda, a w rzeczywistości to wredna jędza.

Daniel roześmiał się.

- Na pewno przesadzasz. - Zamknął torbę. - Aha, może być trochę skołowana, jak się obudzi. W każdym razie, gdybyś miał jakiegokolwiek wątpliwości, dzwonić - dodał, poważniejąc. - Jeżeli w ciągu... hm, godziny nie odzyska przytomności, przywieź ją do szpitala. Zadzwoń wcześniej, to zejdę na dół. Ale myślę, że wszystko będzie dobrze.

Po chwili znikł za drzwiami.

- Oby - mruknął Max, przysuwając krzesło do łóżka Kristiny.

Kolejny dzień spisany na straty, pomyślał. Nie mógł przecież jechać na budowę. Wzdychając ciężko, sięgnął po telefon stojący na szafce nocnej i wystukał numer Paula. Odruchowo zaczął liczyć dzwonki.

Teoretycznie mógłby zostawić Kristinę pod opieką June, ale czuł się odpowiedzialny za to, co się wydarzyło. Gdyby na nią nie krzyknął, nie spadłaby z tej cholernej drabiny.

- Oczywiście, gdybyś mnie posłuchała - rzekł do nieprzytomnej kobiety - nie włożyłabyś na żadną drabinę.

Słabe pocieszenie.

- Słucham? - Zdziwienie w głosie Paula świadczyło, że słyszał kilka ostatnich słów.

Max szybko wyjaśnił sytuację. Nie ma sprawy, powiedział Paul. Na budowie wszystko przebiega sprawnie. Po raz pierwszy od dawna dostawy nadeszły w terminie.

Świetnie, pomyślał Max. Szkoda, że na froncie domowym wszystko nie przebiega równie sprawnie. Usadowił się wygodnie, czekając, aż Kristina się przebudzi. Ciekaw był jej reakcji. Podejrzewał, że będzie wściekła i jeszcze bardziej nieznośna niż wcześniej.

Słyszac cichy jęk, poderwał się na nogi. Boże, ależ ona jest blada! Pochylił się nad nią, kiedy wreszcie otworzyła oczy.

- Cześć. - Uśmiechnął się. - Witaj z powrotem.

- Cześć. - Przyłożyła rękę do czoła i syknęła z bólu. Próbowwała usiąść; nie była w stanie. - Co się dzieje?

- Straciłaś przytomność - odparł. Daniel uprzedzał go, że po przebudzeniu Kristina może być trochę oszołomiona. I faktycznie, sprawiała wrażenie zdezorientowanej. - Uderzyłaś się w głowę.

- Naprawdę? - Otworzyła szeroko oczy. - Kiedy?

No, no, musiała się porządnie walnąć, pomyślał Max. Nawet jej głos brzmiał inaczej. Ciepłej. Bardziej zmysłowo.

- Kiedy spadłaś z drabiny.

Zmrużyła oczy. Głowa pulsowała jej z bólu.

- Co robiłam na drabinie?

Przyjrzał się jej uważnie.

- Nie pamiętasz?

- Nie.

Nie tylko głos miała inny. Cała wydawała się zmieniona.

- A co pamiętasz?

Skupiła się. Po chwili popatrzyła na niego z przerażeniem. Przecież powinna coś kojarzyć! Powinna mieć w głowie jakieś myśli, obrazy, a miała pustkę. Totalną pustkę.

- Nic - szepnęła ochryple. - Nic a nic.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Nie spuszczać z niej wzroku, opadł z powrotem na krzesło. „Nic?” Chyba nie mówi tego serio.

- Mówiąc „nic”, masz na myśli sam wypadek, prawda? Że nie pamiętasz wypadku? - spytał.

Wolno pokręciła głową. I znów syknęła. Każdy najmniejszy ruch powodował koszmarny ból, który rozsadzał czaszkę.

Oraz przysłaniał wspomnienia.

Chociaż nie. Instynkt podpowiadał jej, że za tą ścianą bólu nie kryje się nic. Żadne obrazy z przeszłości.

Ogarnęło ją śmiertelne przerażenie. Poczwała się sama, porzucona, odizolowana od świata. Skuliła się, jakby nagle zrobiło się jej zimno.

- Nie. Mówiąc „nic”, mam na myśli „nic”. Zupełnie niczego nie pamiętam. Ani jak się nazywasz, ani gdzie jestem. Ani... - Urwała. Po chwili zbierając się na odwagę, dokończyła cicho: - Ani kim ja jestem.

Przez moment Max milczał, usiłując przetrwać jej słowa. Nie, ona stroi sobie z niego żarty. Utkwił w niej badawcze spojrzenie. To by było w jej stylu: wzbudzić w nim strach i wyrzuty sumienia, a potem cudownie ozdrowieć, tylko po to, by on - z radości, że nic się nie stało - zgodził się na wszystkie jej propozycje dotyczące zmian.

O nie, twoje niedoczekanie, pomyślał.

Ale im dłużej się jej przyglądał, tym większej nabierał pewności, że nie patrzy na przebiegłą intrygantkę, która kombinuje, jak by go oszukać, lecz na potwornie wystraszoną kobietę, która stara się ukryć strach.

Usiłował wczuć się w jej położenie, zrozumieć, jak to jest, kiedy człowiek nie poznaje samego siebie. Nie potrafił. Zrobiło mu się żal Kristiny. Zaciśnął rękę na jej dłoni.

- Skup się, Kris.

- Próbuję. - Głos jej zadrżał. Nagle skierowała wzrok na Maxa. - Czy tak mam na imię? Kris? - spytała.

Wszystko wydawało się jej dziwne, obce. Bała się, że gdyby spojrzała do lustra, zobaczyłaby twarz nie znanej sobie osoby.

Max otworzył usta; zamierzał jej wyjaśnić, że właściwie to ma na imię Kristina i bardzo nie lubi, gdy ktoś je zdrabnia do Kris, ale w ostatniej chwili ugryzł się w język. W jego głowie zaczął kiełkować pewien plan.

- Tak - odparł. - To skrót od Kristiny. - I Obserwował jej twarz, ciekaw, czy imię wywoła jakąś reakcję. - Naprawdę nic nie pamiętasz?

- Naprawdę - przyznała szeptem.

Łzy podeszły jej do oczu. Max usiadł na łóżku i mimo że czuł się trochę niezręcznie, objął Kris ramieniem.

- Zobaczysz, wszystko będzie dobrze -t powiedział. Modlił się w duchu, żeby tylko nie zaczęła płakać. Szloch kobiety całkiem go rozbrajał. - Nim się obejrzyysz, znów będziesz sobą.

Pociągnęła nosem, starając się powstrzymać łzy. Wiedziała, że płacz nic nie pomoże.

- W tym cały problem. Nie wiem, co to znaczy być sobą.

- Nie bój się. - Objął ją mocniej.

Oparła policzek na jego piersi. Nie знаła tego człowieka, ale czuła się przy nim bezpiecznie. Tylko to się liczyło.

Wzięła głęboki oddech. I nagle uderzył ją w nozdrza zapach wody kolońskiej. Wydał się jej znajomy, jakby... nie, żadnych wspomnień nie przywoływał. Ale miała wrażenie, że już kiedyś w życiu się z nim zetknęła.

Podniosła głowę i spojrzała na mężczyznę, który siedział obok niej na łóżku. Kim był? Czy coś ich łączyło?

- Jak się nazywasz?

- Max. Max Cooper - odparł, spoglądając w jej oczy, które były jak ocean: wielkie, niebieskie, prawie bezdenne.

Max Cooper? Nic. Zero skojarzeń. Był bardzo męski, bardzo przystojny, bardzo miły. I zapach jego wody wydawał się jej znajomy. Tylko dlaczego go nie pamięta?

- A ja? - spytała. - Jakie mam nazwisko?

Stoczył z sobą krótką walkę: powiedzieć prawdę czy uciec się do kłamstwa? Kłamstwo wygrało. Przynajmniej zyska trochę czasu, by zastanowić się nad przyszłością pensjonatu. No dobrze, ale jakie podać nazwisko? Nagle zauważył na jej szyi wisiołek w kształcie serduszka, jakie zakochani chłopcy dają dziewczynom na walentynki.

- Valentine - powiedział. - Nazywasz się Kris Valentine.

Przez chwilę postarzała to w myślach. Nic w niej to nazwisko nie poruszyło. Równie dobrze mogłaby się na-

zywać Iks, Igrek lub Zet. Czowała się tak, jakby usiłowała wydostać się z ciemnej, głębokiej studni, ale nie miała się czego uchwycić. Ściany były wilgotne i śliskie, więc każdy ruch sprawiał, że osuwała się coraz niżej.

Całe szczęście, że Max jest przy niej. Ufał mu. A to chyba musi o czymś świadczyć?

- Czy my... - Oblizła wargi. Przez chwilę szukała właściwych słów. - Czy coś nas łączy? Czy jesteśmy parą albo... małżeństwem?

To zupełnie zbiło go z tropu. Zaczął się jąkać.

- Nie. My... nie jesteśmy niczym... To znaczy małżeństwem. Jesteśmy...

Chciał powiedzieć „wspólnikami”, ale przypomniał sobie wcześniejsze zachowanie Kristiny, jej nieustępliwość. Skoro wbrew jego życzeniom postanowiła zdjąć tkaninę, nie miałaby żadnych skrupułów przed wyrzuceniem z pracy starego personelu i zatrudnieniem nowego. Nie bacząc na ludzi, uczucia, tradycje, chciała zrobić z „Rosy” dochodowy interes.

Współczucie, jakie Kristina w nim wzbudziła, zniknęło jak ręką odjął.

- Łączą nas relacje służbowe - powiedział, obserwując jej twarz. - Jestem twoim szefem.

Skinęła wolno głową; nie zdziwiła się, nie zaprotestowała, po prostu przyjęła ten fakt do wiadomości. Max był jej szefem, ona była jego pracownicą. Ale czym się zajmują?

Popatrzyła mu w oczy, szukając odpowiedzi. Max Cooper znał ją lepiej od niej samej.

- A ja? Kim jestem?

Przypomniał sobie pogardliwą wyższość, z jaką potraktowała Sydney. Należy się jej nauczką. Wiedział, że srogo się na nim zemści, gdy odzyska pamięć, ale trudno. Pokusa była zbyt silna.

- Pokojówką.
- Pokojówką?

Jakoś to jej się nie zgadzało, ale przecież nie mogła zaoponować, skoro nic nie pamiętała. Może faktycznie całe życie sprzątała pokoje?

- Tak. Pracujesz u mnie. W pensjonacie.

Nie spuszczał z niej oczu. Spodziewał się, że lada moment Kristina się ocknie, poderwie do walki, ale widział tylko wystraszoną, zdezorientowaną istotę, która rozpaczliwie stara się połapać w sytuacji i nie załamać psychicznie.

Nagle zaczęły go trapić wyrzuty sumienia. Próbując je zagłuszyć, ciągnął:

- Mamy szesnaście pokoi, które wynajmujemy.
- I ja je sprzątam?

Rozejrzała się dookoła. Skoro sprząta pokoje, to znaczy, że w tym, w którym teraz przebywa, również musiała zamieść podłogę, odkurzyć półki, umyć okna. Dlaczego nic nie pamięta?

- Tak. A w porze posiłków podajesz do stołu. - Co raz bardziej się rozkręcał. - Razem z Sydney.

- Z Sydney?

Imię nic jej nie mówiło. Nawet nie wiedziała, czy Sydney to kobieta czy mężczyzna.

- Tak. To druga pokojówka.

Aha, czyli Sydney jest kobietą. Kobieta, z którą pra-

cuje, a której zupełnie nie kojarzy. Sfrustrowana, usiadła na łóżku, spuściła nogi na podłogę, po czyni wstała. Natychmiast zakreśliło się jej w głowie.

Zanim upadła, Max pochwycił ją w ramiona i ponownie posadził na łóżku. Usiadł obok, świadom, jak bardzo musi się czuć bezradna. Kiedy oparła głowę na jego ramieniu, a jej włosy musnęły go po policzku, poczuł lekkie zażenowanie. Ale nie okłamywał jej dla własnej przyjemności. Robił to dla dobra „Rosy” i pracujących tu osób. Potrzebował czasu, aby wszystko przemyśleć i podjąć słuszną decyzję.

Kristina utkwiała w nim oczy. Siedzieli przytuleni. Czy po raz pierwszy w życiu? Nie pamiętała tego, ale wydawało jej się, że nie.

- A czy poza pracą coś... coś nas łączy? - spytała cicho, niemal z nadzieją w głosie.

- Nie, Kris. Nic.

A zatem myliła się. Poczwała, jak paśowieje.

- Przepraszam. Myślałam, że jednak... Może dlatego, że mnie tak obejmujesz.

Chcąc się oswobodzić, z trudem dźwignęła się na nogi. Tym razem nie zachwiała się. Po chwili podeszła do okna.

Burza, która przez cały wczorajszy dzień wisiała w powietrzu, przeszła nad miastem w nocy. Trawa i liście na drzewach odzyskały barwę soczystej zieleni, fale uspokoiły się, delikatnie omywały brzeg.

Już to kiedyś widziała. Była tego pewna. Nie pamiętała kiedy, ale wiedziała, że stała w tym oknie i patrzyła na wspaniały morski pejzaż. Nastroiło ją to optymis-

tycznie. To już dwie rzeczy, pomyślała. Zapach wody kołońskiej i widok za oknem. Z czasem przypomni sobie resztę.

Ale dopóki nie wróci jej pamięć, musi polegać na Maksie. Trochę się bała takiej zależności od drugiej osoby, lecz nie miała wyjścia. Zresztą intuicyjnie czuła, że może Maxowi zaufać.

- Ależ tu jest pięknie - szepnęła z zachwytem i przysiadła na ławie pod oknem. Powoli ogarniał ją spokój.

- Od jak dawna tu pracujesz?

Max podszedł bliżej. Zmiana między poprzednią Kristiną a obecną była niesamowita. Wprost nie mógł uwierzyć, że to ta sama osoba. Jedna - spięta, czujna, w każdej chwili gotowa poderwać się do walki, druga - łagodna, zagubiona, próbująca się odnaleźć. Położył rękę na jej ramieniu.

- Niedługo - odparł. - Jakies dwa miesiące. Dopiero się wszystkiego uczysz.

Poczuła się zawiedziona.

- Czyli niewiele o mnie wiesz, prawda?

Liczyła na to, że dzięki niemu dowie się czegoś o sobie i swojej przeszłości.

- Tylko tyle, co umieściłaś w życiorysie, który dołączyłaś do podania o pracę. - Widząc rozczarowanie w jej twarzy, zmiękł. - I oczywiście to, co sama o sobie opowiadałaś.

- Mogłabym zobaczyć?

Wystraszył się. Czyżby popełnił jakiś błąd?

- Co?

- Ten życiorys.

Miała nadzieję, że coś w nim znajdzie. Jakiś adres, numer telefonu.

- Jasne. - Nie dał nic po sobie poznać. Trudno, będzie musiał go napisać. - Poszukam go w biurze, ale to może chwilę potrwać. U June panuje dość duży bałagan.

Kolejne imię, które nic dla niej nie znaczyło. Ból głowy przybierał na sile. Przyłożyła rękę do czoła i aż podskoczyła.

- Kto to jest June?

- Recepcjonistka.

- Aha. - Oparła się o parapet. - Nie wiesz, czy wcześniej też byłam pokojówką?

Jakoś ta sprawa nie dawała jej spokoju. Zerknęła na swoje dłonie. Nie nosiła biżuterii, ale na serdecznym palcu lewej ręki zauważyła jaśniejszy pasek. Czyżby do niedawna tkwił tam pierścionek?

- Chyba nie - odparł Max.

Usiadł obok Kristiny na ławie pod oknem, nerwowo zastanawiając się, co powiedzieć. Z natury był uczciwy i prawdomówny, ale przecież nie mógł nie skorzystać z takiej okazji. Chciał, by Kristina pomieszkała kilka dni w pensjonacie, poznała pracujących tu ludzi. Liczył, że wtedy pokocha to miejsce, doceni jego urok i przestanie się upierać, że trzeba je koniecznie przebudować i zmodernizować.

Pomysł wydawał mu się doskonały. Nawet gdyby nie zmieniła zdania, on zyskałby trochę czasu.

Skierował wzrok tam, gdzie patrzyła Kristina, czyli na jasną obwódkę na palcu.

- Przyjechałaś tu kilka dni po swoim rozwodzie.

- Jestem rozwódką? - zdumiała się.

A zatem miała w życiu kogoś bliskiego, z kim się rozstała). Tak, całkiem możliwe. Podniosła głowę i spojrzała na siedzącego obok mężczyznę. Ciekawe, czy mu się zwierzała? Bardzo prawdopodobne. Sprawiał wrażenie miłego, sympatycznego człowieka.

- Nie wiesz, dlaczego się rozwiódłam?

- Niestety. Nie wdawałaś się w szczegóły, a ja nie chciałem być wścibski.

Na jej twarzy znów pojawił się wyraz rozczarowania.

- Powiedziałaś tylko, że zdecydowałaś się wyjechać, porzucić stare kąty, i zacząć wszystko od nowa - dodał.

- Kiedy cię po raz pierwszy zobaczyłem, byłaś bardzo smutna. Wyjaśniłaś, że jesteś w La Jolli przejazdem, że trafiłaś w gazecie na nasze ogłoszenie w sprawie pokojówki i uznałaś, że się zgłosisz.

Wiedział, że musi wszystkich powiadomić o zaistniałej sytuacji. I to szybko. Ignorując pytania, które widział w jej oczach, skinął w stronę łóżka.

- Zdrzemnij się chociaż parę minut. To ci dobrze zrobi.

Czuła się bardzo zmęczona, jakby od kilku godzin biegła i z każdym krokiem oddalała się od celu, zamiast do niego przybliżyć. W dodatku głowa pękała jej z bólu.

- A nie muszę dziś pracować?

Ogarnęły go wyrzuty sumienia.

- Nie jestem aż takim tyranem. - Zmusił wargi do uśmiechu. - Daję pracownikom wolne, kiedy wałą czołem o kominek.

Pewnie zaraz po tym straciła pamięć. Psiakość! Dlaczego nic nie pamięta?

- Walnęłam głową w kominiek? - spytała.

- Tak. - Wreszcie nie musi kłamać.

Aż taka ze mnie niezgara? - zdziwiła się w duchu.

- Jak to się stało?

- Odkurzałaś tkaninę. Jesteś bardzo dokładna.

Podświadomie czuła, że to się zgadza, że faktycznie jest dokładna. Wiedziała też, że lubi ciężko pracować i osiągać cel. Ale praca pokojówki? Coś jej tu nie grało. Jakby miała na sobie cudze ubranie, za małe, przyciasne, uwierające.

Ale przecież Max by jej nie okłamywał. Bo i po co?

Był człowiekiem uczciwym, prawdomównym. Nie wiedziała, skąd to wie, lecz była o tym przekonana.

Nie chciał wyjść i zostawić jej na ławce. A nuż znów upadnie? Kobieta, która wczoraj sprawiała wrażenie silnej, twardej i nieustępliwej, dziś wydawała się krucha i ufna jak dziecko.

- Kris, proszę cię. Połóż się, odpocznij chwilę.

W łóżku przynajmniej będzie bezpieczna. On w tym czasie uprzedzi innych, żeby przypadkiem go nie zdradzili, a potem zadzwoni do Daniela i powie mu o amnezji. Może jednak powinien przywieźć Kristinę do szpitala?

- Dobrze. ;

Kiedy podniosła się, wyciągnął do niej rękę. Nie zaprotestowała. Uśmiechając się z wdzięcznością, podała mu dłoń. Podprowadził ją do łóżka i przytrzymał za łokieć, kiedy siadała. Czuł się jak ostatni drań, ale nic na to nie mógł poradzić.

- Zajrzę do ciebie za godzinę czy dwie.

- Max?

Był już przy drzwiach. Obejrzał się przez ramię.

- Słucham?

- Mógłbyś ze mną posiedzieć? - Nie chciała go o to prosić. Domyślała się, że jest bardzo zajęty. - Chociaż kilka minut? Poczuję się znacznie lepiej.

Nie umiała tego logicznie wytłumaczyć. Po prostu wydawało jej się, że obecność kogoś, kto wie, kim ona jest, rozproszy mrok, który spowija jej myśli.

Max wiedział, że powinien się wymigać, przeprosić, że ma jakieś pilne zajęcia. Z przerażeniem myślał o tym, co będzie, kiedy Kristina odzyska pamięć.

- Oczywiście.

Nie mógł odmówić. Niby jest tą samą kobietą co wczoraj - ba! co dziś rano - a jednak różni się od niej. Ma inny wyraz twarzy, inne spojrzenie. Uparta, złośliwa wiedźma w jakiś cudowny sposób przemieniła się słodką zagubioną istotą, która patrzyła na niego błagalnie.

Usiadł na brzegu łóżka. Kristina nieśmiałym gestem wzięła go za rękę i zwinęła się w kłębek.

Zaschło mu w gardle. Jest taka piękna! Wcześniej rzucały się w oczy jej chłód i wyniosłość, teraz uroda wysunęła się na pierwszy plan. Cały czas musiał sobie powtarzać, że to wszystko ułuda; że wkrótce amnezja minie, a jego kłamstwo wyjdzie na jaw.

- Mam ci opowiedzieć bajkę na dobranoc?

Uśmiechnęła się smutno.

- Tylko jeśli księżniczka odzyska na końcu pamięć. Pokręcił głową.

- Przykro mi. Mój repertuar bajkowy ogranicza się

do księżniczek, które całują żaby albo jedzą zatrute jabłka.

- Szkoda - szepnęła, zamykając oczy.

No właśnie, szkoda, pomyślał.

Żałował, że zawsze nie jest taka jak teraz - niewinna, dobroduszna. Taką Kristinę, która bez przerwy nie ostrzy pazurów i nie zagrzewa się do boju, mógłby autentycznie polubić. Delikatnie wysunął rękę. Upewniwszy się, że Kris śpi, zakrył ją kołdrą i przez moment stał koło łóżka, spoglądając na jej jasne włosy.

- Kurczę blade, co ja mam z tobą zrobić? - mruknął sam do siebie.

Była na krawędzi snu, zbyt zmęczona, aby otworzyć oczy i odpowiedzieć, ale słyszała pytanie. Więc jednak Max ma jej za złe, że nie pracuje? Przynęła sobie, że gdy tylko minie ten koszmarny ból głowy, wysprząta wszystko, aż będzie lśniło.

Po chwili Max skierował się do drzwi. Nacisnął klamkę, kiedy nagle spostrzegł leżącą na toalecie, czarną skórzaną torebkę. Serce zabiło mu mocniej. Psiakość, że też o tym wcześniej nie pomyślał!

W zawieszonym nad toaletką owalnym lustrze widział odbicie Kristiny. Spała, oddychając równomiernie. Nie odrywając od niej oczu, chwycił torebkę i wyszedł pośpiesznie na korytarz.

Sąsiedni pokój był pusty. Max zamknął za sobą drzwi i zaczął przeglądać zawartość torebki. Szukał rzeczy takich jak listy czy czek, na których widniałoby nazwisko Kristiny. Listów i czeków nie było, nazwisko jednak figurowało na prawie jazdy i kartach kredytowych. Wyjął

je i schował do własnego **portfela**. Nie **wiedział**, jak długo potrwa ta farsa, ale nie chciał, by Kris sama przypadkiem odkryła prawdę.

Wróciwszy do jej pokoju, odłożył torebkę na miejsce i ponownie zamknął drzwi. Jeżeli kiedyś Kris zainteresuje się, dlaczego nie ma żadnego dowodu tożsamości, wtedy będzie musiał wymyślić jakiś powód.

Wsunął ręce do kieszeni i zbiegł na dół. Kości zostały rzucone.

Postanowił, że rozmowa z personelem może poczekać; ważniejszy był telefon do Daniela. Chciał, by przyjaciel go pocieszył, zapewnił, że nic strasznie złego się nie dzieje. Ubłagał sekretarkę, która powtarzała, że doktor Valente skontaktuje się z nim po dyżurze, aby jednak połączyła go z Danielem.

Usłyszawszy w słuchawce głos przyjaciela, opowiedział mu o wszystkim. Kiedy skończył, nastała długa cisza. Wreszcie doktor Daniel Valente oświadczył:

- To mi wygląda na amnezję.

Max prychnął zniecierpliwiony.

- Tyle to i ja wiem. Ale co mam robić? Jak **można** temu zaradzić?

- Nie można. Samo minie.

Nie takiej odpowiedzi oczekiwał. Chociaż okłamał Kristinę i chociaż wierzył, że jego kłamstwo wyjdzie wszystkim na dobre, to jednak dręczyły go wyrzuty sumienia.

- Ale kiedy? - W jego głosie pobrzmiwała nuta rozdrażnienia.

- Różnie bywa - odparł spokojnie Daniel. Chyba nigdy się nie denerwował, a przynajmniej nie okazywał zdenerwowania. Byli całkowicie inni i może właśnie dlatego ich przyjaźń przetrwała tyle lat. - Czasem pamięć wraca po dniu, czasem po tygodniu...

- A może nigdy nie wrócić?

Daniel westchnął ciężko.

- Może, ale to jest bardzo mało prawdopodobne - dodał pośpiesznie. - Najlepiej umieścić pacjenta w znajomym środowisku, otoczyć go znajomymi przedmiotami. Nigdy nie wiadomo, co pobudzi jego pamięć. Może to być jakiś z pozoru nieistotny drobiazg. Uśmiech, zapach, spojrzenie. Zdjęcie, melodia. Słuchaj, jeśli chcesz, zajrzę do ciebie wieczorem...

- Byłbym ci wdzięczny.

Kłamstwo kłamstwem, ale nie zamierzał ryzykować zdrowia Kristiny. Jeżeli Daniel zapewni go, że nic jej nie grozi, wtedy pociągnie dalej zabawę w szefa i pokojówkę, w przeciwnym wypadku powie jej prawdę.

Podziękował przyjacielowi i odłożył słuchawkę. Przez chwilę stał zadumany. Najlepiej otoczyć pacjenta znajomymi przedmiotami. Tak powiedział Daniel.

Ale tu nie ma znajomych przedmiotów. Wszystko dla Kristiny jest tu obce.

Może to i lepiej, pomyślał. Skoro amnezji nie można zaradzić, czemu nie skorzystać z okazji? Niech pomieszka w „Rosie”, niech popracuje, niech pozna wszystkich. Niech wyrobi sobie opinię o pensjonacie na podstawie tego, co zobaczy i czego doświadczy. Kto wie? Może jej się tu spodoba? Może po odzyskaniu pamięci

uzna, że nie warto nic zmieniać? A co ważniejsze, może na tyle polubi June, Sydney i innych, że nie będzie chciała zwolnić ich z pracy?

- June! - zawołał, wyłaniając się z gabinetu. - Poproś tu wszystkich, dobrze? Mam wam coś do powiedzenia.

Recepcjonistka podniosła wzrok znad romansidła, które czytała. Zaznaczywszy stronę jakąś prowizoryczną zakładką, ruszyła na poszukiwanie innych.

Max zerknął w stronę schodów. Miał nadzieję, że nie będzie pluł sobie w brodę.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Wsparty o biurko, przyjrzał się grupce osób stłoczonych w niedużym gabinecie, w którym kiedyś urzędowała jego przybrana matka. To właśnie Sylwia Murphy zarządzała pensjonatem. Johnowi zdecydowanie bardziej odpowiadała rola gospodarza niż biznesmena; był tym, który witał gości, oprowadzał po terenie, zabawiał rozmową, a gdy wyjeżdżali, żegnał przy bramie.

Oboje uwielbiali „Rosę” - i to było widać. Zawsze panowała tu prawdziwie domowa atmosfera, a pracowników traktowano na równi z członkami rodziny. Max nie zamierzał tego zmieniać.

Trzy osoby z personelu - June, Sama i Jimmy'ego - znał od dziecka; pracowały w „Rosie”, kiedy Sylwia z Johnem wzięli go pod swoje skrzydła. Sydney i Antonio trafili tu znacznie później, ale szybko stali się częścią pensjonatowej rodziny.

Rodziny bardzo z sobą zżyte, której nikt obcy nie miał prawa rozdzielać. Owszem, czuł wobec Kris wyrzuty sumienia, ale wiedział, że jego lojalność leży po stronie ludzi, których zna i kocha, a nie po stronie nowej wspólniczki, która największą miłością darzy pieniądze. June, Samowi i pozostałym zawdzięczał znacznie więcej niż

karierowiczce z Minneapolis, która namiesza, namąci i zniknie.

Mimo to, kiedy tłumaczył tej pięcioosobowej grupce, co się stało, jakiś wewnętrzny głos powtarzał mu cicho, że postępuje źle i nieuczciwie.

Sam Beaulieu siedział w jednym z dwóch znajdujących się w gabinecie foteli i słuchał go z niedowierzaniem.

- Mówisz, że nic nie pamięta? Nic a nic?

- Nic a nic.

- O rany! - Sydney pokręciła ze zdziwieniem głową.

- Ileż to razy mój młodszy braciszek nabijał sobie guza i nigdy nie tracił pamięci. - Uśmiechnęła się na myśl o małym rozrabiace. - Ona naprawdę nic...

- Naprawdę - odparł Max. - Ma amnezję. Nie wiem, jak długo to potrwa. Pytałem Daniela... - Ostatnie słowa skierował do June, która przed laty im obu matkowała.

- Twierdzi, że różnie bywa. Czasem pamięć wraca po jednym dniu, czasem po tygodniu. - Wzruszył ramionami. - A czasem czeka się jeszcze dłużej.

- Biedaczka - szepnęła współczującym tonem June. Wyobraziła sobie, jakie to musi być straszne, kiedy człowiek odzyskuje przytomność i niczego wokół nie poznaje.

Max traktował June jak ukochaną babcię, której nigdy nie miał. Właściwie dla wszystkich okolicznych dzieciaków była babcią, o ile za babcię może uchodzić osoba o rozjaśnianych na blond włosach i zmysłowym śmiechu, która godzinami potrafi oglądać w telewizji stare romanse i uwielbia pół nocy grać w bilard.

- Nie lituj się nad nią, June. - Max roześmiał się.
- Ta twoja „biedaczka”, gdyby mogła, wszystkich by stąd wyrzuciła.

Powoli dochodził do sedna. Kristina Fortune pewnie ani jednego dnia w swoim życiu solidnie nie przepracowała. W przeciwieństwie do jego rodziców i do obecnych tu ludzi nie wiedziała, co to znaczy urobić sobie ręce po łokcie.

- Nadarza się świetna okazja - kontynuował - aby Jej Wysokość popatrzyła na świat z naszej perspektywy. Zwłaszcza z twojej, Sydney.

- Z mojej?

Skinął głową.

- Tak. Chciałbym, żebyś pokazała jej, *co* i *jak*.

Sydney zupełnie nie mogła się w tym połapać. Zerknęła na June; ta wzruszyła ramionami.

- Po co?

- W tej chwili szanowna panna Fortune myśli, że jest niejaką Kris Valentine, która po niedawnym rozstaniu z mężem rozpoczęła nowe życie i pracuje tu jako druga pokojówka.

Sydney skrzywiła się. Odkąd przyszła do „Rosy”, nigdy nie miała nikogo do pomocy. Zawsze wszystko robiła sama. Chyba że wyjeżdżała gdzieś na urlop, wtedy Max brał zastępstwo. Nie, wcale nie podobały się jej te zmiany.

- Jaka druga pokojówka?

Max, zadowolony z siebie, wyszczerzył zęby.

- Ta, którą zatrudniłem dwa miesiące temu - odparł. Po chwili spowaźniał. - Mam nadzieję, że jeśli Kristina Fortune popracuje tu, wówczas doceni urok tej chałupy.

Może zrozumie, że pieniądze nie są najważniejsze. Może zdołamy ją przekonać, aby nie burzyła ścian.

Powiódł wzrokiem po twarzach swoich pracowników, czekając na ich reakcję. Owszem, figurował w dokumentach jako właściciel „Rosy”, ale to nie on zarządzał całym interesem, lecz oni.

Sam pokiwał głową ruchem mędrca wyrażającego zgodę.

- Mnie to całkiem odpowiada.

- Mnie też - dodał szybko Jimmy, który dawno wkroczył w wiek emerytalny i nie wyobrażał sobie życia bez „Rosy”. Po prostu wydawało mu się, że do końca swoich dni będzie przycinał w ogrodzie trawę i dbał o ukochane krzaki róży.

Sydney i Antonio również poparli pomysł. Tylko June miała niepewną minę.

Max uniósł pytająco brwi.

- Coś ci się nie podoba?

Uważała, że ryzyko jest za duże.

- Max, a co zrobisz, kiedy zadzwoni ktoś z jej rodziny?

Podjezwiał, że jeśli reszta rodziny jest równie serdeczna i kochająca jak Kristina, nikt do niego nie będzie wydzwaniał. Przypuszczalnie Fortune'owie zakładali, że pobyt Kristiny w La Jolli może przeciągnąć się do dwóch miesięcy. Wcześniej nie zaczęją jej szukać.

- Myślę, że nikt nie zadzwoni. A gdyby jednak zadzwonił, to wtedy będę się martwił. Swoją drogą wiesz, co mi się wydaje? Są szczęśliwi, że się jej pozbyli.

- Kto by nie był - mruknęła Sydney. Nadęta, zaro-

zumiała Kristina nie przypadła jej wczoraj do gustu, a dziś nie spodobał się pomysł Maxa. - Max, a nie mógłbyś jej przydzielić do innej pracy? Niech pomaga Jimmy'emu w ogrodzie albo Samowi w kuchni. Ja naprawdę nie bardzo mam na nią ochotę.

Max świetnie ją rozumiał. Kristina potrafiła każdemu dać się we znaki.

- Nie martw się, Syd. Przegonimy damulkę po całym pensjonacie. Będzie słała łożka, obierała kartofle, pielęła grządki. Wyjaśnimy jej, że każdy na wszystkim musi się znać. - Na moment zamilkł. - Chociaż teraz jest inna niż przedtem. Całkiem sympatyczna.

Sydney prychnęła pogardliwie.

- Uwierzę, jak zobaczę.

Antonio poparł Sydney. Jimmy też miał zastrzeżenia do Kris; podobno lekceważąco wypowiedziała się o jego zdolnościach ogrodniczych. Samowi również dopiekle do żywego.

- Wpadła do kuchni i zaczęła mnie krytykować, że wszystko mam źle zorganizowane. Nawet nie wiedziałem, co to za jedna.

Mimo że wczoraj Max gotów był ją udusić własnymi rękami, dziś, ku swemu wielkiemu zdumieniu, czuł się w obowiązku stanąć w obronie Kris. Może dlatego, że sama nie mogła się bronić, a może dlatego, że tak pasudnie ją okłamał. W każdym razie postanowił uciąć tę dyskusję.

- Wiercie mi, jest teraz zupełnie inną kobietą. Moim zdaniem, już dawno temu ktoś powinien był nabić jej guza.

Sydney uśmiechnęła się szeroko.

- Mądrze powiedziane, szefie.

Zostawszy sam w gabinecie, Max spojrzął na zegarek. Było za późno, by mógł się przydać na budowie. Pocieszał się tym, że Paul doskonale potrafi kierować pracą poszczególnych ekip.

Na wszelki wypadek uznał, że zadzwoni do niego. Po dziewiętnastu dzwonek miał się już rozłączyć, kiedy Paul wreszcie podniósł słuchawkę.

- Co tak długo?

- No wiesz, bywają ciekawsze rzeczy do roboty niż siedzenie w przyczepie i czekanie na telefon - odparł żartem Paul. Pośród huków i stuków ledwo było go słychać. - Bałem się, że betoniarki nie dojadą, ale dotarły o wpół do ósmej.

- Dzięki, stary, że mnie wyręczasz. - Max uwielbiał pracę na budowie i nigdy nie zrzucił na innych swoich obowiązków. Tym razem jednak nie miał *wyjścia*. - Słuchaj, zrobię sobie dziś wolne. - Nerwowym ruchem przecesał ręką włosy. Zawsze lubił jasne, czyste sytuacje. - Trochę mi się tu wszystko pokomplikowało.

Paul wyczuł napięcie w głosie przyjaciela, a wiedział, że Max rzadko się denerwuje.

- Sprawa jest poważniejsza, niż myślałeś? - spytał.

- W pewnym sensie.

Opowiedział Paulowi o amnezji Kristiny. Kiedy skończył, Paul zagwizdał przeciągłe.

- O rany! No i co zamierzasz? Skontaktujesz się z jej rodziną, żeby kogoś po nią przysłali?

- Na razie nie - odparł Max, starając się zagłuszyć wyrzuty sumienia. Przypomniął sobie fragment podsłuchanej rozmowy telefonicznej. - Wiesz, to dość zajęci ludzie. Myślą wyłącznie o interesach. Nawet nie zauważają jej nieobecności.

Na drugim końcu linii rozległ się potężny łoskot. Maxowi brakowało tych hałasów. Wiele by dał, żeby zamienić się z Paulem na miejsca.

- Chyba nie interesy ich teraz pochłaniają - powiedział Paul, kiedy wreszcie trochę ucichło. - Nie czytasz, stary, gazet?

- Ostatnio nie. Bo co?

- Któryś z Fortune'ów czeka na proces. Jest oskarżony o zabójstwo starej aktorki. Moniki jakiejś tam. Wszystkie brukowce o tym pisały. Może reszta rodzinki korzysta z okazji i próbuje zagarnąć jego forszę?

Właśnie tak funkcjonowali moi biologiczni rodzice, przemknęło Maxowi przez myśl. Korzystali z uciech życia, nie zważając na cudze nieszczęścia. Czyżby kolejna rzecz, która łączyła go z Kristiną?

- W każdym razie są zajęci. Czyli mam ją na głowie - powiedział. Nie było sensu wtajemniczać Paula we wszystko, co się dzieje. - A skoro tak, to pomyślałem sobie, że pokażę jej, jak funkcjonuje „Rosa”.

Paul odchrząknął znacząco.

- I jak funkcjonuje Max Cooper?

Max przypomniał sobie wczorajszy wieczór na plaży. Nie, wyobraźnia musi płatać mu figla. Przecież ostatnia rzecz, jaka go interesuje, to romans z Kristiną.

- Jeszcze nie oszalałem! Baba niczym walec miażdży

każdego, kogo spotyka na drodze. - Nagle stanął mu przed oczami obraz Kris, biednej i oszołomionej. - A przynajmniej miażdżyła, dopóki nie zapomniała, jak to się robi. Teraz jest łagodna jak baranek. Wiesz, to bardzo śmieszne...

- Co?

- Ta zmiana. Zupełnie jak doktor Jekyll i pan Hyde, tylko w odwrotną stronę.

Mimo że był żonaty od dziesięciu lat - a może właśnie dlatego - Paul nie rozumiał kobiet. Nieustannie wprawiały go w zdumienie.

- Powodzenia, Max. Mam nadzieję, że nie będziesz żałował.

- Ja też, stary. Ja też. - Przez moment patrzył na fale spokojnie omywające brzeg. Ten sam widok z okna ma Kristina. Nagle uświadomił sobie, że biuro znajduje się bezpośrednio pod jej pokojem. Odruchowo ściszył głos, choć wiedział, że przez sufit go nie usłyszy. - DO zobaczenia jutro, Paul.

- Słuchaj, doceniam twoje towarzystwo, doświadczenie i wiedzę, ale nie musisz się spieszyć z powrotem. Wszystko jest pod kontrolą. Przynajmniej raz w życiu trzymamy się terminów...

- Nowych terminów, które już raz przesuwaliśmy - uprzytomnił mu Max.

Wiedział, że Paul podchodzi do takich spraw z większą nonszalancją. Aha, przyganiał kocioł garnkowi, pomyślał. A on sam jak podchodzi do spraw związanych z remontem pensjonatu?

- Postaraj się przyspieszyć roboty. W razie spóźnienia czekają nas potworne kary.

- Wiem! No dobra, wyciągnę bicz i zacznę nim wymachiwać.

Max parsknął śmiechem.

- Do jutra, Paul.

Rozłączywszy się, zerknął na sufit, zastanawiając się, co czuje osoba, która nie poznaje samej siebie. Wyszedł do holu, akurat kiedy Abbotowie płacili w recepcji za swój pobyt w „Rosie”. Starsze małżeństwo, które przyjeżdżało co roku na ostatni tydzień stycznia, obiecało, że wróci za rok.

- Będzie nam bardzo miło - powiedziała June, obdzielając ich przyjaznym uśmiechem.

- Tak, na pewno wrócimy. - Pani Abbot wymieniła spojrzenie z małżonkiem. Słowa o powrocie bardziej kierowała do niego niż do June.

- Na sto procent - dodał jej mąż. - Wczorajsza burza... to było coś! No nie, Edno?

Edna Abbot zarumieniła się po czubki uszu.

- Jemu się wydaje, że znów ma sześćdziesiąt pięć lat - szepnęła do June.

Wyszli na zewnątrz, trzymając się pod rękę. Sydney odprowadziła ich do drzwi, Antonio wyniósł bagaże do taksówki. W wieku osiemdziesięciu kilku lat sprawiali wrażenie młodzieńczo zakochanych. Niektórzy to mają szczęście, pomyślał z zazdrością Max.

June zauważyła jego minę.

- Dzięki takim ludziom chce się żyć, prawda?

- Wiesz co? Jesteś niepoprawną romantyczką.

Nie zamierzała się z nim spierać.

- Przyznaję się do winy.

Teraz, gdy Abbotowie wyjechali, już tylko cztery pokoje były zajęte przez gości. Dwanaście stało pustych, a właściwie jedenaście, bo jeden przydzielono Kristinie. Marszcząc czoło, Max rzucił okiem na księgę meldunkową, do której goście się wpisywali. Jego przybrany ojciec bał się komputerów; nie chciał powierzać niczego pamięci żadnej inteligentnej maszyny. Po przejęciu pensjonatu Max kontynuował zwyczaje ojca. Uważał, że komputer jest mu niepotrzebny, chociaż w firmie budowlanej nie wyobrażał sobie bez niego pracy.

Wprawdzie jest poza sezonem, ale księga meldunkowa mogłaby być trochę pełniejsza. Cholera, zaczynam myśleć jak Kristina! Wzdrygnął się, gdy to sobie uzmysłowił.

June popatrzyła na niego z rozbawieniem. Jak na pierwszy dzień lutego było wyjątkowo ciepło.

- Co? Chłodno?

Odsunął księgę w jej stronę.

- Nie. Po prostu zdrętwiałem... Kristina jeszcze śpi?

- Pewnie tak. Nie widziałam, żeby schodziła. - Spojrzała na zegarek. - Może trzeba zanieść jej parę kanapek? Zbliża się pora lunchu.

Przypomniał sobie, że on też nic nie jadł. Kiedy rano zszedł na dół, na sam widok Kristiny stracił apetyt, ale teraz burczało mu w brzuchu. Tak, wstąpi do kuchni i coś przekąsi, a przy okazji...

- Ja się tym zajmę. - Przynajmniej będzie miał powód, żeby zajrzeć do Kris.

- Tak właśnie myślałam. - June uśmiechnęła się pod nosem i wróciła do przerwanej lektury.

- Nie zwracaj na mnie uwagi - powiedział do Sama, biorąc ze stołu drewnianą tacę.

Kiedy gość prosił o śniadanie do pokoju, używali eleganckich dębowych tac, które z lewej strony miały wgłębienie na gazetę, a z prawej na wazonik. Jimmy specjalnie w tym celu hodował w ogrodzie małe różyczki.

Max włożył kilka winogron do ust, po czym wyjął z szafki talerz.

Sam nie lubił, gdy ktoś kręcił mu się po kuchni.

- Jak jesteś głodny, Max, mogę ci przygotować...

- To nie dla mnie, Sam. Pomyślałem sobie, że może Kris zgłodniała.

Sam odwrócił się i zajął obieraniem kartofli.

- Trutka na szczury jest na najniższej półce w spiżarni.

Max uśmiechnął się.

- Zapamiętam.

Przerzucił do miseczki trochę sałatki; oprócz niej postawił na tacy srebrny dzbanek z kawą, filiżankę oraz dzbanuszek ze śmietanką. Do kieszeni wsunął kilka torebek cukru.

- Dobry pomysł - mruknął Sam. Biada temu, kto mu nadepnał na odcisk. - Muszę sprawdzić, czy trutki nie uda mi się zapakować do takich różowych torebek.

- Sprawdź, Sam, sprawdź.

Ostrożnie niosąc tacę, Max opuścił kuchnię i schodami dla służby wszedł na piętro. Postawiwszy tacę na antycznym stoliku w holu, zastukał cicho do drzwi. Odpowiedziała mu cisza. Nacisnął klamkę i drzwi ustąpiły. Wziął ze stolika tacę i zajął do środka. ;

Kristina obróciła się w jego stronę. Od dłuższego czasu leżała z otwartymi oczami, szukając w pamięci czegoś znajomego, jakiegoś punktu oparcia.

- Nie śpię - oznajmiła.

Max postawił tacę na łóżku.

- Nie odpowiedziałaś, kiedy pukałem.

- Nie słyszałam. Byłam zajęta szperaniem w pamięci.

Usiadła, podciągając kolana pod brodę. Tym razem nie pociemniało jej przed oczami. No proszę, jaki sukces!

Popatrzyła na tacę. Sałatka. Dzbanek z kawą. Czy lubiła sałatki? A kawę?

- Nie wyobrażasz sobie, jaki to koszmar, kiedy ma się w głowie pustkę. - Podniosła wzrok. - Niczego się tam nie mogę doszukać, Max. Żadnych obrazów, żadnych emocji, żadnych myśli. Czuję się jak białe, nie zamalowane płótno.

- Czekające na pierwsze pociągnięcia pędzla? - Zadumał się: będzie tym malarzem, które je zamaluje.

Uśmiechnęła się. Gdyby nie wiedział, że kobietą na łóżku jest Kristina Fortune, pomyślałby, że ma przed sobą osobę wrażliwą i nieśmiałą, lecz Kristina, którą wczoraj widział, na pewno taka nie była.

Sięgnęła po widelec.

- Czy ja lubię sałatkę?

Przysunął do łóżka krzesło i usiadł na nim okrakiem.

- Spróbuj i się przekonaj.

Tak też zrobiła. Po chwili skinęła głową, zadowolona z dokonanego odkrycia.

- Miło, że przyniosłeś mi do łóżka jedzenie.

Wzruszył ramionami. Peszyły go słowa wdzięczności, zwłaszcza z jej ust.

- Nie możemy cię zagłodzić. - Popatrzył na widok za oknem. - Rozmawiałem z lekarzem. Obiecał, że zajrzy do ciebie później.

Zaczęła szybko jeść. Nie wiedziała, że jest aż tak głodna.

- To tu pracuje również lekarz? - zdziwiła się.

- Nie. Doktor Daniel Valente jest moim przyjacielem z czasów dzieciństwa. Razem dorastaliśmy.

Chłonęła informacje jak gąbka wodę. Chciała czym prędzej zapełnić dziurę w pamięci.

- Tu dorastałeś?

- Tak. - Co prawda, pojawił się w „Rosie” dopiero jako trzynastoletni chłopiec, ale zawsze uważał, że właśnie w tym momencie zaczęło się jego życie.

Wydawało jej się, że słyszy w głosie Maxa jakąś dziwną nutę. Tęsknoty? Szczęścia? Nie wiedziała.

- Dla małego chłopca to musiało być cudowne. Wielki dom, ogród, za oknem plaża...

Czy ona też dorastała w tak pięknym miejscu? Czy też miała tak wspaniały widok za oknem?

Max utkwiał oczy w jej twarzy.

- Taki mały to nie byłem - wyjaśnił. - Miałem trzynaście lat, kiedy tu zamieszkałem.

Sięgnęła po filiżankę, którą Max napełnił kawą.

Uśmiechnęła się w podzięcie.

- Właśnie wtedy twoi rodzice kupili ten pensjonat? Kiedy miałeś trzynaście lat?

Nie miał pojęcia, dlaczego powiedział jej prawdę. Może po prostu tak było łatwiej?

- Nie. Wtedy trafiłem tu z domu dziecka.

Widząc jego skupiony wyraz oczu, Kristina zapomniała o własnych problemach.

- Nie rozumiem...

Taca zachybotwała się na łożku. Max wstał z krzesła i odstawił ją na toaletkę.

- Właściciele „Rosy” to moi przybrani rodzice - wyjaśnił.

- Jesteś sierotą? - spytała.

Doskonale potrafiła sobie wyobrazić, jak się biedak musiał czuć. W tej chwili sama czuła się jak sierota. Zresztą kto wie, może nią jest?

Max zmrużył oczy. Miał wrażenie, że w jej głosie pobrzmiewa nuta współczucia. Zazwyczaj nie cierpiał, kiedy ktoś się nad nim litował, ale teraz - o dziwo - jakoś mu to nie przeszkadzało.

- W pewnym sensie - odparł.

- Zawsze sądziłam, że albo się jest sierotą, albo nie...
- powiedziała zmieszana.

- Można nią nie być, ale się nią czuć. - Zwłaszcza gdy się ciągle zmienia domy i wszędzie jest się traktowanym jak zbędny balast. - Teoretycznie mam rodziców. Pewnie gdzieś sobie żyją. - Roześmiał się gorzko. - Nie rozpoznałbym ich, nawet gdybym stanął z nimi (warzą w twarz. Chyba o to im chodziło.

Odruchowo wyciągnęła rękę i ujęła go za dłoń.

- A kiedy trafiłeś do domu dziecka? Jak to się stało?

Słyszając łagodność i troskę w głosie Kristiny, pragnął się jej zwierzyć; był jak mokry zmarznięty pies, który chce się wygrzać w ciepłe bijącym z kominka.

- Pamiętam, że któregoś ranka obudziłem się w motelu. - Miał wtedy cztery lata, może pięć. Od tego dnia datowały się jego wspomnienia. - Pokój był mniejszy od tego, w którym teraz jesteśmy, ale mnie się wydawał ogromny. Ogromny i przeraźliwie pusty. - Mówił takim tonem, jakby ta historia przydarzyła się komuś innemu. - Nikogo poza mną w nim nie było. Moi rodzice wynieśli się w środku nocy, zabierając najpotrzebniejsze rzeczy. - Wzruszył ramionami. - Ja im nie byłem do niczego potrzebny.

- Och, Max! To okropne!

Zdumiało go, że tak bardzo przejęła się jego losem, bo przecież to, o czym opowiadał, miało miejsce dawno temu. Odchrząknął. Trochę się zagalopował. Idąc na górę, nie miał zamiaru wracać pamięcią do przeszłości, do wydarzeń, o których - całkiem świadomie - nie myślał od lat.

- Może i okropne - przyznał - ale ja na tym zyskałem. Gdyby mnie nie zostawili, nie trafiłbym do państwa Murphy.

John i Sylwia Murphy okazali się jego zbawieniem. Dzięki nim krnąbrny nastolatek będący na bakier z prawem wyrósł na porządnego człowieka. Mieli doskonałe metody wychowawcze; nie krzyczeli, nie prawili kazań, po prostu sami dawali dobry przykład.

A jacy teraz byliby z ciebie dumni, pomyślał, patrząc na biedną Kris.

- Czyli nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło - powiedziała, stawiając filiżankę na szafce nocnej. - Oby tak było i w moim wypadku.

- Będzie. Na pewno.

Chciała w to wierzyć. Chciała w cokolwiek wierzyć.

- Mówisz to z takim przekonaniem...

Zrobiło mu się jej żal.

- Lekarz nie ma wątpliwości, że odzyskasz pamięć.

Twierdzi, że to tylko kwestia czasu. Że może ją pobudzić jakiś dźwięk, zapach, obraz.

- To pocieszające. - Miała nadzieję, że lekarz wie, co mówi. Przeciągnęła się. - Sałatka była pyszna.

- Sam się ucieszy.

Maxowi przyszło do głowy, że jeśli kucharz usłyszy pochwałę, może zrezygnuje z pomysłu przesypywania trutki do różowych saszetek od cukru.

- Kto to jest Sam?

- Gotuje u nas.

Zadumała się. Sam może być zdrobnieniem zarówno żeńskiego, jak i męskiego imienia.

- Sam to skrót od Samantha?

- Nie. Od Samuela.

Nie kojarzyła żadnego Samuela. Starła się nie popaść w depresję.

- Wszystkiego muszę się uczyć od nowa.

Wiedział, że powinien wyjść, zanim popełni głupstwo i wyzna jej prawdę. Tylko z taką Kristiną, z Kris Valentine, ma szansę utrzymać pensjonat w nie zmienionym stanie. Poprzednia Kristiną nie słuchała żadnych argumentów, a gdyby sprzeciwił się jej planom, przypuszczalnie znalazłaby sposób, aby postawić go współwłasności.

- Nie przejmuj się. Wszyscy będziemy ci pomagać.

Dziś jeszcze sobie odpocznij. Wystarczy, jak jutro wrócisz do pracy.

Czuła się zdezorientowana, ale na myśl o pracy wstąpił w nią entuzjazm.

- Tak, im szybciej przystąpię do znajomych czynności, tym szybciej otworzy mi się jakaś klapka w pamięci.

- No właśnie.

Oby to tylko nie nastąpiło za szybko, pomyślał.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Kiedy nazajutrz rano otworzyła oczy, miała nadzieję, że to wszystko było koszmarnym snem. Ale po chwili okazało się, że sięga pamięcią wyłącznie do dnia wczorajszego.

Lekarz, którego Max wezwał, zapewniał ją, że amnezja minie. Na wszelki wypadek pojechali w trójkę do szpitala, by wykonać dodatkowe badania. Badania wykazały, że fizycznie nic jej nie dolega; odzyskanie pamięci było kwestią czasu.

Jedyne, co mogła robić, to czekać.

Więc uzbroiła się w cierpliwość.

W nocy miała wiele snów. Kiedy rano się obudziła, wiedziała, że śniła, ale nie pamiętała, o czym ani o kim. Czowała się taka bezradna, taka zagubiona. Sama dla siebie była obcym człowiekiem. Czy miała rodzinę? Kogoś, kogo zaniepokoi jej nieobecność?

Zagadki bez odpowiedzi.

Wzięła głęboki oddech i starała się odprężyć. Nie mogła sobie pozwolić na żadne załamanie nerwowe. Musi być silna. Nagle intuicyjnie poczuła, że zawsze była silna, i nieulekła. To już coś.

Rzuciła okiem na zegar. Mimo wczesnej pory posta-

nowiła wstać. Była za bardzo podminowana, by leżeć beczynninie. Przez moment zastanawiała się, czy zawsze tak wcześnie zrywa się z łóżka, czy dziś wyjątkowo. To było najgorsze: nic o sobie nie wiedziała. Nawet tego, jak czesze włosy.

Spojrzała do lustra. Czy ma je upiąć? Zostawić rozpuszczone? A przedziałek? Czy zwykle był pośrodku, czy bardziej z boku? Jeśli z boku, to z której strony?

Zaczęła próbować różne fryzury; nic jej się nie podobowało. W końcu zostawiła włosy rozpuszczone. Tak wyglądały najlepiej.

Czuła się jak małe dziecko, które stawia pierwsze kroki i nie wie, czy zdoła przejść przez pokój, czy zaraz wyładuje na pupie. Tyle że małe dziecko przebiera nóżkami i nie myśli o tym, co robi.

Skończyła się ubierać, kiedy usłyszała ciche pukanie. Spragniona towarzystwa, kogoś, kto pomógłby jej zapełnić lukę w pamięci, podeszła do drzwi.

- Kto tam?

- Ja. Max.

Zaskoczyła go jej radosna mina. Kristiną sprawiała wrażenie, jakby autentycznie ucieszyła się na jego widok. Gdyby tylko znała prawdę!

- Jak się czujesz? Gotowa jesteś do pracy?

- Pewnie. - Wskazała na swoje ubranie. - Mogę w tym? Nie znalazłam służbowego stroju...

Max pogratulował sobie w duchu przezorności. Poprosił wczoraj Sydney, by poszła do pokoju Kris, kiedy będą w szpitalu, i zabrała notatki na temat przebudowy pensjonatu. A także, aby wyjęła rzeczy Kris z walizki

i powiesiła w szafie. Gdyby Kris zobaczyła spakowaną walizkę, trochę mogłaby się zdziwić.

Miała na sobie dżinsową spódnicę i koszulę. No, no, tego się zupełnie nie spodziewał. Z drugiej strony, pewnie ten prosty dżinsowy strój kupiony był u któregoś z wielkich dyktatorów mody i kosztował majątek.

- Wyglądasz świetnie. A służbowych mundurków nikt tu nie nosi. Po co sobie komplikować życie, nie?
- No właśnie, po co, spytał sam siebie. - Jeśli jesteś gotowa, chodźmy do jadalni.

Byli na schodach, kiedy nagle coś sobie przypomniała.

- Wiesz co? Śniłeś mi się w nocy. A przynajmniej... przynajmniej wydaje mi się, że to byłeś ty. Chociaż... Nie, właściwie to sama nie wiem - dokończyła zrezygnowana.

Na moment zwolnił i jak przystało na sympatycznego szefa albo starszego brata, objął ją ramieniem.

- Nie denerwuj się, Kris. To minie.

Oby tylko nie za szybko, dodał *w myślach*. Oby tylko miał czas nad wszystkim się zastanowić i podjąć jakąś sensowną decyzję. Wiedział, że o tej porze w jadalni będzie tylko Sydney. Na śniadanie było jeszcze trochę za wcześnie. I faktycznie, Sydney właśnie kończyła nakrywać do stołów. Słyszając kroki, odwróciła się. Na widok Kris mina jej zrzedła.

- Dzień dobry - oznajmiła chłodno, wyglądając oburus.

- Dzień dobry, Syd. - Max udał, że nie dostrzega jej wrogości. - Kris mówi, że czuje się już całkiem dobrze.

- Cieszę się - mruknęła Sydney, poprawiając sztucce.

Max delikatnie ujął Kristinę za łokieć. Wyczuwał, jak bardzo jest spięta.

- Obawiam się, Sydney, że musisz nauczyć Kris wszystkiego od początku.

- Jak chcesz, Max.

Skoro nie miała pamięci, a zatem i skali porównawczej, Kristina nie wiedziała, czy Sydney do wszystkich odnosi się z taką wrogością, czy tylko do niej; podejrzewała jednak, że nawet skazańcy bywają lepiej traktowani.

Skazańcy? Skąd jej to przyszło do głowy? Czy znała kogoś oskarżonego o morderstwo? Albo odsiadującego wieloletni wyrok? Serce zaczęło jej mocno łomotać, ale... Nie, nie doznała żadnego olśnienia.

Max zauważył w niej jakąś zmianę.

- Kris, co się stało?

- Nic. - Pokręciła głową. - Wydawało mi się, że coś sobie przypomniałam. Ale niestety...

- Wspomnienia wróca, kiedy się tego najmniej będziesz spodziewała. Po prostu staraj się odprężyć, nie myśleć o przeszłości. - Nagle poczuł na sobie wzrok Sydney. Kiedy spojrzał w jej stronę, zobaczył, że uśmiecha się pod nosem. Przynajmniej jedno z nas się dobrze bawi, pomyślał. - Zobaczmy się wieczorem.

W oczach Kristiny pojawił się strach.

- Wychodzisz? - spytała.

Sądziła, że w razie potrzeby zawsze znajdzie go w pobliżu. Był jej liną ratunkową, pomostem między rzeczywistym światem a ciemną próżnią, po jakiej błądziła.

Dreńczony wyrzutami sumienia, czym prędzej skierował się w stronę drzwi. Bał się, że jeśli teraz nie wyjdzie,

to później tym bardziej nie zdoła. A przecież nie mógł w nieskończoność zaniedbywać swoich obowiązków.

- Muszę - odparł. - Prowadzę firmę budowlaną.

Kristina przeniosła wzrok na Sydney, a potem znów na Maxa.

- Firmę budowlaną? - zdziwiła się. - A nie mówiłeś, że jesteś właścicielem tego pensjonatu?

A może wcale tego nie mówił? Może sama to sobie ubzdurzyła? Miała tak straszny mętlik w głowie!

- Tak, Max jest właścicielem „Rosy” - oznajmiła Sydney. Podeszła do Kris, wzięła ją za rękę i pociągnęła w głąb sali. - Ale jest również właścicielem firmy budowlanej, którą stworzył od podstaw.

- Tak. A więc do zobaczenia wieczorem - powtórzył Max.

Sydney uśmiechnęła się do niego szeroko. Przyjazny uśmiech natychmiast zniknął jej z ust, ledwo Max wyszedł z jadalni. Robiąc dobrą minę do złej gry, zwróciła się do Kris:

- Chodźmy na górę. Przed lunchem musimy posprzątać szesnaście pokoi.

Czuła, że na pomoc nowej pokojówki raczej nie powinna liczyć.

- Szesnaście? - Kristina *ruszyła za Sydney do holu.*

- Aż tylu mamy gości?

Poza siedzącą w recepcji June nie widziała ani jednej osoby. Nagle uświadomiła sobie, że skojarzyła imię June z konkretną osobą - z kobietą w recepcji. Uśmiechnęła się zadowolona.

- W tej chwili cztery pokoje są zajęte - wyjaśniła

Sydney. - Ale w pustych pokojach też się kurzy. Sprzątamy je codziennie.

Coś jej mówiło, że to będzie długi, męczący dzień. Potrząsając z rezygnacją głową, skierowała się w stronę dużej szafy ściennej, w której trzymane były szczotki, odkurzacze oraz inne przybory służące do sprzątania.

Kristina nie potrzebowała wspomnień ani skali porównawczej, by uznać, że raczej kiepsko sobie ze wszystkim radzi. Z każdą mijającą godziną rosło w niej poczucie własnej niemocy i niezdarności, w innych zaś narastała frustracja i wściekłość.

Zaczęła pracę pod okiem Sydney. Oczywiście nie potrafiła słać łóżka tak, jak to się robi w szpitalu lub w wojsku. Sydney nie kryła irytacji, kiedy parę minut później weszła do czwórki, by sprawdzić, czy wszystko zostało wykonane prawidłowo.

- Żle! - zawołała, patrząc na łóżko. - Zupełnie nie tak jak trzeba. - Westchnęła głośno. - Odsuń się. Sama pościelę, a ty zetrzyj kurze. Odkurzenie nie wymaga większej filozofii, więc chyba sobie poradzisz?

Radziła sobie całkiem dobrze, dopóki nie stłukła małej ceramicznej figurki.

- O Boże!

Z bijącym sercem zgarnęła ją do ręki i ostro zakończonym kawałkiem ukłuła się w palec. Przyłożyła do palca chustkę. Kiedy przestał krwawić, zawinęła w nią potłuczoną figurkę.

Ostrożnie wyjrzała za drzwi; nie chciała natknąć się na Sydney. Widząc, że korytarz jest pusty, szybko prze-

biegła do swojego pokoju. Położyła figurkę na toalecie; miała nadzieję, że zdoła ją skleić i odstawić na miejsce, zanim ktokolwiek zauważy jej brak.

Zdoła albo nie zdoła, bo jakoś szczęście jej nie dopisywało. Sydney ani razu *jej* nie pochwaliła, przeciwnie, stale krytykowała. Niby słusznie; Kristina sama czuła, że ma dwie lewe ręce. Każdą rzecz wykonywała tak, jakby robiła ją po raz pierwszy w życiu. Na przykład włączyła odkurzacz i na moment się zagapiła - w tym czasie odkurzacz wessał dolną część zasłony.

Sydney usłyszała jej krzyk rozpacz. Wbiegłszy do pokoju, zobaczyła, jak Kris usiłuje wyciągnąć zasłonę.

- Zostaw to - powiedziała, odsuwając ją na bok. - Dość mam przez ciebie dodatkowej roboty. - Popatrzyła na postrzępiony materiał. - Trzeba to będzie zacerować. Wiesz co? Lepiej zejdź na dół, może przydasz się Jimmy'emu. Jimmy to ogrodnik - dodała niecierpliwym tonem, widząc tępe spojrzenie Kris.

Kristina ruszyła posłusznie do drzwi. Nagle stanęła w pół kroku.

- A gdzie ja go znajdę?

- Jak to gdzie? W ogrodzie! - warknęła Sydney.

Pokręciła głową, jakby nie wierzyła, że można być aż tak ociężałym umysłowo.

Jimmy'ego odnalazła na tyłach pensjonatu. Przez chwilę obserwowała go, jak sadii białe stokrotki; starała się, aby współgrały kolorystycznie z innymi kwiatami. Widać było, że traktuje ogród z miłością i dba o niego jak o kochankę.

Kristina odchrząknęła. Zajęty pracą mężczyzna nie zwracał uwagi na jej obecność. .

- Sydney mnie przysłała - powiedziała wreszcie. - Żebym pomogła...

Podniósł głowę i zmrużył oczy, usiłując dojrzeć jej twarz. Wszystko w odległości większej niż pół metra miało zamazane kontury. Ale okulary nosił tylko wtedy, gdy musiał przejść się po terenie posiadłości; do pracy przy sadzeniu kwiatów ich nie potrzebował.

- Przypomnij mi, żebym jej podziękował. - Powiedział to zrezygnowanym tonem, bez uśmiechu, ale i bez grymasu, po czym skinął w stronę leżącego nieopodal szpadla. - No dobrze, skoro tu już jesteś, możesz usunąć chwasty.

Szorstką, kościstą ręką wskazał miejsce, od którego powinna zacząć. Miejsce prawie na drugim końcu ogrodu. Zastanawiała się, czy to zbieg okoliczności.

Słońce parzyło ją w ramiona, kiedy przesuwając się na czworakach, wrywała z ziemi zielska. Stos chwastów stopniowo się powiększał. Nie miała pojęcia, że jest ich aż tyle odmian. Jedne wychodziły gładko, inne opierały się, jakby rozpaczliwie walczyły o życie, jeszcze inne szczypały w, palce. Uważała, że całkiem nieźle wywiązuje się z powierzonego zadania, kiedy nagle usłyszała za plecami przeraźliwy krzyk.

Obejrzawszy się, zobaczyła Jimmy'ego, który patrzył na nią oskarżycielskim wzrokiem.

- Rany boskie! Nie odróżniasz chwastów od roślin? Najwidoczniej nie odróżniała. Poderwała się na nogi.

- Ja... Ogromnie przepraszam... - zaczęła.

Nie słyszał. Podniósł ze stosu coś, co ona wzięła za pospolite zielsko, a co zielskiem wyraźnie nie było, i podetknął jej pod nos.

- Wiesz, ile czasu mi zajęło, zanim to wyhodowałem?
Skuliła się.

- Nie.

Przypomniawszy sobie, jak lekceważąco potraktowała jego ukochane kwiaty pierwszego dnia po przyjeździe do La Jolli.

- Nic dziwnego; takie jak ty myślą tylko o sobie. Wiesz co? Lepiej idź pogłębić Antonia. Chłopak jest młody, serce ma zdrowe. Może nie załamie się psychicznie, kiedy rozwalisz mu coś, co godzinami budował.

Jeszcze raz usiłowała przeprosić ogrodnika, ale odwrócił się na pięcie i odszedł, mrużąc coś o pomordowanych roślinach i ludzkiej tępotnie. Czując, jak łyzy pieką ją w oczy, Kristina skierowała się do budynku. Nie miała pojęcia, kim jest Antonio, jak wygląda ani gdzie go szukać.

Długo szukać nie musiała. Po prostu wpadła na niego, i to dosłownie. Był to wysoki, barczysty mężczyzna, wielki jak stodoła. Oczywiście nie ucierpiał podczas zderzenia, czego nie można było powiedzieć o skrzynce z narzędziami, którą trzymał w ręku. Skrzynka spadła z hukiem na podłogę, a narzędzia rozsypały się na wszystkie strony.

- O Boże, przepraszam. - Schyliwszy się, Kristina pośpiesznie zebrała rozrzucone śrubki, młotki, dłuta.

- Nie szkodzi, nic się nie stało.

Mężczyzna chwycił skrzynkę; już odchodził, kiedy nagle usłyszał wołanie:

- Czy przypadkiem nie masz na imię Antonio?
Odwrócił się.
- Mam. Bo co?
- Jimmy powiedział, że dasz mi jakieś zajęcie.
- Tak? - Antonio zamyślił się; po chwili wyszczerzył zęby. - No dobra. Druga para rąk zawsze się przyda. A poza tym miło w trakcie pracy popatrzeć na ładną dziewczynę.

Wkrótce się przekonał, że akurat z tą ładną dziewczyną jest więcej problemów niż przyjemności. Źle zrozumiała jego polecenie. Kiedy w jednej z łazienek na parterze naprawiał prysznic, odkręciła dopływ wody. W ciągu paru sekund Antonio był przemoczony do suchej nitki.

Ociekający wodą, poszedł się wysuszyć i przebrać, a Kristinie kazał poszukać zajęcia u Sama w kuchni.

Sam nie ucieszył się na jej widok i nawet nie próbował robić dobrej miny do złej gry. Jego reakcja całkiem ją dobiła. Dlaczego od dwóch miesięcy pracuje z tymi ludźmi, jeśli tak bardzo jej nie lubią? Nie była w stanie tego pojąć.

Czym im się naraziła? Jakie miała grzechy na sumieniu? Postanowiła, że przy najbliższej okazji musi spytać o to Maxa.

A na razie energicznie wzięła się do pracy, którą zlecił jej Sam. Odkryła, że obieranie kartofli nie jest czynnością, którą przed utratą pamięci wykonywała systematycznie. Gdyby tak było, wiedziałyby, jak trzymać nóż. Zaciskając zęby, niezdarnie przesuwawała ostrze. Dwukrotnie się skaleczyła, lecz pracowała dzielnie dalej.

Wreszcie Sam nie wytrzymał. Ciskając przekleństwo w języku, którego nie rozumiała, dramatycznym gestem odebrał jej nóż. Drugą ręką wskazał na miszkę, w której leżały obrane przez nią kartofle.

- Tylko popatrz! To były normalne, duże kartofle! A teraz wyglądają jak kozie bobki! Co ja mam zrobić z kozimi bobkami? Nie, tak się nie będziemy bawić! Idź do jadalni i nakryj do obiadu. Umyj okna. Wszystko jedno, ale nie waż mi się tu wracać! Sydney! - ryknął. - Zabierz ją stąd, zanim złożę wymówienie!

Chcąc nie chcąc, Sydney znów wzięła Kristinę pod swoje skrzydła.

- Jak to jest, że czego się dotkniesz, to psujesz? - spytała, po czym westchnęła ciężko. - No chodź, poszukamy ci jakiegoś zajęcia, przy którym nic nie sknocisz.

Miała jednak duże wątpliwości, czy takie w ogóle istnieje.

Max padał z nóg, gdy o siódmej wieczorem wreszcie dotarł do „Rosy”. Najbardziej wymęczyła go jazda autostradą z placu budowy w Woodbridge East. Okazało się, że przy skrzyżowaniu z El Toro był wypadek: ogromna ciężarówka zablokowała niemal wszystkie pasy ruchu. Dalej za El Toro było nie lepiej. Samochody wlokły się w żółwym tempie, jakby asfalt wysmarowany był klejem.

W połowie drogi Max zawahał się, czy nie skrócić z autostrady i zamiast do pensjonatu nie pojechać do mieszkania w Newport Beach. Nie pozwoliły mu tego zrobić wyrzuty sumienia i zwykła ludzka ciekawość. Chciał się przekonać, jak Kristina radzi sobie w roli pokojówki.

Było to pierwsze pytanie, jakie zadał, kiedy minął próg. June siedziała w recepcji, jak zwykle pochłonięta lekturą. Ponieważ emanowała spokojem, dało mu to nadzieję, że cały dzień upłynął bez większych wrażeń. A przynajmniej że Kristina jeszcze nie odzyskała pamięci.

- Cześć, June? I jak?

Zanim zdołała odpowiedzieć, z jadalni dobiegł głośny brzęk. June założyła palcem stronę, żeby nie zgubić miejsca, po czym odparła:

- O, właśnie tak.

- Rozumiem. - Domyślił się, że mniej więcej w ten sposób przebiegał cały dzień. - Będę w gabinecie, gdyby ktoś mnie potrzebował.

Usiadł w fotelu, wyciągnął nogi i przymknął powieki. Czuł się jak zbity pies. Może popełnił błąd? Może nie należało jej wmawiać, że pracuje tu jako pokojówka?

Westchnął zniechęcony. Miał za sobą długi, nużący dzień. Dwóch robotników nie raczyło pojawić się w pracy, a dwaj inni, których wynajął na dniówkę, okazali się niekompetentni. Na jego pytanie, czy na pewno sobie poradzą, odpowiedzieli ze śmiechem, że takie coś to oni potrafią wykonać z zamkniętymi oczami. W każdym razie lepiej by było, gdyby mieli oczy otwarte. Może mniej nabiliby sobie guzów.

Oj, przydałby mu się urlop. Szkoda, że w ciągu najbliższych dziesięciu lat na żaden się nie zanosi.

Usłyszał za plecami kroki. Obróciwszy się twarzą do drzwi, spodziewał się, że ujrzy kipiący wściekłością personel. Tymczasem w drzwiach stała Kristina. Wyglądała jak biedne, zagubione dziecko.

- Max, czy mogę chwilę z tobą porozmawiać?

- No jasne. - Wstał i zapraszającym gestem wskazał jej drugi fotel. - Rozgość się.

- Dziękuję, wolę postać.

Przyglądała mu się tak dziwnie, że zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem choćby częściowo nie odzyskała pamięci. Po chwili spuściła oczy.

- To nie ma sensu, Max.

Widząc jej zboląłą minę, miał ochotę wyznać jej prawdę.

- Co nie ma sensu? - spytał.

- Moja praca.

Przestępowała nerwowo z nogi na nogę. Wyraźnie źle się czuła w swojej skórze. To dlatego, że w niej nie była - była w cudzej, którą jej narzucił. A to musiało mieć wpływ na jej zachowanie, psychikę, reakcje.

Wzięła głęboki oddech. Nie chciała wracać do dzisiejszych wydarzeń, ale jako jej pracodawca Max Cooper miał prawo o wszystkim wiedzieć i wołała, żeby poznał szczegóły od niej niż od innych.

- Nie potrafię prawidłowo zasłać łóżka. Nie umiem odróżnić chwastu od niechwastu. I za grubo obieram kartofle.

Może dla kogoś jej przewinienia były śmieszne i niepoważne, ale nie dla niej. I na pewno nie dla ludzi, którym miała dziś pomagać.

Nadstawiła do inspekcji ręce. Max zobaczył odprysnięty lakier, połamane paznokcie, pocięte do krwi palce. No tak, pierwszy uczciwie przepracowany dzień w jej życiu, pomyślał. Sądził, że będzie czuł głęboką satysfakcję, tymczasem było mu jedynie wstyd.

- W dodatku upuściłam tacę pełną szklanek.

Starą, się powstrzymać uśmiech, który wpełzał mu na wargi!

- Słyszałem...

Nagle uświadomiła sobie, że Max nie krzyczy na nią, nie udziela reprimendy. Może jeszcze nie dotarło do niego, co przed chwilą powiedziała?

- Wszystko źle robię. Wszystko leci mi z rąk.

Zaskoczyła, a zarazem wzruszyła go jej postawa. Nie spodziewał się, że Kris tak bardzo będzie przeżywać drobne porażki i niepowodzenia.

- Nie przejmuj się - powiedział łagodnie. - Naprawdę nie warto.

Jej jednak nie było *to* obojętne. Nie chciała być niezdarą, która wszystko psuje i tłucze. Nie potrafiła też zrozumieć, dlaczego Max podchodzi do tego z takim spokojem.

- A tobie to nie przeszkadza? - spytała.

Obszedł biurko i stanął koło niej.

- Do każdej nowej sytuacji trzeba się przyzwyczać. To wymaga czasu. Dla ciebie wszystko jest nowe. Mam nadzieję, że tłuczenie szklanek ograniczysz do minimum. - Tym razem nie krył uśmiechu.

- To był przypadek - zaczęła się usprawiedliwiać. - Ja...

- To dobrze. Cieszę się. Naprawdę.

Zmarszczyła czoło.

- Myślałaś, że ja specjalnie... Dlaczego miałabym cokolwiek rzucać?

Przypomniał sobie patyk, którym trafiła go w plecy.

- Ze złości. Z frustracji. Sam nie wiem.

- Nigdy bym czegoś takiego nie zrobiła - oznajmiła stanowczo, po czym przyjrzała mu się uważnie. A może delikatnie dawał jej coś do zrozumienia? - Czy jednak się mylę?

- Nie, chyba byś nie zrobiła.

A przynajmniej obecna Kristina tak by nie zrobiła. Wciąż nie mógł wyjść ze zdumienia, że tamta wredna, apodyktyczna jędza, która przyfrunęła tu na miotle, i to słodkie, miłe dziewczę, które przejmuje się tym, jakie wrażenie wywiera na innych, to jedna i ta sama osoba.

Może za szybko osądził tamtą Kristinę Fortune? Może gdyby ją lepiej poznał, ujrzałby również miłą Kris?

- Wiesz, Max, przemyślałam sobie wszystko i uznałam, że powinnam odejść. Nie nadaję się do tej pracy.

Nie mógł jej puścić. Nie w tym stanie, w jakim się teraz znajduje. Nie mógł też zadzwonić do jej rodziny w Minneapolis; diabli wiedzą, jakie wynikłyby z tego kłopoty. Nie, musi zatrzymać Kris w La Jolli i poszukać innego rozwiązania.

- Ależ nadajesz się! - zaproponował. - Po prostu przestań się stresować i miej świadomość, że musi minąć trochę czasu. Pamiętaj też, że każdemu zdarza się coś słuczy lub inaczej nabroić. - Dojrzał w jej oczach wdzięczność, ale po chwili przysłonił ją smutek. - O co chodzi? Jaki jeszcze masz problem?

Czuła się jak skarżypyta, ale sprawa nie dawała jej spokoju.

- Wydaje mi się, że nikt mnie nie lubi.

No proszę, i to jej przeszkadza! Kto by pomyślał? W porządku, porozmawia z personelem.

- Wyobraźnia płata ci figle - stwierdził. - Przeżyłaś szok. Straciłaś pamięć. Nie wiesz, kim jesteś ani gdzie jesteś. Nic dziwnego, że chwilami coś ci się wydaje.

Wiedziała, że nic się jej nie wydaje. I nie miała ochoty przebywać wśród ludzi, którzy byli do niej wrogo nastawieni. Ale na myśl o wyjeździe robiło się jej słabo. Bo dokąd mogłaby się wynieść? Przygryzła wargi i popatrzyła z wahaniem na Maxa.

- Naprawdę uważasz, że powinnam zostać?

Absolutnie. Niczego w życiu tak bardzo nie był pewien. Każde inne rozwiązanie pociąga za sobą zbyt wiele komplikacji.

- Naprawdę - odparł zdecydowanym tonem. - Zresztą dokąd byś poszła? - Czuł się jak ostatni łajdak, ale za wszelką cenę musiał ją zatrzymać. - Przecież nie masz dokąd.

Łzy zakręciły się jej w oczach. Świadomość, że gdyby nawet odzyskała pamięć, to i tak nie miałaby gdzie się podziać, była straszna.

Max odwrócił wzrok. Serce go bolało, gdy patrzył na jej nieszczęśliwą minę.

- Sama tak powiedziałaś - kontynuował. - Przyjechałaś tu, żeby uciec od wspomnień związanych z rozwodem. A June mówi, że od przyjazdu ani razu do nikogo nie zadzwoniłaś.

- Z tego wniosek, że nigdy nie bałam się samotności. Hm... - Zadumała się. Instynktownie czuła, że jest tyłem człowieka, który ceni ciszę i spokój, potrafi samo-

dzielnie podejmować decyzje i nie szuka na gwałt towarzystwa. - Psiakość, dlaczego nic nie pamiętam?

- Cierpliwości, prędzej czy później pamięć wróci.

Miała co do tego coraz większe wątpliwości, ale uznała, że nie ma sensu obarczać nimi innych. Max starał się być dla niej taki miły; pocieszał ją, próbował rozweselić, nie dopuścić do tego, aby się załamała.

- Skoro tak mówisz... - Uśmiechnęła się.

Wolałby, aby nie pokładała w nim bezgranicznej wiary.

- Tak mówię. I ani słowa więcej o rzucaniu pracy.

- Dobrze. Ani słowa. Dzięki, Max. - Skierowała się do drzwi. Nagle przystanęła i obejrzawszy się przez ramię, spytała: - Może ci coś przynieść?

Właśnie zaczął przeglądać papiery, jakie nagromadziły mu się na biurku. Od trzech tygodni nie miał czasu, żeby się do nich zabrać.

- Słucham? - Podniósł głowę.

- Nie jadłeś kolacji - powiedziała. Gdyby po powrocie z miasta zajrzał do jadalni, na pewno by go zauważyła. - Mogę ci coś przynieść z kuchni. O ile Sam mnie wpuści - dodała. - On chyba naprawdę mnie nienawidzi.

Max wybuchnął śmiechem.

- Przesadzasz. Sam po prostu miewa humory. Ale zdradzę ci małą tajemnicę. Trzeba go od czasu do czasu pochwalić, wtedy robi się miły i potulny. A chwalić można go właściwie bez przerwy, bo jest wyśmienitym kucharzem.

Dziwne, pomyślała. Wydawałoby się, że wyśmienity kucharz powinien mieć większe ambicje, niż gotować dla garstki osób w małym pensjonacie nad morzem.

- W takim razie co tu robi? - Oblała się rumieńcem. Pytanie zabrzmiało niegrzecznie, a przecież nie chciała urazić Maxa. - To znaczy, czy nie wolałby pracować w jakiejś ekskluzywnej restauracji?

Czyżby budziła się w niej mała diablica? Tego typu pytanie bardziej pasowało do dawnej Kristiny niż obecnej Kris.

- Nie, tu mu odpowiada. Przyjechał do „Rosy” kilka lat temu na odpoczynek. Żeby zebrać siły po operacji. Kucharz, który wtedy tu pracował, nie bardzo się gościom podobał. Sam zaczął zaglądać do kuchni, dawać mu wskazówki. Kilka razy sam przyrządził dla wszystkich posiłek, żeby, jak mówił, nie wyjść z wprawy. Żegnając się z moją matką, powiedział, że będzie mu brakowało tutejszej ciszy i spokoju. Mama, niewiele się zastanawiając, spytała, czy nie chciałby zostać na stałe. No i został.

- A ten poprzedni kucharz? Co z nim? - Miała wrażenie, że nikogo się tu z pracy nie wyrzuca.

- Pracował dalej jako pomocnik Sama - wyjaśnił Max. Tak, Phil odszedł na własną prośbę dopiero trzy lata temu, mniej więcej w tym samym czasie, co Sylwia i John Murphy zrezygnowali z prowadzenia pensjonatu. - Od paru lat mieszka u swojej córki, a Sam rządzi niepodzielnie. Nawet nie wyjeżdża na urlop. Mówi, że woli nie ryzykować. A nuż jakiś inny kucharz przyjedzie tu na odpoczynek i zajmie jego miejsce.

Kris roześmiała się wesoło. Przez moment wpatrywała się w twarz Maxa. Była to twarz człowieka o wielkim sercu, człowieka, któremu można ufać.

- Przyznaj się, zmyśliłeś całą historyjkę, prawda?

- Słowo honoru, że nie. To miejsce przyciąga ludzi. Goście czują się tu jak w domu i wracają do nas rok po roku.

A przynajmniej wracali. Ostatnio frekwencja spadła, coraz więcej pokoi stało pustych.

Wiedziała, że powinna odejść, zostawić go samego, ale lubiła jego towarzystwo. Ciekawa była, czy spotyka się z jakąś kobietą, czy...

- Czy z każdą osobą, która tu pracuje, wiąże się podobna historia?

- Właściwie tak - odparł po krótkim namyśle. Nagle uświadomił sobie, że trochę za dobrze czuje się w towarzystwie Kris. Powinien mieć się na baczności. - To co, przyniesiesz mi coś do jedzenia?

- Oczywiście. - Był jej szefem. Nie powinna się z nim tak spoufalać. - Może być specjalność domu?

Skinąwszy głową, sięgnął po kartkę leżącą na wierzchu stosu. Udawał, że jest zajęty. Dopiero kiedy został sam, podniósł wzrok znad biurka.

Cholera, Kris Valentine naprawdę daje się lubić. Gdyby zadzierała nosa tak jak Kristina Fortune, miałby mniejsze wyrzuty sumienia. Ale przez wzgląd na Sama, June i innych wiedział, że nie może się teraz wycofać; musi doprowadzić sprawę do jakiegoś sensownego końca.

Kristina zawahała się w drzwiach kuchni. Wewnątrz panował idealny porządek.

- Sam?

Pochylony nad stołem kończył przygotowywać suflet, który zamierzał wypróbować na personelu. Istniały nie-

zaprzeczalne korzyści z: mieszkania na terenie pensjonatu. Ilekroć nachodziła go ochota na eksperymenty kulinarne, zawsze mógł liczyć na zaprzyjaźnione króliki doświadczalne.

Na widok Kris skrzywił się.

- A, to ty. Przyszłaś stłuc kolejne szklanki?

Wymagało to dużego samozaparcia, aby nie rzucić się do ucieczki. Ale chowanie głowy w piasek niczego by nie rozwiązało. Wiedziała, że jutro ponownie musi stawić wszystkim czoło. Jutro, pojutrze, popojutrze...

- Nie. Przyszłam po kolację dla Maxa.

Bez słowa chwycił ze stosu tacę. Odkroił kilka cienkich plasterów pieczeni wieprzowej, ułożył je na talerzu, dodał przysmażone na złocisty brąz frytki oraz gotowane na parze brokuły.

- Gotowe - oznajmił.

- Słuchaj, chciałam cię przeprosić za... no, za...

Popatrzył na nią spod oka.

- Za co? - burknął.

Miała ochotę zapaść się pod ziemię, ale postanowiła, że wytrwa, nie podda się.

- Za te kartofle, za szklanki, za wszystko. - Chwilę się zastanawiała. - Wydaje mi się, że nigdy wcześniej tych rzeczy nie robiłam, że nie gotowałam, nie słałam łóżek, nie pieliałam grządek. Ale wszyscy mówią, że to właśnie robiłam. Z tego wniosok, że upadek z drabiny nie tylko pozbawił mnie pamięci, ale i przemienił w koszmarną niezdare.

Sam westchnął, udobruchany jej przeprosinami. Może rzeczywiście za ostro ją potraktował?

- Nie jesteś niezdarą. Każdemu zdarza się popełnić błąd. - Wskazał głową na tacę. - Zanieś Maxowi kolację, a potem wróć tu, dobrze? Pokażę ci, gdzie co stoi i dam parę wskazówek, żebyś jutro nie czuła się taka zagubiona.

- Zaraz przyjdę. Dziękuję.

Z radosnym uśmiechem wzięła ze stołu tacę i wybiegła z kuchni.

Sam zadumał się. Może Max ma rację? Może ta dziewczyna wcale nie jest taka nieznośna?

ROZDZIAŁ ÓSMY

Dopiero późnym wieczorem wróciła do siebie do pokoju. Wyjęła z kieszeni małą buteleczkę uniwersalnego kleju, którą dostała od June, po czym rozłożyła na biurku stłuczoną ceramiczną figurkę.

Nie było tak źle, jak się tego obawiała. Pastuszek stracił łaskę, ramię oraz pół kapelusza. Czerwone piórko tkwiło w drugiej połowie, tej, która pozostała na głowie. Na szczęście żadnej części nie brakowało. Teraz należy je tylko przykleić na miejsce.

Pod pewnymi względami przypominało to układankę. Czy jako dziecko lubiła układanki?

Zamyśliła się. Ciekawe, jakim była dzieckiem. Grzecznym? Wesołym? Czy ktoś ją kochał? A może, tak jak Max, od najmłodszych lat była zdana na siebie?

- Jak tak będziesz dumać, nigdy tego nie skleisz - skarciła samą siebie.

Usiadła przy biurku. Otworzywszy buteleczkę, przechyliła ją nad połówką kapelusza. Ze środka wyciekła kleista biała substancja. Za dużo. Niedobrze.

Westchnęła cicho i zaczęła zbierać chusteczką nadmiar kleju, uważając, aby chusteczka do niczego się nie przykleiła. Wtem rozległo się pukanie do drzwi. Kris pod-

skoczyła, upuszczając ceramiczny kapelusz na lepką chusteczkę. Szybko podniosła go i oczyściła.

Pukanie się powtórzyło, tym razem głośniejsze. Uchyliła drzwi na szerokość kilku centymetrów. Max. Kiedy indziej ucieszyłaby się na jego widok, ale nie teraz, gdy na biurku leżały kawałki stłuczonej figurki.

- Coś się stało?

Zauważył, że Kris przytrzymuje drzwi tak, jakby bała się go wpuścić do środka.

- Chciałem cię spytać o to samo - odparł. - June mówiła, że pożyczyłaś od niej klej.

- To prawda.

- Po co?

Przez chwilę walczyła sama z sobą, po czym westchnęła z rezygnacją i cofnęła się, otwierając drzwi na oścież.

- No dobrze, przyznam ci się, Kiedy dziś odkurzałam, stłukłam ceramiczną figurkę. - Podeszła do biurka i wskazała dowód swojego przestępstwa. - Chciałam ją skleić, zanim ktokolwiek się zorientuje.

Max podniósł odłamane ramię. To było niesamowite. Kristina Fortune całkowicie zlekceważyła jego prośbę, aby nie ruszać wiszącej nad kominkiem tkaniny, podczas gdy Kris Valentine przejmując się tandetną bezwartościową figurką.

Usiadła i ponownie wzięła się do pracy.

- Zostaw. Szkoda oczu - powiedział Max. - Kupię nową. One są naprawdę tanie.

Nie posłuchała. Skoro coś zepsuła, zamierzała to naprawić. Tym razem na laskę spadła odrobina kleju.

- Cena nie gra roli - mruknęła. - Powinnam być ostrożniej sz.

Obserwował ją z rozbawieniem. Była tak skupiona, jakby opracowywała projekt bezpieczeństwa narodowego, a nie doklejała ramię i łaskę ceramicznemu pastuszkowi.

- Jesteś bardzo dokładna.

- Jestem bardzo niezdarna. Ciągłe coś strącam albo wsysam.

Przysiadł na krawędzi biurka.

- Wsysasz?

Przyciskając połówkę kapelusza do połówki, która wciąż tkwiła na głowie pastuszka, wzruszyła ramionami.

- Podeszłam z odkurzaczem za blisko zasłon i...

Max ryknął śmiechem.

- Rozumiem, nie musisz dalej tłumaczyć.

Na palcu została jej cienka warstewka kleju. Usiłowała podważyć ją paznokciem.

- Zmieniłeś zdanie?

- W jakiej sprawie?

Odstawiła naprawioną figurkę na biurko i przeniosła wzrok na Maxa.

- W sprawie mojej dalszej pracy.

Nie chciała odchodzić. Nie miała domu. Nie wiedziała, czy starczy jej pieniędzy, aby wyżyć, zanim znajdzie inne zajęcie. Nawet jeśli ma w banku oszczędności, to nie pamięta, w którym. Tak, wołałaby zostać, ale decyzja należy do Maxa.

Nie zmienił zdania. Chętnie zatrzymałby ją tu na stałe. Nie tamtą jędzę, która gotowa była burzyć ściany, ale tę słodką istotę przejmującą się tandetną figurką.

Starła się wytrzymać jego spojrzenie. Nie było to jednak łatwe. Miała wrażenie, że Max przenika ją na wylot, poznaje jej najskrytsze myśli, odgaduje pragnienia i tajemnice.

Pragnienia... Może dlatego, że próbował jej pomóc, a może dlatego, że jego twarz była pierwszą, jaką zobaczyła, kiedy odzyskała przytomność, pragnęła lepiej poznać Maxa, zbliżyć się do niego.

Zakręciła buteleczkę z klejem. Figurka wprawdzie była sklejona, ale pęknięcia pozostawały widoczne. Cała robota na nic.

- Mogłabym z tobą pojechać?

Czuł się zdezorientowany, zupełnie jakby sam miał amnezję i nic nie kojarzył.

- Dokąd? - spytał.

- Do miasta. Chciałabym odkupić figurkę. - Wskazała palcem na pęknięcia. - A także, jeśli starczy mi pieniędzy, bo nawet nie wiem, ile tu zarabiam, komplet szklanek i zastony.

- Na figurkę na pewno starczy. - A szklanek i zaston nie zamierzał od niej przyjmować. - W porządku - powiedział. - Następnym razem, kiedy będę jechał do centrum, zabiorę cię.

Podobał mu się pomysł wspólnej jazdy samochodem. Jeszcze bardziej podobałoby mu się, gdyby mógł Kris zaprosić do restauracji na kolację przy świecach. Siedzieliby przy małym okrągłym stoliku, patrzyli sobie w oczy, rozmawiali...

- A nawet zgodzę się, żebyś zafundowała mi piwo.

- Piwo? - Wyobraziła sobie, jak siedzą w małej, za-

dymionej knajpcie, on z kuflem złocistego płynu, ona z... z czymś, może kieliszkiem wina, i słuchają, jak ktoś niskim, ochrypłym głosem śpiewa piosenkę o miłości. - Lubisz piwo?

- Owszem.

Zdarzało mu się pochłaniać je w większych ilościach, zwłaszcza na pierwszym roku studiów, zanim zdał sobie sprawę, że niczego tym sposobem nie osiągnie.

- A ja? - spytała.

Przyjrzał się jej badawczo. Wątpił, aby Kristina Fortune była amatorką piwa, ale Kris Valentine mogłoby smakować.

- Przykro mi. Nie wiem.

Podeszła bliżej. Poczował na twarzy jej oddech.

- A w ogóle to co wiesz na mój temat, Max? Opo-wiadałam ci kiedykolwiek o mojej rodzinie?

Jego myśli błądziły tam, gdzie nie powinny. Usiłował przywołać je do porządku.

- Nie. Nigdy - odrzekł zgodnie z prawdą. - Odnio-słem wrażenie, że nawet jeśli masz rodzinę, nie utrzy-mujesz z nią kontaktu.

Rozejrzała się po pokoju.

- Nie ma tu żadnych zdjęć.

- Nie ma. - Nie był pewien, do czego Kris zmierza.

- Więc chyba faktycznie jest, jak mówisz. Gdybym miała rodzinę, miałabym również jej zdjęcia. - Utkwiła w nim wzrok. - Czuję się niemal tak, jakby dopiero od przyjazdu tutaj zaczęło się moje życie.

- Ja też - przyznał. - Jakby wszystko, co wydarzyło się wcześniej, porzucenie przez rodziców, sierociniec, by-ło koszmarnym snem.

Chciała, żeby wziął ją w ramiona i przytulił mocno. Tak jak wczoraj, kiedy obudziła się wystraszona i dezorientowana.

- Kolejna rzecz, która nas łączy - powiedziała ciepłym, jedwabistym głosem.

W głowie Maxa rozległ się dzwonek ostrzegawczy.

- Istotnie.

Wiedział, że nie ma prawa wiązać się z osobą, która nie istnieje. Z osobą, którą sam wymyślił. Skierował się ku drzwiom.

- Kładź się spać, Kris. Wstajemy tu skoro świt.

Skinęła głową. Kiedy tak patrzyła na jego szerokie ramiona i szczupłe biodra, serce zaczęło jej łomotać.

- Max...

Wiedział, że źle robi, ale przystanął.

- Słucham?

Wspięła się na palce i pocałowała go lekko w usta. Zaskoczyła go chyba bardziej niż tamtego wieczoru na plaży, gdy z furią cisnęła w niego patykiem.

- Za co to? - spytał.

Uśmiech rozjaśnił jej oczy.

- Za to, że jesteś dla mnie taki dobry. Po prostu za to, że jesteś. Dziękuję.

Spoglądała na niego uśmiechnięta, lecz niepewna. Nie był w stanie dłużej się opierać. Zgarnął ją w ramiona i wpił ustami w jej wargi.

Nogi się pod nią ugięły, w głowie jej zaszumiało. Czuła się jak nowo narodzona. Jakby w tym momencie rozpoczęło się jej życie. To był ich pierwszy pocałunek, nie miała co do tego żadnych wątpliwości. Gdyby się wcześniej cało-

wała z Maxem, zapamiętałaby to, bez względu na amnezję. Takiego bezbrzeżnego uczucia radości i szczęścia nie zapomina się pod wpływem uderzenia w głowę.

Zacisnęła ramiona wokół szyi Maxa i z całej siły przywarta do jego ciała. Po chwili jęknęła niezadowolona, kiedy delikatnie odsunął ją od siebie. Zdziwiona i oszłamiona, popatrzyła na niego pytająco.

Trzymał ją za nadgarstki, bojąc się, że jeśli je puści, ona znów go obejmie. Starał się zachować uczciwie wobec niej i samego siebie, ale był tylko człowiekiem. Wiedział, że wystarczy jedno lekkie muśnięcie, aby przegrał walkę, którą z sobą toczył.

- Uważam, że zaszczyliśmy za daleko.

Z jego słów wyciągnęła jeden wniosek. Zrobiło jej się wstyd: popełniła straszny błąd.

- Masz kogoś, prawda? - spytała cicho.

Nie miał. Jedyłą kobietą, która zaprzętała jego myśli, była ona, pozbawiona pamięci Kris Valentine. Ale kiedyś odzyska pamięć. I nie wybaczy mu, że ją tak strasznie oszukał.

Owszem, pragnął jej. Wiele by dał, aby nie musieć się kontrolować. Tym bardziej że ona też była chętna. Ale trudno. To była cena, jaką musiał zapłacić za swoje kłamstwo.

Nie odpowiedział na jej pytanie. Zamiast tego opuścił ręce i cofnął się dwa kroki.

- Idź spać, Kris.

Wyszedł na korytarz, zostawiając ją samą.

Poczuła się jeszcze bardziej zagubiona niż wcześniej.

Sydney podniosła głowę. W oczach Kristiny dojrzała blask, którego wcześniej tam nie było. Wczoraj Max wprowadził do jadalni niezdarną, wystraszoną kobietę, która bała się własnego cienia. Dziś ta sama kobieta promieniała energią i pewnością siebie. Czyżby w nocy odzyskała pamięć?

Chyba nie, pomyślała Sydney. Gdyby wróciła jej pamięć, zaczęłyby rozstawiać wszystkich po kątach i szukałyby zemsty; ona zaś sprawiała takie wrażenie, jakby rwała się do roboty.

- Gotowa do pracy? - spytała ostrożnie Sydney.
- Tak.

W głosie Kris nie było najmniejszego wahania. O ile wczoraj czuła się jak mała bezradna dziewczynka, o tyle dziś jak poszukiwacz przygód, który wyrusza na podbój świata.

A wszystko z powodu wczorajszego pocałunku. Może nic jej wcześniej z Maxem nie łączyło, wiedziała jednak, że są sobie przeznaczeni.

Sydney przyjrzała się jej uważnie. Musiał być jakiś powód tej dziwnej zmiany, która zaszła w Kristinie.

- Dobrze się czujesz?
- Świetnie.

Kris obwiązała się w pasie fartuchem. Czuła się naprawdę szczęśliwa. Ciekawe, czy po raz pierwszy w życiu?

- Przepraszam za wczoraj - powiedziała, wyjmując z szafy płyn do mycia szyb oraz papierowe ręczniki. - Byłam oszołomiona pustką w głowie, może dlatego z niczym sobie nie radziłam i wszyscy mieli przeze mnie więcej roboty. Ale dziś postaram się, żeby było inaczej.

Skoro Kristina zdobyła się na przeprosiny, to ona, Sydney, nie powinna przechowywać w pamięci urazów. Tym bardziej że za skórę zalazła jej bogata snobka z Minneapolis, a nie młoda kobieta opasana fartuchem.

- No dobrze. Zaczynj dziś od piątki. June prosiła, żeby pokój był wysprzątnany do jedenastej. Mniej więcej o tej porze przyjeżdżają państwo Hennessey. Niestety, z małą Heather. - Westchnęła ciężko.

- Nie przepadasz za nimi?

- Oj, nie.

Sydney wciąż pamiętała ich ostatni pobyt. Wszędzie na ścianach widniały ślady lepkich rąk. Tym razem June postanowiła umieścić rodzinę w pokoju o ścianach pomalowanych łatwo zmywalną farbą emulsyjną, a nie pokrytych tapetą.

- Dziewczynka ma pięć lat i jest rozpuszczona jak dziadowski bicz. Wszystko jej wolno. Jeśli chodzi o rodziców, są strasznymi snobami. Zadzierają nosa, kapryszą. Jak to bogacze.

- Może się zmienili od czasu ostatniego pobytu?

- Może. Choć wątpię.

Ku swej radości Kristina zobaczyła, że praca idzie jej o wiele lepiej niż pierwszego dnia. W ciągu kilku godzin wysprzątała pokoje, niczego nie strącając i niczego nie tłukąc. Odkurzaczem zaś zebrała kurz jedynie z dywanów i kanap, zaśłony zaś zostawiła w spokoju. Była całkiem z siebie zadowolona.

Sydney też była zadowolona z towarzystwa. Świetnie im się rozmawiało. Z każdą godziną darzyła Kris coraz większą sympatią. Inaczej plotkowało się z June, a zu-

pełnie inaczej z rówieśnicą. W pewnym momencie zaczęła opowiadać Kris o Antoniu: chyba się w nim zadurzyła. Kris słuchała uważnie, potakiwała, czasem zadawała pytania. Sama zaś rozmyślała o Maksie.

Popołudnie spędziła w kuchni. Zmywarka do naczyń zepsuła się rano, tuż przed śniadaniem. Antonio Usiłował ją naprawić, ale nie udało mu się; musiał pojechać do miasta, aby kupić nowe części. Po lunchu Sam został z górą brudnych garnków i patelni, nie mówiąc o naczyniach i sztućcach. Kristina zaproponowała, że się tym zajmie, czym zyskała sobie dozągonną wdzięczność Sydney, która nienawidziła zmywania.

I Sydney, i Sama zdumiało, że Kristinie nie przeszkadza zanurzanie rąk w tłustych mydlinach.

- Sam?

- Słucham? - spytał kucharz, nie odrywając wzroku od parującego rondla, w którym coś mieszał.

Nie była pewna, jak sformułować pytanie.

- Czy Max jest... no wiesz, zajęty?

Sam zerknął na nią spod oka.

- Żony nie ma, jeśli o to ci chodzi - odparł.

Nastała cisza. Kris szorowała patelnię, Sam zaś z namysłem oglądał przyprawy na półce; wreszcie wybrał jedną i dosypał szczyptę do rondla.

Po chwili Kris podjęła kolejną próbę.

- A nie wiesz, czy ma... no, bliską przyjaciółkę?

Sam uśmiechnął się na myśl o tych wszystkich kobietach, które odwiedzały Maxa w jego pokoju. A to był tylko czubek góry lodowej. Większość czasu bowiem

Max spędzał nie w „Rosie”, lecz w swoim mieszkaniu w Newport Beach.

- Oj, kochana, ma ich tyle, że wszyscy tu straciliśmy rachubę. - Zamieształ w rondlu wielką drewnianą łyżką.
- Max uznaje tylko romanse. Posiłki też lubi sobie urozmaicać. - Dla Sama wszystko sprowadzało się do jedzenia.

Nie takiej odpowiedzi Kris oczekiwała. Wzdychając ciężko, puściła silniejszy strumień wody i opłukała patelnię.

Sam usłyszał westchnienie i zrobiło mu się żal dziewczyny.

- A co? Czujesz do niego miętę?

- Miętę? - spytała. Nie знаła takiego powiedzenia.

Nie wiedział, czy jej zdziwienie jest szczere, czy udawane. Nie chciało mu się dociekać, więc inaczej ujął pytanie.

- Lubisz go?

Podejrzewała, że Sam należy do ludzi, którzy brzydzą się fałszem i natychmiast wyczuwają go u innych. Postanowiła mu zaufać.

- Chyba tak. Kiedy mnie pocałował...

Uniósł brwi. No proszę. Max i Kristina? Ta snobka, którą wszyscy od pierwszej sekundy znienawidzili?

- Max cię pocałował?

- Właściwie ja pierwsza go pocałowałam - wyjaśniła.

- Chciałam mu podziękować, a on... - Zarumieniła się po uszy. - Wtedy on...

Sam skinął głową.

- No tak...

Czyli spodobała się Maxowi, a on jej. Ciekawe, bar-

dzo ciekawe. Sam zamyślił się. Gdyby musiał wybierać pomiędzy Maxem a Kristiną, bez wahania opowiedziałaby się po stronie Maxa. Ale dziewczyna, która pomagała mu w kuchni, nie była zimną, zgryźliwą Kristiną Fortune. Może należy ją delikatnie ostrzec?

- Posłuchaj, Kris. Max jest porządnym facetem, ale nie potrafi długo wytrwać w jednym związku. Może dlatego, że w domu rodzinnym nie zaznał poczucia bezpieczeństwa. - To wytłumaczenie wydało mu się jednak zbyt skomplikowane. I w życiu, i w kuchni lubił niewyszukaną prostotę. - A może uważa, że życie trwa krótko, a wokoło jest tyle pięknych kobiet.

Z kolei to wyjaśnienie Kris nie przypadło do gustu.

- Rozumiem - powiedziała, z furią skrobiąc brytfannę. Sam wrócił do dania, które powstawało w rondlu. Po-dejrzewał, że Kris wcale nie rozumie.

Sydney z Kristiną stały koło recepcji, kiedy punktualnie o jedenastej w drzwiach „Rosy” pojawili się państwo Hennessey z Heather. Rudowłosa dziewczynka wyglądała na małą spryciulę. Na razie matka trzymała ją za rękę, co żadnej z nich wyraźnie nie sprawiało przyjemności.

Dziewczynka rozejrzała się wokoło, jakby zastanawiając się, co by tu można nabroić. Po chwili - nie wiadomo jakim cudem - stojąca na stoliku lampka wylądowała z trzaskiem na podłodze.

- Nic nie szkodzi - powiedziała June, uśmiechając się promiennie. - Zaraz to sprzątniemy.

- No, mam nadzieję - oznajmiła chłodno pani Hen-

nessey. - Nie chciałabym, żeby Heather wyrządziła sobie krzywdę.

Kristina poczuła złość. Ani ojciec, ani matka nie uznali za stosowne przeprosić za stłuczony klosz lub skarcić córkę za jej zachowanie!

- Sydney, bądź tak miła i odprowadź państwa do ich pokoju - poprosiła June, kładąc na ladzie klucz. - Przydzieliliśmy państwu piątkę.

Elaine Hennessey popatrzyła na klucz takim wzrokiem, jakby był wysmarowany cuchnącą mazią.

- Piątkę? Myślałam, że dostaniemy ten sam pokój, w którym mieszkaliśmy zeszłym razem. Numer cztery. Chyba dość jasno sprecyzowałam moje życzenie?

- Bardzo nam przykro - wtrąciła szybko Kris. - W czwórcę właśnie trwa remont.

June popatrzyła na nią z wdzięcznością.

Kiedy goście ruszyli za Sydney na górę, Heather zaczęła szarpać matkę za rękę.

- Ja nie chcę do pokoju! Ja chcę nad wodę!

- Później, kochanie - rzekła przez zęby pani Hennessey.

Zmrużywszy oczy, dziewczynka tupnęła gniewnie nogą.

- Teraz! Obiecałaś mi, że od razu pójdziemy nad wodę. Tak powiedziałaś!

Kobieta, wyraźnie rozdrażniona, usiłowała ponownie wziąć córkę za rękę.

- A teraz ci mówię, że pójdziemy później.

Dziewczynka odsunęła się, chowając za siebie rękę.

- Heather, bądź grzeczna - ostrzegł pan Hennessey.

Spodziewając się, że za moment dojdzie do awantury, Kristina wsunęła się pomiędzy matkę a córkę.

- Jeśli pani pozwoli, chętnie przejdę się z Heather po plaży, a państwo będą mogli w tym czasie spokojnie się rozpakować.

Dziewczynka popatrzyła na Kris podejrzliwie. June i Syd, zaskoczone jej propozycją, wymieniły spojrzenia.

Elaine Hennessey nie wahała się. Odetchnęła z ulgą, a jej zacięta twarz rozpuściła się.

- To byłoby wspaniale.

Kris kucnęła, tak by ona i dziewczynka miały oczy na jednym poziomie.

- Heather, mam na imię Kris. Jeśli chcesz się przejść nad wodę, chętnie z tobą pójdę.

Przez chwilę mała psotnica rozważała swoje opcje: czy woli poczekać na mamę, czy z obcą osobą wybrać się na plażę. Plaża zwyciężyła. Dziewczynka wyciągnęła rączkę do Kris.

Kris poczuła głęboką satysfakcję.

- Wrócimy za godzinę - obiecała matce Heather.

Po raz pierwszy, odkąd zjawili się w „Rosie”, pan Hennessey uśmiechnął się. Zerknął na żonę. Nietrudno było odczytać jego spojrzenie.

- A raczej za dwie - rzuciła Kris, wychodząc.

- Kto by pomyślał? - szepnęła do siebie June, kiedy Sydney ruszyła z gośćmi na górę. - Ona ma całkiem dobre serce.

- Jest na dworze. W ogrodzie - oznajmiła June, kiedy Max wrócił z budowy.

- Co? Znow dała wam się we znaki?
- Wprost przeciwnie! Mile nas zaskoczyła.,
- Czym? - Nie miał ochoty bawić się w zgadywanie.
- Idź i sam się przekonaj. - Uśmiechnęła się szeroko.

Był w ponurym nastroju. Wczoraj wieczorem po wyjściu od Kris zasiadł do rachunków. Przekonał się, że pensjonat musi zacząć przynosić większe zyski, bo inaczej nie starczy nawet na wypłaty dla personelu. A nie chciał nikogo zwalniać.

Nie wiedząc, czego się spodziewać, skierował się do ogrodu na tyłach „Rosy”.

Zanim ją zobaczył, najpierw usłyszał jej głos. Czytała coś o córce młynarza, która potrafi ze słomy wysnuć złotą nić. Przydałaby mi się taka młynarzówna, pomyślał.

Siedziała na trawie pod drzewem, trzymając na kolanach dużego formatu książkę. Obok leżała na brzuchu zasłuchana dziewczynka, na oko pięcioletnia.

Max przystanął niezauważony. Uświadomił sobie, że Kris zmienia głos, to szepcze, to krzyczy, zupełnie jakby odgrywała sztukę Szekspira, a nie wcielała się w postaci z dziecięcej bajki.

Mimo że siedziała zwrócona do niego tyłem, wyczuła jego obecność. Po plecach przebiegł jej dreszcz. Doszedłszy do kropki, przerwała czytanie i obejrzała się za siebie.

- Cześć.

Dziewczynka, zła, że ktoś im przerywa, posłała mu gniewne spojrzenie.

- Cześć - odpowiedział, siadając obok. - Co robicie?
- Czytamy bajkę - oznajmiła butnie Heather.
- To jest Heather Hennessey. - Kris skinęła na dziewczynkę.

czynkę. - Czytam jej „Rumpelstilzchen”, jedną z bajek Grimmów.

Powiedziała to takim tonem, jakby nazwisko braci nie było jej obce. Czyżby odzyskiwała pamięć?

- Nie znam tej bajki - przyznał.

- A jakie znasz? - Była już na ostatniej stronie. W następnej kolejności mogła przeczytać taką, którą lubił najbardziej. - Tu chyba są wszystkie.

Max popatrzył na słońce, które powoli zanurzało się w wodzie. Za pół godziny będzie za ciemno na czytanie. I za zimno.

- Żadnych nie znam.

- Nikt ci nie czytał bajek na dobranoc?

W jej głosie wyczuł smutek.

- Nikt - odparł.

Ale nie bajek mu brakowało, kiedy był dzieckiem. Brakowało mu innych rzeczy: miłości rodzicielskiej, prezentów pod choinką na Boże Narodzenie...

Biedny Max, pomyślała Kris. Bo jej w dzieciństwie czytano. Nie pamiętała, kto ani kiedy, ale wiedziała ponad wszelką wątpliwość, że czytano jej bajki.

- Zostań z nami, to ja ci poczytam. Tylko tę skończę, dobrze?

Co za absurdalna propozycja! Ale zanim zdążył zaprotestować, zaczęła wyczyniać głosem czary, ożywiać słowa.

Był zmęczony. Co mu szkodziło posiedzieć i posłuchać?

I słuchał Kris z zapartym tchem, jak mała Heather.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Co to?

June odsunęła się na bok, robiąc miejsce dla Maxa, który postawił na blacie recepcji wielkie kartonowe pudło. Po chwili doniósł drugie.

- Będziemy się komputeryzować - rzucił przez ramię, wracając do samochodu po trzecie.

- Mówiłeś, że nie potrzebujemy komputerów.

Patrzyła na pudła z przerażeniem. Sama ich wielkość była onieśmielająca.

- Myliłem się.

Postawiwszy trzecie pudło na drugim, wyjął z kieszeni czerwony scyzoryk. Był to pierwszy, a przez to najcenniejszy prezent, jaki dostał od Johna Murphy'ego. Nigdy wcześniej nikt mu nic nie dał.

- Co się dzieje? - spytała przechodząca obok Sydney.

- Max twierdzi, że powinniśmy iść z duchem czasu - wyjaśniła June. Jej mina wyraźnie świadczyła o tym, że nie podziela jego entuzjazmu.

Sydney w milczeniu obserwowała, jak Max otwiera kolejne pudła. Zawsze dotąd uważała, że radzą sobie świetnie bez współczesnej techniki. Zresztą po co im komputery? Przecież nic się nie zmieniło, liczba gości się nie potroiła.

- Nie żebym była przeciwna postępowi, ale mam jedno pytanie: dlaczego?

Po chwili dołączyła do nich Kristina.

Prawdę mówiąc, to ona podsunęła Maxowi pomysł wyposażenia recepcji w komputer. Coś, co powiedziała mimochodem, pozwoliło mu zrozumieć, że sprzeciwiał się zmianom z niewłaściwych powodów. Właśnie przez wzgląd na Johna i Sylwię powinien być lepiej zadbać o „Rosę”. Bądź co bądź prowadzeniu pensjonatu poświęcili wiele lat.

- Pomyślałem, że czas najwyższy. - Wsunął ręce do pudła, usiłując wyjąć monitor. Nie dał rady. Gdy Kris przytrzymała pudło, spróbował jeszcze raz. - Będziemy wiedzieli, ilu mamy gości...

June parsknęła śmiechem.

- I bez tego wiem. Mogę ich policzyć na palcach jednej ręki.

Zaintrygowani głosami dochodzącymi z recepcji, z jadalni wyłonili się Antonio z Samem. Spoglądając na monitor, stację dysków i klawiaturę, kucharz uniósł ze zdziwieniem swoje krzaczaste brwi.

- Co to?

- Nasza podwyżka. Max postanowił przeznaczyć ją na kupno komputera - wyjaśniła June.

- Dostajemy komputer? - mruknął Sam.

- Dostajemy podwyżkę? - ucieszył się Antonio.

Max popatrzył na kable, które wyglądały jak kłębowisko szarych żmij, i podrapał się w głowę. Nie miał pojęcia, co z czym należy połączyć.

- Nie, to nie wasze pieniądze poszły na komputer.

I owszem, dostaniecie podwyżkę. Pod warunkiem, że zwiększy się ruch w interesie.

Chóralny jęk zawodu świadczył o tym, że nikt nie wierzył, aby w najbliższym czasie ruch w interesie uległ jakiegokolwiek zmianie. Nikt prócz Kris, która - ku zdumieniu Maxa - nie odezwała się ani słowem. W ciągu ostatnich dwóch tygodni poczyniła niesamowite postępy. Była jak gąbka, chłoneła wszystkie informacje i wskazówki, jakich jej udzielano, chętnie wykonywała polecenia, każdemu pomagała.

Max codziennie otrzymywał sprawozdania na jej temat albo od June, albo od Sydney. I częściej niż do Newport Beach wracał na noc do pensjonatu.

Na dzień największego pudła dojrzał kilka owiniętych w folię książeczek z instrukcjami. Wyjął je i podał June. Zmarszczyła czoło.

- Co mam z tym zrobić?

- Przeczytać, nauczyć się, jak wszystko działa...

- Pomogę ci - zaproponowała Kris, stając koło starszej kobiety. Rozerwawszy folię, wyjęła podręcznik i zerknęła do środka. - Komputer to naprawdę świetna rzecz - oświadczyła z entuzjazmem. - Zobaczycie, dzięki niemu od razu nam podskoczy liczba rezerwacji. Istnieje specjalny program dla potrzeb hoteli pozwalający grupować gości według ich wieku, życzeń, preferencji kulinarnych, upodobań estetycznych, i tak dalej. - Nagle, uświadomiwszy sobie, co przed chwilą powiedziała, urwała zaskoczona. - Pojęcia nie mam, skąd ja to wiem...

- Mówiłaś mi, że zanim tu przyjechałaś, chodziłaś na kurs komputerowy - wyjaśnił Max, wymieniając z in-

nymi spojrzenia. - Może na tym kursie wspomnieli o programie dla hoteli?

Od dwóch tygodni Maxowi udawało się odpowiadać na wszystkie pytania Kris tak, by nie wzbudzić jej podejrzeń. Ciekaw był, jak długo szczęście będzie mu sprzyjać.

- Pewnie tak... - mruknęła, nie znajdując innego wytłumaczenia. Delikatnie odsunęła Maxa na bok, po czym wyjęła mu z ręki kabel.

Z wprawą, która zadziwiła ją samą, połączyła ze sobą części komputera. W ciągu paru minut wszystko działało.

- Może lepiej ty na nim pracuj - zaproponowała June. - Ja jestem za stara na takie rzeczy.

- Nie opowiadaj bzdur! - zganiła ją Kris. - Nie jesteś za stara, a obsługa jest bardzo łatwa. Nauczę cię.

- Mnie też mogłabyś? - spytał Antonio. Wyciągnął rękę i wystukał kilka słów na klawiaturze. - Wprawdzie zatkałe rury można udroźnić bez znajomości komputera, ale są świetne gry, które...

- Najpierw June - oświadczył Max. - Dopiero potem gry-

Widząc niepewną minę June, obawiał się, że nauka może długo potrwać, z drugiej strony, obserwując entuzjazm Kris, pomyślał sobie, że może nie będzie tak źle. Mógłby wysłać June na kursy, ale wierzył, że z Kris będzie jej rażniej.

- Jak wyglądają rezerwacje w tym miesiącu? - spytał.

- Mamy dwanaście na weekend, w którym wypadają walentynki - odparła June, szczęśliwa, że rozmowa ze-szła na sprawy pensjonatu. - Ale z resztą miesiąca jest dość kiepsko. - Zerknęła na komputer, jakby był jej naj-

większym wrogiem, po czym pogładziła ręką oprawną w skórę księgę meldunkową, w której ręcznie notowała rezerwacje. - Z bólem to mówię, Max, ale uważam, że coś trzeba zrobić. - Popatrzyła na innych; wszyscy zgodnie pokiwali głowami. - Długo nie pociągniemy, jeśli frekwencja dalej będzie tak niska.

Max westchnął. June ujęła w słowa to, o czym rozmyślał, odkąd w „Rosie” pojawiła się Kristina z żądaniem zmian. Może założyła mu za skórę swoim uporem i bezwzględnością, ale przynajmniej otworzyła oczy na pewne sprawy.

- Jeśli się nie poprawi, co wtedy? - spytała Kris.

Niestety, znała odpowiedź.

- Wtedy pensjonat padnie - odparł Max, wkładając kciuki do szlufek spodni.

Miał doskonale prosperującą firmę budowlaną. Jeśli pensjonat zbankrutuje, będzie to oznaczało koniec kłopotów. Ale również koniec pewnej epoki. A do tego absolutnie nie chciał dopuścić.

Kristina rozejrzała się po holu. Podobał się jej ten rustykalny styl: drewniane podłogi, grube belki pod sufitem. ..

- Ależ tu jest tak pięknie. Szkoda byłoby... - Nagle coś innego przyszło jej do głowy. - Jeśli pensjonat padnie, co będzie z nami wszystkimi?

Sydney wzruszyła ramionami. To śmieszne przywiązywać się do miejsca. Osoba w jej wieku powinna podróżować, poznawać nowych ludzi, zdobywać doświadczenia. Ale wcale nie miała na to ochoty; chciała dalej budzić się w pokoju z oknem wychodzącym na ocean.

- Znajdziemy inną pracę - powiedziała smętnie.

June potrząsnęła głową.

- Może wy, ale ja nie. Kto by tam zatrudnił staruszkę?

Jimmy, który wszedł nie zauważony, gdy ustawiali komputer, i usiadł w jednym z wiklinowych foteli, zakasłał, ściągając na siebie uwagę.

- W porównaniu ze mną ty, June, jesteś oseskiem.

Kris powiodła wzrokiem po twarzach tych ludzi. Byli jedyną rodziną, jaką miała.

- Max, musisz coś zrobić. Nie możesz dopuścić do tego, żeby pensjonat trzeba było zamknąć.

Osiągnął cel, do którego dążył. Kristina doceniła staroświecki urok „Rosy”, zżyła się z pracownikami. Więc dlaczego się nie cieszy? Dlaczego czuje się tak, jakby popełnił ciężki grzech?

- Nie dopuszczę do tego - oznajmił. - Będziemy musieli przeprowadzić remont i stać się konkurencyjni wobec innych hoteli.

- Trzeba czymś przyciągnąć klientów - powiedziała Kris. W jej głowie formowały się myśli, nad którymi nie miała żadnej kontroli. - Czymś innym niż reszta hoteli. Należy przemówić do wyobraźni tych, którzy najczęściej korzystają z urokliwych pensjonatów nad morzem.

June zerknęła na Maxa.

- Czyli do kogo?

Antonio wzruszył ramionami. Nie miał pojęcia.

- Do trzydziestolatków? - spytał Sam.

- Dobrze - pochwaliła go Kris. - Ale mam na myśli inną grupę docelową. - Była coraz bardziej podniecona, lecz i oszołomiona własnymi pomysłami i przedsięwzięciami.

czością. Skąd się to wszystko bierze? - Do spędzenia weekendu lub urlopu w takim pensjonacie jak nasz, położonym wśród drzew, tuż nad brzegiem oceanu, powinniśmy zachęcać nowożeńców oraz ludzi, którzy znów chcieliby przeżyć te cudowne chwile, kiedy byli młodzi i świeżo zakochani...

- Cholera... - Sam popatrzył z zadumą na Maxa. - To nie jest głupi pomysł.

- Ale jak go zrealizować? - spytał Jimmy, który, zanim się do czegokolwiek zapalił, lubił mieć jasny obraz sytuacji.

- Pomyślimy - odparł Max.

Przypomniał sobie notatki Kris, które Sydney wyjęła jej z walizki. Czas najwyższy dokładnie je przestudować.

- A na razie... - wtrąciła June - przydałoby nam się trochę walentynkowych dekoracji.

Skoro mają przyciągać zakochanych, święto zakochanych jest idealną ku temu okazją.

Każdego roku uroczyste obchodzono w „Rosie” walentynki. Właśnie w dniu zakochanych Max po raz pierwszy w życiu pocałował dziewczynę. Pamiętał, że stali pod schodami, a na przeciwnej ścianie wisiał rysunek amorka ze strzałą.

- A nie ostały nam się żadne z poprzednich lat? - spytał.

- Ostały - przyznała June. - Stare, posklejane serca i pomięte kupidyńki, którym powinniśmy już pozwolić przejść na emeryturę.

Kristina nie słuchała, o czym rozmawiają. Oczami

wyobraźni widziała ściany udekorowane różowo-białymi paskami krepiny, czerwone balony, wazony pełne czerwonych kwiatów- Możliwości były ogromne.

Odwróciła się i niechcący wpadła na Maxa. Przeszył ją dreszcz. Maxa również. Na moment zapomniała o wszystkich. Miała wrażenie, jakby byli tu tylko sami. We dwoje. Z trudem opanowała podniecenie.

- Słuchaj, a może ja pojedę do miasta i coś wybiorę?
- zaproponowała, starając się skupić na dekoracjach.

- Ty? - Max cofnął się o krok, żeby zwiększyć między nimi odległość. - Nie masz samochodu ani prawa jazdy.

- Nie mógłbyś mnie podrzucić?

Wiedział, że to niedobry pomysł. Przebywanie z Kris sam na sam, mimo że cały czas o tym marzył, było zbyt ryzykowne. Powinien raczej poprosić Antonia, żeby zawiózł ją do miasta po zakupy. Nie potrafił się jednak na to zdobyć, więc po prostu stał i milczał.

June potrząsnęła głową. Boże, jacy ludzie bywają ślepi!

- Jedź z nią, Max - powiedziała. - Zostało już niewiele czasu. A my wszyscy - posłała reszcie ostrzegawcze spojrzenie, aby tylko nie zaczęli protestować - mamy dziś pełne ręce roboty.

Antonio nie grzeszył domyślnością.

- Ja też? - zdziwił się.

Sydney ujęła go pod ramię.

- Tak, mój drogi. Ty też.

Jimmy dźwignął się z fotela i ruszył w stronę drzwi.

- No dobra, już dość czasu zmarnowałem. Muszę przyciąć krzewy.

Sam skierował się do kuchni.

- A ja idę opracować walentynkowe menu. Żeby wszystkim ślinka ciekła na myśl o tym, I co dostaną.

- A wy? - Max zwrócił się do June i Sydney. - Co macie w planie?

- My? My spróbujemy wziąć za rogi tego potwora, którego tu sprowadziłeś. - June skinęła na komputer. - Boże, i pomyśleć, że w moim wieku mam się zмагаć z jakąś elektroniką!

Max poddał się. Zrozumiał, że nie ma wyjścia.

Poszedł do biura po kluczyki do dżipa.

Zatrzymał samochód na parkingu przed centrum handlowym i spojrzął na Kris. Dlaczego spotyka go taka kara? Nienawidził chodzenia po sklepach i robienia zakupów. Zmuszał się do tego tylko wtedy, gdy ubranie rozpadało mu się ze starości.

- No dobrze, to był twój pomysł. Więc prowadź.

Pomyślała sobie, że pewnie przyjeżdżała tu dziesiątki razy, ale wszystko wyglądało obco. Rozejrzała się dookoła w nadziei, że zobaczy jakiś sklep, w którym znajdą potrzebne dekoracje. Głupio by jej było, gdyby okazało się, że ciągnęła Maxa na próżno.

- O, tam! - Wskazała sklepik z pamiątkami usytuowany między pizzerią a sklepem z artykułami łazienkowymi. - Od niego zaczniemy.

Był to pierwszy z wielu sklepów, które odwiedzili. Kris była niezmordowana. Może straciła pamięć, ale nie straciła smykałki do zakupów.

Lista niezbędnych rzeczy rosła z minuty na minutę i ze

sklepu na sklep. Z każdego Max wyłaniał się coraz bardziej obładowany; czuł się jak wielbłąd. W końcu uznał, że jeśli chce powstrzymać Kris, musi udać skonanego.

- Nie jesteś zmęczona? - spytał, kiedy wrzucali najnowsze pakunki na tylne siedzenie.

Miał dość sklepów i zakupów na najbliższy rok. Proszę bardzo, z przyjemnością mógłby zbudować centrum handlowe, byleby tylko nie kazano mu później po nim krążyć.

Kris zaś promieniała radością. Dzień był piękny, słoneczny, a ona spędzała go w towarzystwie Maxa. Czego jeszcze mogłaby chcieć?

- Nie - odparła. - Właśnie się rozkręcam.

- Dziewczyno, zmiłuj się. Wiesz, ile już wydaliśmy?

Nie przejęła się kosztami.

- Żeby zarobić pieniądze, trzeba je wcześniej wydać.

- Powiedziawszy to, wytrzeszczyła oczy. - Boże, czuję się tak, jakby siedział we mnie brzuchomówca i wkładał mi w usta obce słowa. Słowa, o których nie myślę, dopóki ich nie wypowiem.

Max domyślał się, że tym „brzuchomówca” jest Kristina Fortune usiłująca przebić się przez pancierz amnezji. Wiedział też, że jej powrót to tylko kwestia czasu; że któregoś dnia Kris zniknie, a jej miejsce zajmie zarozumiała, apodyktyczna wiedźma.

- Czy dlatego pocałowałaś mnie przed paroma dniami? Bo kazał ci twój brzuchomówca? - spytał żartem.

- Nie, nikt mi nie kazał - odrzekła z powagą.

Zastanawiała się, czy przed swoim wypadkiem też była taka bezpośrednia.

- Pocałowałam cię, bo chciałam. Wydaje mi się, że należę do osób, które zdobywają to, na co mają ochotę,

W tym momencie powinien był skinąć głową albo się uśmiechnąć, ale on drażył dalej:

- A na co teraz masz ochotę?

Wysunęła czubek języka i oblizała wargi, nie zdając sobie sprawy, jaką reakcję wywołuje w Maksie ten niewinny gest.

- Na lunch.

Max wybuchnął śmiechem. W porządku, niech będzie lunch. Kilkaśmet metrów dalej jest niezła restauracja. Na wszelki wypadek wziął Kris pod rękę, odciągając ją od sklepów.

- Pewnie za obiad też ja mam płacić? - spytał ponurym tonem.

Nie dała się nabrać. Wiedziała, kiedy Max się z niej naigrawa. Odnosiła czasami wrażenie, że zna go lepiej od siebie.

- Odpiszesz sobie od podatku - (odparła nonszalancko. Dotarli do „Pelikana”. Max przytrzymał drzwi.

- A potłuczone szklanki też wpiszę do strat? Podobnie jak zniszczoną zastonę?

Kris rozglądała się po lokalu z zainteresowaniem. Za oknami, które sięgały od podłogi do sufitu, rozciągał się widok na przystań. Znacznie ładniejszy jest z okien jadalni w „Rosie”, pomyślała z zadowoleniem.

- Stolik dla dwóch osób - powiedział Max do kierowniczk sali.

- Zastony zostały pięknie zacerowane - przypomniała mu Kris, gdy szli do stolika za młodą kobietą w długiej

czarnej spódnicy. - A szklanki... szklanki mi darowałeś. Nie pamiętasz?

Wyciągnął krzesło i pomógł Kris zająć miejsce, po czym usiadł naprzeciwko. Na środku stołu leżały dwie elegancko oprawione karty dań - ciemnozielone, z nazwą restauracji wypisaną złotymi literami.

- Pamiętam, ale wtedy nie wiedziałem, że sama jedna będziesz chciała ożywić gospodarkę La Jolli.

Przez chwilę studiowała menu, porównując dania z potrawami oferowanymi przez Sama. Tutejsze miały bardziej wyszukane nazwy.

- Aż tak dużo nie kupiliśmy.

Miał trochę inne zdanie na ten temat.

- Sto czerwonych perfumowanych świec, nowa pościel do szesnastu pokoi, ręczniki z wyhaftowanymi serduszkami i takie ilości krepiny, że śmiało można by nią wytapetować Biały Dom.

Odłożyła na bok kartę dań.

- Samych dekoracji mamy mało. A skoro chcemy przyciągnąć zakochanych, to koronkowa pościel jest po prostu koniecznością.

Chociaż było wczesne popołudnie, na każdym stoliku paliła się świeczka. W jej ciepłym blasku twarz Kris wyglądała prześlicznie. Może kupno świeczek nie było głupim pomysłem?

- Jesteś niepoprawną rornantyczką, Kris. Nie zauważyłaś, że większość naszych gości jest w wieku emerytalnym i nie w głowie im romantyczne uniesienia?

Oparła łokcie na stole, splotła ręce i podparła nimi brodę.

- Jedno drugiego nie wyklucza, Max.

Dobiegł go delikatny zapach szamponu, którym myła włosy. Ziołowy. Serce biło mu mocno, jakby był nastolatkiem na pierwszej w życiu randce.

- Od kiedy to jesteś takim ekspertem?

- Nie wiem. - O dziwo, nie czuła się speszona ani zawstydzona. Wprost przeciwnie, z każdą sekundą stawała się coraz bardziej pewna siebie. - Ale wiem jedno: od tamtego wieczoru, kiedy się całowaliśmy, całkiem świadomie mnie unikasz.

- Nieprawda - zaprotestował, nie patrząc jej w oczy.

- Codziennie się widzujemy.

- Ale nie sam na sam.

- Fakt. Nie sam na sam - przyznał.

Teraz albo nigdy, pomyślała. Rozłożyła na kolanach ciemnozieloną bawełnianą serwetkę, po czym podniosła wzrok.

- Zadałam ci kiedyś pytanie, na które nigdy mi nie odpowiedziałeś. Czy masz kogoś?

Mógł skłamać i wtedy problem sam by się rozwiązał. Ale coś go powstrzymywało.

- Nie, nie mam - odparł zgodnie z prawdą.

Kristina wypięła łyk wody. W gardle jej zaschło, serce biło jak oszalałe. Jej pewność siebie gdzieś się ulotniła.

- Wiesz, Sam mówił, że twoje przyjaciółki mogłyby śmiało zasiedlić jakiś mały stan. - Zawahała się. Wprawdzie niedawno oświadczyła, że należy do osób, które zdobywają to, czego pragną, ale... - Jednak nigdy żadnej nie widziałam.

- Nie zapominaj, że twoja pamięć sięga tylko dwa

tygodnie wstecz. Zresztą na razie jestem, po pierwsze, bardzo zajęty, a po drugie, mam przerwę między związkami.

Odłamał kawałek bułki. Kris sięgnęła po piątkę. Uśmiech, który igrał na jej wargach, świadczył o tym, że mu nie wierzy.

- Kusi mnie, żeby spytać, czy zawsze jesteś taka bezpośrednia, czy tylko teraz, ale obawiam się, że nie będziesz znała odpowiedzi.

- Masz rację. - Mniej więcej tydzień temu przestała się zadreć próbami przypomnienia sobie przeszłości. Czowała, że nareszcie jest wolna, że zrzuciła z siebie jarzmo. Bała się jednak, że z chwilą, gdy wróci jej pamięć, wrócą również troski, lęki, problemy. - Ale to mi już nie przeszkadza.

Uniósł brwi.

- Dlaczego?

- Powiedziałaś, że nie mam rodziny. Że jedyną bliską mi osobą był mój mąż, a skoro się z nim rozwiodłam, to znaczy, że byłam nieszczęśliwa. Więc po co do tego wracać? Czy nie lepiej skupić się na teraźniejszości? - Wrzuciła do ust kawałek bułki. - I oczywiście na przyszłości.

No, pięknie, pomyślał Max. Sam się w to wpakował. Teraz było już za późno. Jakie лихо go podkusiło, żeby okłamywać Kris?

- Zdecydowali się państwo na coś? - spytała kelnerka. Kristina popatrzyła Maxowi w oczy.

- Tak, ja się już zdecydowałam.

- Sam ucieszy się, kiedy mu powiemy, że prowadzi najlepszą restaurację w mieście - zauważył Max, kiedy godzinę później opuścili „Pelikana”.

Kristina skinęła głową. Sam był równie dumny ze swoich umiejętności kulinarnych co Jimmy ze swoich talentów ogrodniczych. Uwielbiała ich obu.

Ponieważ było chłodno, wzięła Maxa pod rękę, żeby choć trochę ogrzać się o jego ciało.

- Szkoda by było, gdybyś musiał sprzedać pensjonat.

Ciekaw był, czy wiedziała, co się z nim dzieje, kiedy się do niego przytula.

- A kto mówi, że sprzedam?

- Powiedziałaś, że jeśli nie zaczniesz przynosić większych zysków, nie będziesz miał wyjścia.

Ale on już podjął decyzję. Zamierzał wprowadzić duże zmiany - komputer był pierwszym krokiem.

- Zyski będą. Już moja w tym głowa - oznajmił, zatrzymując się przy dziupie. Zbyt pochopnie odrzucił jej koncepcję zmian, kiedy przedstawiła ją zaraz po przyjeździe do „Rosy”, ale po prostu zirytowała go swoim tupetem i nieustępliwością. - Zastanawiałem się nad tym, co mówiłaś. Żeby przerobić pensjonat na romantyczny hotelik, do którego nowożeńcy będą przyjeżdżać na miesiąc miodowy. „Pod Łukiem Amora” to bardzo ładna nazwa.

Zmarszczyła czoło.

- I ja ją wymyśliłam? - zdziwiła się.

Trochę się zagalopował; to w notatkach, które zabrano z jej walizki, Kristina pisała o „Łuku Amora” i chyba raz wspomniała nazwę, zanim jeszcze straciła pamięć.

- No tak. Mówiłaś, że właśnie nowożeńcy, którzy tworzą całkiem spory procent społeczeństwa, powinni być naszą grupą docelową. Że głównie do nich powinniśmy kierować ofertę.

Pomyślał sobie, że całkiem zgrabnie z tego wybrnął.

- Mów dalej - poprosiła z zainteresowaniem.

- Trzeba by przeprowadzić gruntowny remont, unowocześnić pensjonat, może zburzyć parę ścian, zrobić więcej łazienek. Sam mógłbym się tym zająć.

Uważnie przyglądał się jej twarzy, czekając na jakąś reakcję. Kris skinęła jedynie głową.

- To bardzo dobry pomysł.

Twój, miał ochotę jej powiedzieć.

Przez chwilę stali na parkingu przy samochodzie. Patrząc, jak wiatr targa jej włosami, Maxowi przypomniał się pierwszy wieczór na plaży. Miał wrażenie, że od tamtej pory minęły całe lata.

Czy zdarza się, że niektóre ofiary amnezji nigdy nie odzyskują pamięci? Wiedział, że to, co pragnie, jest okropne, ale nie potrafił się oprzeć. Żadna kobieta tak bardzo go nie pociągała. Do żadnej nie czuł tego co do Kris.

- Kris?

Uniosła twarz. Niemal ją pocałował; powstrzymał się dosłownie w ostatniej chwili. Po prostu chciał cieszyć się jej towarzystwem, nic więcej. A przynajmniej tak sobie wmawiał.

- Nie chce mi się jeszcze wracać.

Uśmiechnęła się szeroko.

- Mnie też nie - przyznała. - Ale... **czy oni sobie tam poradzą bez nas?**

- Na razie liczba personelu przewyższa liczbę zajętych przez gości pokoi. Myślę, że proporcje mówią za siebie.

Nie zamierzała kłócić się z szefem.

- Co proponujesz? - spytała.

Kilka ulic dalej, o czym wiedział doskonale, bo sam go stawiał, znajdował się multipleks. Właśnie wtedy, po raz pierwszy w życiu, wygrał przetarg na budowę. Nie miał pojęcia, jakie w tym tygodniu puszczano filmy, natomiast podobał mu się pomysł spędzenia dwóch godzin z Kris w ciemnej sali.

- Może kino?

- Cudownie. - Zgodziłaby się na wszystko, byleby nie musieli się rozstawać.

- Na jaki film masz ochotę?

Oczywiście żadnych tytułów nie pamiętała.

- Ty wybierz. Spraw mi niespodziankę.

Tak też zrobił, swoim wyborem zaskakując zarówno ją, jak i siebie. Zawsze lubił filmy akcji, pełne pościgów i strzelaniny, oraz inteligentne filmy obyczajowe z dowcipnym dialogiem. Tymczasem dziś wybrał film o miłości, który w dodatku obejrzał z prawdziwą przyjemnością.

Po kinie zaprosił Kris na lody. Długo stała przy oszklonej ladzie, studiując smaki. Wreszcie zdecydowała się na waniliowo-karmelowe, on na pistacjowe. Trzymając się za ręce, spacerowali po miasteczku. Nawet nie zauważyli, kiedy zapadł wieczór.

Spoglądając na rozświetlone gwiazdami niebo, Kris zastanawiała się, czy kiedykolwiek wcześniej była tak szczęśliwa.

- Wiesz, uważam, że bohater zachował się wspaniale - odezwała się, po czym odgryzła kawałek wafła. - Zrezygnował ze wszystkiego, żeby tylko być z ukochaną.
- Spojrzała na Maxa. - Potrafiłbyś tak? Zrezygnować ze wszystkiego dla kobiety?

Nigdy o tym wcześniej nie myślał.

- Nie wiem - przyznał. - A ty?

Uśmiechnęła się szeroko i ze smakiem jadła lody.

- Ponieważ nie mam nic, moja odpowiedź brzmi: tak.

- A gdybyś miała? - spytał. - Dom, pieniądze...

Dla ciebie nie wahałabym się, odpowiedziała w myślach.

- Pewnie by zależało od tego, jak bardzo kochałabym tego mężczyznę - rzekła. - Powiedz, byłeś kiedyś tak mocno zakochany?

- Żeby zrezygnować dla niej ze wszystkiego? Nie.

- Ale wiedział, że mógłby, gdyby spotkał tę jedną jedyną.

- Dopuszczam jednak taką możliwość.

- Nie musisz się obawiać. Wątpię, aby jakakolwiek kobieta chciała, żebyś zrezygnował dla niej z czegoś tak wyjątkowego jak „Rosa”.

Ty chciałaś, przemknęło mu przez myśl. Chciałaś, żeby burzył ściany, zmieniał wystrój...

- Wyjątkowego? Naprawdę tak uważasz?

- Absolutnie.

Jej życie rozpoczęło się dwa tygodnie temu, gdy otworzyła oczy i ujrzała nad sobą twarz Maxa. Pensjonat zatoczył ją niemal od pierwszego dnia.

- W „Rosie” panuje taki cudowny spokój. Kiedy przestałam niszczyć wszystko, czego się dotknęłam, i kie-

dy inni przestali patrzeć na mnie wilkiem, doceniłam urok tego miejsca. - Oczy lśniły jej z podniecenia. - Nie rozumiem, po co ci firma budowlana. Gdybym była tobą, ani na chwilę nie chciałam się oddalać od pensjonatu.

- Po co mi firma? Marzyłem o czymś własnym. O czymś, co mógłbym stworzyć od podstaw. Kiedy zakładałem firmę, pensjonat należał do moich przybranych rodziców.

- No tak, rozumiem. - Jakaś klapka na moment otworzyła się jej w głowie, a potem znów zamknęła.

- Chyba czas wracać do domu.

- Chyba tak. - Skończywszy jeść lody, wytarła usta i wrzuciła serwetkę do kosza na śmieci.

Piękna kobieta, gwiazdzista noc, powietrze przesiąknięte zapachem perfum... Ile czasu można to wytrzymać? Jak długo można się opierać?

Max dłużej już nie mógł czekać. Powoli obrócił Kris twarzą do siebie i delikatnie ujmując w dłonie jej twarz, przywarł ustami do jej ust.

Trzydzieści dni czekał na tę chwilę.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Świat zawirował mu przed oczami. Tak bardzo jej pragnął! A jednocześnie był zły na siebie. Jak mógł dopuścić, żeby sytuacja wymknęła mu się spod kontroli? Był reżyserem spektaklu, nie aktorem. A już zwłaszcza nie powinien grać głównej roli.

Uzucie do Kris i fascynacja nią odebrały mu rozum. Liczyła się tylko ona, jej wargi, ciepłe ciało, namiętne pocałunki.

Kris zaś rozpierała radość. Nie, to nie było przywidzenie. Nie żyła w świecie ułudy i marzeń. Niczego sobie nie wyobrażała. Max pragnął jej, tak samo jak ona jego.

- Może powinniśmy kontynuować to gdzie indziej?
- szepnęła, na moment odrywając usta od jego warg.

Czekała na odpowiedź.

Max walczył sam z sobą. Dlaczego postawiono przed nim tak trudne zadanie? Dlaczego nie coś prostszego, na przykład wysnucie złota ze słomy, jak w tej bajce, którą Kris czytała?

Ciało pragnęło czegoś, czemu rozum się sprzeciwiał. Gdyby uległ pokusie, nie mówiąc Kris prawdy o jej pochodzeniu, podejrzewał, że znenawidziłaby go do końca życia. Jedna noc rozkoszy nie była tego warta.

Ale rozkosz była tuż-tuż, na wyciągnięcie ręki, a przyszłość taka odległa...

Nie. Rozum zwyciężył.

- Nie dziś. Może innym razem. - Była to najtrudniejsza decyzja, jaką kiedykolwiek powziął.

Czując się jak idiotka, Kris odsunęła się i wsiadła do samochodu. Czy to możliwe, że się pomyliła? Że źle odczytała sygnały? Że wyciągnęła niewłaściwe wnioski?

Zerknęła na Maxa.

Nie, psiakość, wszystko dobrze odczytała. Upadek pozabawił ją pamięci, lecz nie instynktu i intuicji. Wiedziała, co sama czuje. I wiedziała, co on czuje.

Pragnął jej. Oboje są wolni i dorośli. Więc w czym tkwi problem? O co chodzi?

Przez większość drogi do pensjonatu w samochodzie panowała krępująca cisza.

Szosa, oświetlona blaskiem księżycy, wyglądała zupełnie inaczej niż za dnia. Bardziej romantycznie.

Kristina wzięła głęboki oddech, usiłując się odprężyć. Nie chciała żyć w stresie. A dawniej tak żyła. Nie umiała wyjaśnić, skąd to wie, ale była pewna, że stres i napięcie towarzyszyły jej na każdym kroku.

- Max?

- Tak? - spytał, nie odrywając wzroku od szosy.

Głos miał dziwny, obcy. Ale on sam nie był przecież obcy. Z obcym by się nie całowała. Starannie dobierając słowa, żeby go nie urazić, powiedziała cicho:

- Mam wrażenie, że jest coś, o czym mi nie mówisz.

Na co liczyła? Na szczerość? Tak, kochanie. Fak-

tycznie coś przed tobą ukrywam. Tak naprawdę to wcale nie jesteś Kris Valentine. Jesteś bogatą snobką, właścicielką połowy pensjonatu. Poza tym należysz do jednej z najbogatszych rodzin w kraju. Przepraszam, po prostu wyleciało mi to z głowy. Co takiego? Wyjeżdżasz? No tak, rozumiem. Ale zanim się spakujesz, czy mogłabyś posprzątać dziesiątkę?

Zaciskając dłonie na kierownicy, spojrzął na Kris.

- Skąd ci to przyszło do głowy?

Może się myliła? W końcu dlaczego miałby coś przed nią ukrywać? Wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Po prostu ilekroć... - urwała. Oparła się o drzwi auta, tak by patrzeć na profil Maxa. Ręce spłótła na kolanach. - Ilekroć mnie całujesz, wydaje mi się, że... że chcesz czegoś więcej. A potem nagle się wycofujesz, jakbyś się bał albo... nie wiem...

To dla twojego dobra, odpowiedział jej w myślach. Włączył radio.

- Masz zbyt bujną wyobraźnię.

Ściszyła dźwięk.

- Nie sędzę.

- Słuchaj, nie pamiętasz przeszłości. Czujesz się zagubiona. Nic dziwnego, że wydaje ci się, że wszyscy coś przed tobą ukrywają. Ale tak nie jest. Powiedziałem ci wszystko, co mogłem.

Wszystko, co mogłem? Ponownie nabrała podejrzeń. Po chwili jednak uznała, że Max ma rację. Zachowuje się jak wariatka.

Wzdychając głęboko, przecesała ręką włosy.

- No dobrze. Niech ci będzie.

Skinał głową. Wygrał. Ale wiedział, że długo nie będzie cieszył się zwycięstwem.

Postanowiła nie roztrząsać wczorajszych wydarzeń. Dziś był nowy dzień, nowy początek. Prawie niewidoczna zza kartonowych rulonów, trąciła Maxa w łokieć.

- Tylko dlatego, że jesteś szefem, nie znaczy, że możesz się wykręcić od wieszania dekoracji - powiedziała z uśmiechem.

Specjalnie zostawiła część na jego powrót. Chciała, aby uczestniczył w przygotowaniach świątecznych.

Po przyjsciu z budowy Max udał się prosto do jadalni, zjadł przyszykowaną przez Sama ogromną kanapkę z pieczenia, po *czym ruszył* do biura, by przejrzeć plik zaległych listów i dokumentów. Właśnie wtedy dopadła go Kris.

- Mam mnóstwo pracy - oświadczył. Ale czuł, że mięknie. Częściowo dlatego, że nie kusiły go papiery na biurku, a częściowo dlatego, że Kris patrzyła na niego błagalnym wzrokiem. - Pamiętaj, że oprócz pensjonatu prowadzę firmę budowlaną. Jedno i drugie pochłania dużo czasu i energii. Więc sama rozumiesz, że nie mogę się rozdrabniać.

Słuchała go skupiona. Wydawało mu się, że rzeczywiście rozumie. Mylił się. Ledwo skończył mówić, podała mu stos dekoracji i uśmiechając się promiennie, zaczęła go ciągnąć w stronę ustawionej w holu drabiny.

- No dobrze. Co mam z tym zrobić? - spytał zrezygnowany.

- Podawaj mi po jednej rzeczy naraz, a ja będę przypinać je do ściany.

Weszła na czwarty szczebel. Maxowi natychmiast stanął przed oczami upadek sprzed dwóch tygodni. Niewiele się zastanawiając, cisnął dekorację na podłogę i chwycił drabinę.

Przechodzący obok Antonio zerknął na nich i uśmiechnął się szeroko.

- Widzę, Max, że trafiła ci się najlepsza robota.

Max wypuścił z płuc powietrze. Psiakrew, co ona sobie myśli? Miał ważniejsze sprawy na głowie od trzymania drabiny i podziwiania najwspanialszej pary nóg, jaką kiedykolwiek w życiu widział.

Jakie sprawy? Nie umiał wymienić żadnej.

Wcześniej w ciągu dnia przeglądał notatki Kristiny. Dwa tygodnie temu był zaślepiony złością, a zatem i nieobiektywny. Dziś potrafił docenić pomysły swojej współpracownicy. Zresztą leżąca w recepcji księga meldunkowa jasno wskazywała, że od noworocznego weekendu nie mieli tyle rezerwacji co na weekend walentynkowy. Kolejne trzy pokoje zostały zarezerwowane dzięki ogłoszeniom, które Kris gdzieś porzuciła.

Tak, pomysł przekształcenia „Rosy” w romantyczny hotelik dla zakochanych i nowożeńców jest doskonały.

Postanowił, że kiedy goście rozjadą się do domów, przysiadzie fałdów i dokona obliczeń, ile dokładnie kosztowałyby dobudowa łazienek do pięciu pokoi.

Mimo że większość prac wykonywałyby sam i mimo niżki, którą miał na materiały budowlane, podejrzewał, że koszty będą znaczne. Ale Kristina ma rację. Żeby zarobić pieniądze, najpierw trzeba je wydać. Trudno, naruszy oszczędności.

Stał zamyślony, wpatrując się w jej długie, zgrabne nogi. Miała na sobie szorty. Po pewnym czasie poczuł, jak serce bije mu coraz szybciej.

- Dlaczego nie włożyłaś dzinsów? - spytał.

A ty dlaczego nie umiesz jej odmówić? Dlaczego „nie”, słowo takie krótkie i łatwe, nie może ci przejść przez gardło?

Odpowiedź była prosta. Bo nie chciał, żeby przeszło.

Spojrzała na niego przez ramię, nawet nie starając się ukryć uśmiechu.

- Nikt ci nie każe patrzeć.

Wczoraj w nocy uznała, że użyje wszelkich możliwych środków, dozwolonych i niedozwolonych, aby usunąć tajemniczą przeszkodę, która stała na drodze do ich szczęścia.

Max westchnął głośno. Napięcie powoli go opuszczało.

- Niby nikt - przyznał. - Ale tu mam najlepszy widok.

- Więc na narzekaj - odparła, przyklejając do ściany papierowego kupidyńka.

Kiedy wyciągnęła ramię, aby dosięgnąć pokrytej loczkami tekturowej głowy, Maxowi znów stanął przed oczami jej niedawny upadek.

- Uważaj, Kris. Już raz spadłaś. Nie chciałbym, żeby ci się stała krzywda.

To miło, pomyślała, że się o mnie troszczy.

- Nie słyszałaś, że po upadku trzeba od razu wejść z powrotem na drabinę?

Nie był w nastroju do żartów. Za pierwszym razem nabawiła się amnezji, za drugim diabli wiedzą, co sobie zrobi.

- Na konia. To dotyczy tylko i wyłącznie upadków z konia. A teraz złaż stamtąd.

Na ułamek sekundy zjeżyła się, jakby nie lubiła słuchać rozkazów. Po chwili jednak posłusznie zaczęła schodzić. Bądź co bądź Max był szefem.

Zostały jej jeszcze dwa szczeble, kiedy chwycił ją mocno w pasie i postawił na podłodze.

- Daj - powiedziała, wyjmując jej z ręki taśmę. - Ja przykleję, a ty trzymaj drabinę.

Dygnęła z wdziękiem.

- Dobrze, proszę pana.

Odsunęła się na bok. Kiedy zamienili się miejscami, zadarła głowę i uśmiechnęła się pod nosem.

- Ładny widok - mruknęła.

Obejrzał się. Nie miał pojęcia, o czym mówi.

- Jaki widok? - spytał. I wtem zorientował się, że Kris patrzy na jego biodra. - A, o to ci chodzi.

Wybuchnęła wesołym śmiechem.

- Czasem warto postawić się na miejscu innego człowieka.

Max nie odpowiedział. Zastanawiał się, czy będzie tak uważała, kiedy odzyska pamięć.

- Komplet - oznajmiła June, kiedy Sydney odprowadziła na górę małżeństwo, które przed chwilą wpisało się do księgi meldunkowej.

Mimo komputera księga nadal leżała na blacie w recepcji i goście wciąż się do niej wpisywali. Po prostu wszyscy w „Rosie” wspólnie uznali, że księga należy do tradycji, a tradycję trzeba pielęgnować.

Szesnaście zajętych pokoi! Dla jednej pary, która zadzwoniła spytać o wolne miejsca, nie starczyło już pokoju. June obróciła księgę do siebie i spojrzała na wpisy. Różne charaktery pisma, jedna data.

- Jak za dawnych czasów - powiedziała do Maxa. W jej głosie wyczuwało się dumę.

Ale dawne czasy minęły bezpowrotnie. Teraz były nowe czasy i należało wymyślić coś, co by przyciągało dzisiejszych klientów.

- Zdecydowałem się na przebudowę, June. Przed marcem nie dam rady zacząć, ale już teraz warto pomyśleć nad jakąś kampanią reklamową.

- Kampanią reklamową? - zdziwiła się June.

Wiedziała, że na remont postanowił przeznaczyć własne pieniądze, a nie zysk z wynajmu. Zresztą trudno, aby korzystał z kasy pensjonatu, skoro na ogół była pusta.

- Tak, June. Trzeba się zareklamować. Wydrukować nowe wizytówki, ulotki, broszury i tak dalej.

Ich rozmowę usłyszała Kristina, która na prośbę gości z dwunastki niosła na górę świeże ręczniki i perfumowane sole kąpielowe. Na moment przystanęła.

- Można dać ogłoszenia do prasy. - Pomysły przychodziły jej do głowy z łatwością. - A nawet wykupić całą stronę w którymś z lokalnych pism.

Można, pomyślał Max, ale musiał liczyć się z kosztami. Sytuacja byłaby całkiem inna, gdyby robił wszystko do spółki ze swą współniczką Kristina Fortune.

- To sporo kosztuje - zauważył.

- Tak, ale to opłacalny wydatek. Zwróci się błyskawicznie. - Zadumała się. Miała dziwne uczucie, jakby

już to kiedyś mówiła. Potem wzruszyła ramionami i roześmiała się radośnie. - Boże, gdyby ktoś nie wiedział, że jestem pokojówką, mógłby mnie wziąć za jakąś ważną panią dyrektor od reklamy lub finansów.

Maxa przeszły ciarki.

- Pomysły masz dobre - oznajmił - ale to wszystko wymaga sporo zachodu.

- Zachodu? Żeby umieścić ogłoszenie, wystarczy podnieść słuchawkę i wykręcić numer - stwierdziła rzeczowo. I znów odniosła wrażenie, jakby wypowiadała czyjeś słowa. - Oczywiście na razie jest jeszcze trochę za wcześnie za reklamę prasową. Lepiej poczekać, aż wszystko będzie zapięte na ostatni guzik. Jak sądzisz, ile to potrwa?

- Niestety, dość długo. Cała ekipa haruje przy budowie osiedla Woodbridge. Właściwie jedyną osobą, którą mogę wydelegować do remontu „Rosy”, jestem ja sam.

Przerzuciła ręczniki do drugiej ręki; zupełnie zapomniała o gościach w dwunastce.

- A pracownicy dniówkowi?

Jeżdżąc z Samem po zakupy do miasta, widywała grupki mężczyzn, niewykwalifikowanych robotników, którzy szukali pracy; najczęściej zbierali się przy jednym z parków nieopodal centrum handlowego.

- Od biedy można by paru zatrudnić. - Nagle Max popatrzył na nią ze zdziwieniem. - Skąd wiesz o dniówkach?

Kris przygryzła wargę. Któregoś dnia drzwi gabinetu były otwarte i ze środka dobiegał głos Maxa. Nie potrafiła oprzeć się pokusie. Nastawiła uszu, mając nadzieję, że usłyszy coś na swój temat.

- Kilka dni temu słyszałam, jak rozmawiałeś przez telefon z jakimś Paulem. Mówiłeś coś o dniówkarzach.

- Paul to mój wspólnik - wyjaśnił. Nerwowo zastanawiał się, czy mógł się z czymś zdradzić. - Co jeszcze słyszałaś?

Wzruszyła ramionami. Była zawiedziona; rozmowa dotyczyła spraw budowy.

- Nic. Bo co? - Spojrzała mu w oczy. - Masz jakieś tajemnice?

Poczuł na sobie wzrok June.

- Moje życie to otwarta księga - oznajmił z niewinną miną. - Pytam wyłącznie z ciekawości.

Wyglądała dziś wyjątkowo ślicznie. Zapragnął być z nią sam na sam w blasku księżyca, może przejść się brzegiem morza...

- Słuchaj, zrób, co masz zrobić, i chodź ze mną na spacer.

Przypomniała sobie o państwie Schoenberg w dwunastce, którzy czekali na ręczniki.

- Nie mogę, Max. Jestem tu potrzebna.

Co za pracowita istota, pomyślał.

- Znam szefa. - Puścił do niej oko. - Pogadam z nim, żeby cię zwolnił wcześniej.

Uśmiechnęła się promiennie. Wszystko wkoło znikło: June, recepcja, migoczące świece; był tylko on i ona.

- Naprawdę?

- Słowo honoru.

Boże, jak strasznie jej pragnął. Chciał ją trzymać w ramionach, tulić do siebie w łóżku. Ale musiał uważać. Wiedział, że jeden niewłaściwy ruch może go drogo kosztować.

Kris była łagodna i miła, Kristina zaś bezlitosna i mściwa - nie wybaczy mu poniżenia, na jakie ją naraził.

Czuła się rozdepta; obowiązkowość i poczucie odpowiedzialności nie pozwalały jej wyjść wcześniej z pracy, z drugiej strony kusił ją spacer z Maxem.

- No dobrze - zgodziła się. - Ale po kolacji. Obiecałam Sydney, że pomogę jej podawać do stołu.

- A Antonio nie może cię wyręczyć?

- Ciii. - Rozglądając się, czy przypadkiem Sydney nie ma w pobliżu, podeszła bliżej do Maxa. - Pojechał do miasta, żeby kupić jej bukiet róż.

Ukradkiem wciągnął nozdrzami zapach jej włosów. Zdawał sobie sprawę, że zachowuje się jak nastolatek, który nie może się doczekać tego pierwszego razu.

Uspokój się, zganił się w duchu. Nawet o tym nie myśl! Do niczego między wami nie może dojść.

- Po co? Przecież mamy pełno własnych róż.

Faktycznie, wszędzie stały wazony, na stoliku pod ścianą, na blacie w recepcji, w jadalni, w salonie.

Kris pokręciła głową.

- To nie to samo. Zresztą Jimmy dostałby chyba apopleksji, gdyby przyłapał Antonia, jak zrywa jego cenne kwiaty.

Max słuchał z niedowierzaniem. Osiągnął swój cel. Kristina z wszystkimi się zżyła. Nie przewidział jedynie tego, że sam zapala do niej uczuciem. Podejrzewał, że będzie mu jej bardzo brakowało, kiedy odzyska pamięć i wróci do swojego świata. Zresztą nawet gdyby nie odzyskała pamięci, i tak nie mógłby jej tu trzymać w nieskończoność.

Prędej czy później ktoś z Fortune'ów zadzwoni, poprosi ją do telefonu... i co wtedy?

Na razie wolał o tym nie myśleć. Nie teraz, gdy Kris stała obok świeża jak wiosenny deszczyk, kusząca jak pyszny czekoladowy deser.

- Niedługo wrócę - powiedziała, przyciskając do siebie ręczniki.

Po chwili wbiegła na górę.

June, która poznała Maxa przed wieloma laty, gdy John Murphy przywiózł go z sierocińca, jeszcze nigdy nie widziała, by wodził za kimś tak zakochanym wzrokiem. Pierwszego dnia Kristina dała mu się porządnie we znaki. Za karę postanowił ją zmienić; rezultat przerósł jego najśmielsze oczekiwania.

- Czytałeś „Pigmaliiona”?

Domyślił się, o co June chodzi.

- Nie. Ale widziałem nakręcony na jego podstawie film, „My Fair Lady”. Wolę filmowe zakończenie.

- Ja też - przyznała June. - Jest bardziej optymistyczne.

- Niestety, w życiu rzadko tak bywa.

Zacisnęła dłoń na jego rękę.

- Nie trać nadziei, Max.

Nadzieja nie wystarczy, aby wykaraskać się z kłopotów, przemknęło mu przez myśl. Nie widział wyjścia z tej sytuacji. Zaczęło się od tego, że postanowił udowodnić Kris, że się myli, zmusić ją, by zmieniła zdanie o pensjonacie, a skończyło się na tym, że sam zmienił zdanie o niej. Niestety, okłamując ją, być może zaprzepaścił szansę na miłość.

- Na razie, June, cierpię na potężny ból głowy.

June wierzyła w szczęśliwe zakończenia, uważała jednak, że czasem trzeba dopomóc losowi.

- Łyknij dwie aspiryny i poczekaj na nią na plaży.
- Skinęła w stronę jadalni. - Pogadam z Samem, żeby puścił Kris jak najszybciej. Zresztą nasi walentynkowi goście nie przyjechali tu, żeby godzinami siedzieć przy stolikach.

Nie musiała Maxa dłużej przekonywać.

Stał na dworze, w ciszy i mroku nocy, z niecierpliwością czekając na pojawienie się Kris. Od czasu do czasu próbował przemówić sobie do rozumu. Niestety, pozostawał głuchy na głos rozsądku. Wiedział, że coraz bardziej się angażuje, że nie powinien przebywać z Kris sam na sam...

Szła ostrożnie po kamiennych schodkach prowadzących na plażę, z dwoma kubkami parującej kawy.

- Proszę - powiedziała, stając przed nim.

- Co to? - Sprawiał wrażenie nieobecnego myślami.

- Kawa. Sam uznał, że zmarzłeś. Jest dość chłodno.

Ruszyli brzegiem oceanu.

- Nie zauważyłem. - Wystarczyło, by o niej pomyślał, a zalewała go fala ciepła.

Kris zadrżała. Mimo chłodu miała nieprzepartą ochotę zdjąć buty i zanurzyć nogi w wodzie. Oparła się pokusie. Jeszcze mnie weźmie za wariatkę, pomyślała. Ale może nią była? Przecież każda normalna osoba zastanawiałaby się nad życiem, które straciła, odczuwałaby jakiś brak...

A ona cieszyła się terażniejszością, życiem u boku Maxa.

- Straszny panował dziś tłok w jadalni. Wszystkie stoliki były zajęte - stwierdziła, pijąc powoli kawę.

- Wiem. No cóż, miałaś rację. - W wielu sprawach, o których nie mogę ci powiedzieć, dodał w duchu. - Ludzie uwielbiają romantyczną atmosferę.

- Dziwisz się?

Patrzył, jak blask księżycy odbija się w jej włosach. Korciło go, aby wtulić w nie twarz.

- Kris, powiedz mi, co pamiętasz?

Przez chwilę milczała.

- Niewiele. Jakies luźne fragmenty.

- Fragmenty? Czego? - Starał się ukryć niepokój.

Wypiła kolejny łyk; kawa szybko stygła.

- Nie wiem. Po prostu... - Urwała, niepewna, jak to najlepiej wytłumaczyć. - Po prostu czuję się tak, jakbym miała przed sobą ogromną układankę składającą się z kilku tysięcy rozrzuconych kawałków. Na jednej widzę rękę, na innej kawałek nieba, ale nie umiem poskładać ich w całość.

Czyli na razie nie ma się czego obawiać. Nie zanoszą się na to, że ni stąd, ni zowąd Kris Valentine obudzi się jako Kristina Fortune.

- A więc przeszłość wciąż jest dla ciebie zagadką?

- Tak. - Dopijała kawę do końca. - Nadal wydaje mi się, że musiałam zajmować się czymś innym niż sprzątaniami pokoi, ale nie wiem czym. W każdym razie jako pokojówka robię coraz większe postępy - oznajmiła z dumą. - Już nic nie tłukę.

- To prawda - przyznał. Nie mógł się też nadziwić, że tak szybko zaskarbiła sobie sympatię całego personelu.
- Ale nie tylko jako pokojówka robisz postępy. Sam uważa, że gdyby cię trochę podszkolić, byłabyś świetnym kucharzem; June twierdzi, że bez twojej pomocy nie poradziłaby sobie z komputerem; a Jimmy podobno znów ci pozwala wchodzić do ogrodu.

Fala dosięgła jej buta.

- Tylko po to, żeby rozrzucić nawóz - rzekła ze śmiechem Kris. - Ale dobre i to. Słuchaj, znalazłeś w końcu moje podanie z życiorysem?

Nie okazał zaskoczenia, choć pytanie zbiło go z tropu.

- Nie. A dlaczego pytasz?

Wzruszyła ramionami. Wiatr przybierał na sile. Szkoda, że nie włożyła czegoś cieplejszego.

- Po prostu chciałam rzucić na nie okiem. Może otworzyłaby mi się jakaś klapka w pamięci? Bo na razie mogę się cofnąć pamięcią najwyżej kilka tygodni wstecz.

Przystanąwszy, odwrócił ją twarzą do siebie.

- Bardzo ci to przeszkadza? - spytał z zatroskaniem.

- Właściwie nie. - Uśmiechnęła się, widząc, że zamierza ją objąć. - Uważaj, bo wylejesz kawę.

- Jakież byłoby życie bez ryzyka?

- Bardzo, bardzo nudne - odparła, ani na moment nie odwracając oczu.

- Zgadza się. A ja nie znoszę nudy.

- Więc postaram się pana nie zanudzać.

- Nie dałaby pani rady. - Boże, jak cudownie było trzymać ją w ramionach. - Nawet gdyby usilnie pani próbowała.

- Jesteś pewien, Max?

O, tak. Kris Valentine rozgrzewa go do czerwoności, sprawia, że marzy o rzeczach niemożliwych.

- Niczego bardziej nie byłem pewien.

- Pocałuj mnie, Max - poprosiła. - W końcu dziś są walentynki.

Chętnie spełnił jej prośbę. Całował ją długo i namiętnie, wkładając w to całe serce. Wiedział bowiem, że na nic więcej nie będzie mógł sobie pozwolić.

Całował ją tak, jakby jutro miał nastąpić koniec świata.

Sterling Foster wbił wzrok w wysoką, elegancką kobietę, którą gościł w swoim gabinecie. W kobietę, którą od wielu miesięcy ukrywał przed światem i która od niepamiętnych czasów była jego pracodawczynią. W kobietę, którą szczerze podziwiał i która często doprowadzała go do białej gorączki.

- Nie zgadzam się, Kate. Nic się przecież nie zmieniło.

Kate Fortune zmrużyła oczy.

- Nie proszę cię o pozwolenie, Sterling. Po prostu jako osoba dobrze wychowana informuję cię o tym, co postanowiłam.

Była najbardziej upartą kobietą, jaką kiedykolwiek widział. Lecz i najbardziej fascynującą.

- Poza tym mylisz się - dodała. - Wiele się zmieniło. Mój syn będzie sądzony za morderstwo.

Denerwowała się, co było do niej zupełnie niepodobne.

- Nie zdołasz mi pomóc.

- Pewnie nie - przyznała. - Ale przynajmniej niech ma we mnie wsparcie psychiczne.

Sterling westchnął. Zamierzała popełnić błąd, a on nie mógł temu zapobiec.

- I co? Nie zmienisz zdania bez względu na to, co powiem?

Uśmiechnęła się ciepło.

- Czas najwyższy, mój drogi, żebyś to wreszcie zrozumiał.

Czując, jak strażnik depcze mu po piętach, Jake Fortune wszedł do małej, ponurej sali widzeń. Przy niedużym okratowanym oknie ujrzał Sterlinga Fostera, który przyglądał mu się ze skupieniem.

Nie wiedział, dlaczego prawnik poprosił o spotkanie. Wszystko, co miało jakikolwiek związek z Monicą Malone, już dawno omówili. Jeżeli Sterling każe mu jeszcze raz opowiedzieć wydarzenia tamtego wieczoru, chyba dostanie szału. Zawsze uchodził za człowieka opanowanego, którego trudno wyprowadzić z równowagi. Pobyt w areszcie pozbawił go tej cechy.

Drzwi zatrzasnęły się, potem rozległ się zniechęcony chrzęst klucza w zamku. Z każdym takim trząśnięciem i z każdym chrzęstem Jake coraz bardziej pograżał się w rozpacz.

Chociaż optymizm nie leżał w jego naturze, z początku Jake wierzył w sprawiedliwość, w to, że niewinni ludzie nie trafiają za kratki. Ale kiedy tak siedział w celi, czekając na proces, powoli tracił nadzieję i złudzenia.

- Coś nowego? - spytał prawnika.

Zamiast odpowiedzieć, Sterling wskazał głową na ścianę za plecami Jake'a. W tej samej chwili znajomy, lekko ochryply głos powiedział: |

- Witaj, Jake.

Jake podskoczył. W pierwszej chwili był pewien, że ma halucynacje, że ciągnące się w nieskończoność dni i długie, niespokojne noce spędzane w ciasnej celi doprowadziły go do obłądu.

- Mama?

Czując bolesne klucie w sercu, Kate postąpiła krok do przodu, by dotknąć swojego syna. Łzy podeszły jej do gardła. Z trudem je przełknęła. Boże, co oni z nim zrobili?

- Jak *strasznie* schudłeś - szepnęła.

Gdyby to tylko było możliwe, zamieniłaby się z nim miejscami. Nie mogła patrzeć na cierpienie malujące się w jego oczach.

- Mama? - powtórzył z niedowierzaniem. Potrząsnął głową, usiłując zebrać myśli. Nie, to nie są halucynacje. Po policzku gładzą go prawdziwe palce. - Skąd się tu wzięłaś? Przecież nie żyjesz.

Na jej twarzy pojawił się smutny uśmiech.

- Informacje o mojej śmierci są mocno przesadzone. Czy nie tak powiedział Mark Twain?

Jake poczuł złość. Matka żyje, a oni wszyscy ją opłakiwali! Co nią kierowało? Jakim prawem zlekceważyła ich uczucia?

- Do diabła z Twainem! Jak mogłaś, mamó? Jak mogłaś pozwolić nam myśleć, że umarłaś?

- Nie podnoś na matkę głosu - odezwał się Sterling.

Kate stanęła po stronie syna.

- Ma do tego prawo, Sterling. To dla niego szok.

- Szok? - Jake nie posiadał się z wściekłości. - To coś więcej niż szok! Kogo jeszcze tu wprowadzisz, co, Sterling? Może Monice?

Prawnik pokręcił przecząco głową.

- Nie, Jake. Monica z całą pewnością nie żyje.

- A ty? - Jake zwrócił się do Kate. - Dlaczego udawałaś martwą?

Zaskoczył ją jego napastliwy ton. Jake zawsze był spokojny i skryty, nie okazywał emocji.

- Bo ktoś usiłował mnie zabić i chciałam odkryć kto.

Nie wierzył własnym uszom.

- Myślałaś, że to ktoś z nas?

Wzruszyła ramionami.

- Sama nie wiedziałam, co myśleć.

Usiadł, zakrywając rękami twarz. Chwilę trwało, zanim zdołał odzyskać równowagę.

- Pięknie, mamó. To miło, że masz o nas tak dobre mniemanie. - Skierował na nią wzrok. Tysiące obrazów z przeszłości odżyło mu w pamięci. - Z drugiej strony, nie powinienem się dziwić. Właściwie słabo mnie znasz, prawda?

Zawsze istniał pomiędzy nimi niewidzialny mur. Spotykali się, rozmawiali, ale chyba nie rozumieli. Wynikało to z jej poczucia winy i wstydu. Biedny Jake nawet nie wiedział, jak wielkie dręczyły ją wyrzuty sumienia.

- Jeśli byłam wobec ciebie bardziej wymagająca i surowa. ..

- Jeśli?

- ...to dlatego, że ciebie pierwszego urodziłam. Mia-
łam zbyt wysokie oczekiwania. - Potrafiła przyznać się
do błędów. - Po prostu nie umiałam być matką.

- Ale teraz postarasz się nadrobić zaległości? - spytał
głosem ociekającym sarkazmem.

- Tak, kochany. Teraz postaram się być dobrą matką.
I służyć ci wsparciem - rzekła. - Dlatego tu jestem.

- I czego się spodziewasz? Wdzięczności?

- Nie. Tego, że zostaniesz uniewinniony.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Paul dostrzegł Maxa niedaleko przyczepy rozmawiającego z nowym elektrykiem. Obydwaj jak zwykle przyjechali na budowę o siódmej rano. Teraz dochodziła dwunasta; wcześniej nie mieli nawet chwili, by zamienić z sobą słowo.

Kiedy elektryk oddalił się w stronę nowo wzniesionego budynku, Paul podał Maxowi puszkę coli, którą wyjął z niewielkiej lodówki w przyczepie. Bez względu na pogodę Max wolał zimne napoje od gorącej kawy.

- Myślisz, że zdążą w porę wyrównać teren? - spytał, wskazując głową na ostatni kawałek wolnej przestrzeni.

- Myślą, że wyrobiją się przed czasem - odparł z uśmiechem Max. - Tylko popatrz na nich. Zasuwiają tak, jakby to był tor wyścigowy.

Paul pociągnął łyk z puszki. Odkąd zaczął współpracować z Maxem, zmienił przyzwyczajenia i też pijał zimną colę.

- Co słyhać u tej twojej wiedźmy?

Max skrzywił się. Sam tak nazwał Kris, ale wiedźmą była tylko pierwszego dnia.

- Wszystko w porządku.

- Jeszcze nie odzyskała pamięci?

- Nie. - Wpił do końca colę i przez moment stał zamysłony, wpatrując się w puszkę.

Paul uważnie obserwował przyjaciela. Minał już prawie miesiąc. Niewiele w tym czasie rozmawiali o Kristinie, obaj bowiem mieli inne sprawy na głowie:

- Wciąż nic nie pamięta?

- Twierdzi, że nie.

Max wzruszył ramionami. Bał się tego dnia, kiedy Kris nagle wszystko sobie przypomniał.

- Sądysz, że długo to jeszcze potrwa? - Paul czytał w jego myślach.

Max roześmiał się. Gniotąc w rękę puszkę, ruszył w kierunku przyczepy.

- Nie mam pojęcia.

Paul, niższy od przyjaciela, musiał ostro wyciągać nogi, aby dotrzymać mu kroku.

- Wiesz, stary, na twoim miejscu powiedziałbym jej prawdę, zanim sama ją odkryje.

Max wrzucił puszkę do kosza na metalowe odpady. Rozległ się brzęk.

- Teoretycznie masz rację. - Zerknął na Paula, ale myślami był przy Kris. Jak zareaguje, jeśli się dowie? A raczej: kiedy się dowie. - Praktycznie jednak jest to trudne do wykonania.

Paul zauważył, że od paru dni Max chodzi dziwnie zaaferowany. Ciekaw był, co jest tego powodem: remont pensjonatu czy panna Kristina Fortune.

Podejrzewał, że Kristina. Do remontu, który z początku wzbudzał jego sprzeciw, teraz podchodził z coraz większym zapałem. Swoim entuzjazmem zaraził wszyst-

kich wokół. On, Paul, nawet zaproponował mu pomoc w weekendy. Wiedział, że Ellen nie będzie zachwycona, ale czego nie robi się w imię przyjaźni?

- Słuchaj, skoro i tak zamierzasz zrealizować jej pomysły, może to ją udobrucha? Może wybaczy ci kłamstwo? No i jest szansa, że nie zwolni personelu. Sam mówiłeś, że wszystkich polubiła.

Polubiła to mało, pomyślał Max.

- Oni tworzą jedną dużą szczęśliwą rodzinę. W dodatku June i Sydney wiercą mi dziurę w brzuchu, żebym przestał Kris okłamywać.

- No widzisz?

Na chwilę przerwali rozmowę, gdyż podszedł do nich brygadzysta; potrzebował jakichś materiałów. Max złożył podpis na zamówieniu, po czym oddał mu kartkę i długopis.

- W porządku, Paul. - Wsunął ręce do kieszeni spodni. - Więc wyjaśnij mi, jak mam powiedzieć dziewczynie, że chcąc się na niej zemścić, postanowiłem wprowadzić ją w błąd i przez miesiąc zmuszałem do szorowania podłóg i siania łóżek? Jak to zrobić, żeby mnie nie znenawidziła?

- Faktycznie. - Paul pokiwał głową. Cieszył się, że nie jest na miejscu Maxa. - Trudna sprawa.

Max zdjął kask i przeczesał ręką włosy.

- Koszmarnie trudna.

Nagle Paula coś tknęło. Od ośmiu lat byli z Maxem współnikami. Kiedy zaczynali, za biuro służył im pokój w mieszkaniu Paula. Jeśli dwie osoby spędzają z sobą kilka godzin dziennie na niewielkiej przestrzeni, wkrótce znają się jak dwa łyse konie.

- Chodzi o coś więcej, prawda, Max?

Max wiedział, że nie ma sensu zaprzeczać. Paul potrafił drażnić człowieka tak długo, aż wyciągnął z niego odpowiedź.

- No, niestety.

- O rany!

- Co za „o rany”? Jeszcze nic nie powiedziałem.

- Nie musisz. Widzę to na twojej twarzy.

Chciał zaprotestować, oszukać nie tylko Paula, ale i samego siebie. Ale zdawał sobie sprawę, że to nic nie zmieni.

- Zgadłeś - przyznał. Patrzył z podziwem na dekara, który biegał po dachu ze zręcznością kozicy górskiej. Dzięki Bogu, że w przeciwieństwie do niego Martinez nie ma lęku wysokości. - Ale nie to jest ważne. Ważne jest to, że znenawidzi mnie, kiedy odzyska pamięć.

- Może nie odzyska?

- I co wtedy? Mam ją dalej okłamywać? Do końca jej życia? - Czuł, jak narasta w nim złość. - Od pierwszej chwili gnębiły mnie wyrzuty sumienia. Odkąd tylko otworzyła te swoje niebieskie oczęta. Ale kłamstwo wydało mi się jedynym wyjściem. Chciałem sobie oszczędzić kłopotów, a innych ocalić przed utratą pracy. Niby jako współwłaściciel nie mogłaby bez mojej zgody nic zrobić, ale należy do Fortune'ów, a oni zawsze dostają to, czego chcą.

- No dobrze, więc na początku, żeby ratować siebie i innych, uciekłeś się do kłamstwa. Ale... ale po co to ciągniesz?

Max wziął głęboki oddech. Nie miał czasu na bez-

produktywne rozmowy. Pierwsze domy są na ukończeniu. Powinien przeprowadzić wstępną kontrolę.

- Już ci mówiłem! - Powoli tracił cierpliwość. - Bo prawda za drogo będzie mnie kosztować! - Urwał. Przecież Paul nie jest niczemu winien. - Przepraszam, stary. Niepotrzebnie się na ciebie złościę. Chodzi o to, że póki Kris żyje w nieświadomości, jest cudowną, wesołą dziewczyną, której włosy pachną wiatrem...

Rany boskie, co się z nim dzieje?!

- Zakochałeś się.

- Nie. Po prostu podoba mi się i tyle.

Paul nie dawał za wygraną.

- Zakochałeś się, Max. Wiem, jak się zachowujesz, kiedy babka ci się podoba, a jak, kiedy tracisz dla niej głowę. Znamy się nie od dziś. Do Kris czujesz to samo, co czułeś do Alexis.

Nie chciał się do tego przyznać, ale oczywiście Paul ma rację. Jedyna różnica między Kris a Alexis polegała na tym, że z Kris jeszcze nie spał.

- I tak samo się to zakończy. - Z głosu Maxa przebijała gorycz. - Nawet jeśli mnie Kris nie zabije za numer, jaki jej wyciąłem, to i tak wróci do swojego poprzedniego życia. Do świata, który jest mi obcy.

Pamiętał ten świat z opowieści Alexis. Tak, Alexis kochała blichtr i pieniądze. Z nim, Maxem, zostać nie chciała, ale pierścionka zaręczynowego mu nie oddała.

- Do świata, którego się brzydzę - dodał po chwili. - W którym liczą się pozory, fałszywe uśmiechy, a nie prawdziwe uczucia. W którym żyją bogate marionetki.

Paul uniósł zdziwiony brwi.

- I ona taka jest? Kris?
- Kris nie. Ale Kristina Fortune tak - wyjaśnił Max. Kristinę Fortune rozgryzł w ciągu pierwszych pięciu minut. - Wiele bym dał, żeby Kris nie przeobraziła się z powrotem w Kristinę, ale to nierealne. - Nawet nie próbował się łudzić. - Lada dzień ktoś z jej rodziny wpadnie tu albo zadzwoni. Na razie wszyscy są zajęci procesem, ale prędzej czy później zauważą, że Kris nie daje znaku życia. Ich też mam oszukiwać? - Potarł rękami twarz. Inspekcją domów zajmie się później. - Pewnie oskarżają mnie o emocjonalny kidnaping albo diabli wiedzą co.
- Nie przesadzasz, stary? - spytał Paul ze śmiechem. Max westchnął zrezygnowany. Wolał nie myśleć o tym, co go ewentualnie czeka.

Skończywszy lekcję, Kristina wyłączyła komputer.

- June - zwróciła się do swojej uczennicy. - Czy lubiałam wcześniej Maxa? To znaczy, zanim spadłam z tej drabiny?

June zawahała się, po czym, starannie dobierając słowa, odparła:

- Miewaliście różnice zdań. - Zerknęła na Kris, wypatrując jakiejś oznaki, że dziewczynie wraca pamięć. - Jeśli darzyłaś go sympatią, ukrywałaś to przed nami.

Innymi słowy, nie przepadała za nim? Kris zupełnie sobie tego nie mogła wyobrazić. Teraz niecierpliwie oczekiwała jego powrotu z budowy. Była niepocieszona, jeśli sprawy zawodowe zatrzymywały go na noc w Newport Beach.

- W takim razie dobrze się stało.

- Co? - Jurte nie bardzo śledziła jej tok rozumowania. Kris podeszła do kanapy i poprawiła poduszki.

- Że straciłam pamięć. Że przeszłość nie wpływa na teraźniejszość. - Spojrzała rozpromieniona na starszą kobietę. - Bo dziś uwielbiam Maxa. Jest taki... taki... Na samą myśl o nim robi mi się ciepło w sercu. A kiedy na mnie patrzy, chce mi się tańczyć i śpiewać.

Nic nie sprawiało June takiej radości jak szczęście innych.

- Masz rację, kochanie. Świetny facet z naszego Maxa. - Oczy lśniły jej wesoło. - Gdybym była parę lat młodsza, miałybyś we mnie rywalkę.

Kris zaczęła przemierzać hol. Było już późno, deszcz znów padał. Może Max nie wróci dziś na noc?

- Wiesz, June, czasem wydaje mi się, że jest mną zainteresowany, a czasem, że wyobraźnia płata mi figle.

Tyle razy dawała mu do zrozumienia, że coś do niego czuje. A on? Nic. Zachowywał się tak, jakby tego nie zauważał. Albo jakby się czegoś bał.

- Witaj w świecie romansu, moja miła. Którego drogi bywają czasem bardzo kręte.

- To prawda. - Przysiadłszy na oparciu kanapy, Kris przez moment wpatrywała się w ulewę za oknem. - Akurat kiedy wszystko idzie dobrze, Max nagle wycofuje się. - Wbiła w June błagalne spojrzenie. Bądź co bądź June znała Maxa od dziecka. Może mogłaby coś doradzić. - Powiedz, co ja robię źle? Czym go do siebie zrażam?

Starsza kobieta podeszła do niej i zacisnęła rękę na jej ramieniu.

- Nic źle nie robisz, kotku. Po prostu musisz być cier-

pliwa. Max raz się sparzył na kobiecie i od tamtej pory jest ostrożny...

Kristinie takie wyjaśnienie nawet nie przyszło do głowy.

- Był żonaty?

- Nie, nie doszło do ślubu.

June skrzywiła się. Nigdy nie przepadała za Alexis. Z bezbłędną intuicją kobiety, która wiele w życiu widziała, natychmiast wyczuła, że Alexis Wexler jest bezduszną oportunistką pragnącą wspiąć się na szczyty hierarchii społecznej.

- Ale Max się jej oświadczył, a ona przyjęła oświadczenia - ciągnęła June. - Była piękna, ale całkowicie pozabawiona serca. Zależało jej wyłącznie na tym, aby znaleźć kogoś, kto by się nią opiekował. Kiedy na horyzoncie pojawił się ktoś bogatszy i lepiej się zapowiadający, bez skrupułów rzuciła Maxa. Biedak długo nie mógł się pozbiierać. - June pokiwała smutno głową. - Czasem odnoszę wrażenie, że serce dalej mu krwawi. - Popatrzyła z nadzieją na Kris. - Więc kiedy się waha albo, jak mówisz, nagle się wycofuje, może przypomina sobie Alexis.

- Tak miała na imię? - spytała Kris. - Alexis?

Z jednej strony, była zła na nie znaną sobie Alexis za to, że zadała Maxowi ból, z drugiej zaś, była jej wdzięczna, bo gdyby nie zerwane zaręczyny, Max miałby teraz żonę, może dziecko. A tak wciąż jest kawalerem.

Zsunęła się z oparcia kanapy na siedzisko i przytuliła do piersi poduszkę.

- Więc uważasz, że nie powinnam się poddawać, June?

- Uważam, że nie powinnaś osadzać Maxa zbv

rowo - odparła dyplomatycznie starsza kobieta. - I powinnaś mu wybaczyć.

Wybaczyć? Przecież nie zrobił jej nic złego.

- Co wybaczyć? Że się waha?

- Wszystko, kochanie. Wszystko.

June ugryzła się w język. Za dużo już powiedziała. Ale tak bardzo chciała, żeby im się udało. Czuła, że Kris i Max są dla siebie stworzeni.

- Naprawdę ci na nim zależy? - spytała.

- Ogromnie. Oczywiście nie pamiętam przeszłości, ale wydaje mi się, że jeszcze nigdy nie spotkałam kogoś takiego jak Max.

- Och, nie mam co do tego wątpliwości - rzekła June. Może była trochę uprzedzona, ale święcie wierzyła, że Max jest wyjątkowym człowiekiem. - Tylko proszę cię, nie zapomnij o tym, kiedy odzyskasz pamięć.

Kris miała wrażenie, że June mówi jakimś dziwnym szyfrem.

- Myślisz, że odzyskam?

June stanęła przed oczami gazeta z artykułem o Jake'u Fortunie, którą ledwo zdążyła ukryć, zanim Kris nadeszła. Czasem zarzucano jej nadmierny optymizm, jednakże w tej sprawie miała jasno sprecyzowany pogląd: że prędzej czy później prawda wyjdzie na jaw.

- Chyba tak.

Kristina podniosła się z kanapy. Uznała, że nie ma sensu dłużej czekać na Maxa; pewnie dziś przenocuje w Newport Beach.

- Słuchaj, nie widziałaś gdzie gazety? Pomyślałam sobie, że poczytam w łóżku. Max chyba dziś nie wróci...

W tym momencie, ku niewysłowionej uldze June, drzwi się otworzyły i do środka wszedł Max. Był w nie najlepszym humorze. Burza oznaczała przestój na budowie. Cholera jasna! Sezon deszczowy powinien być się już zakończyć. Dlaczego pogoda bywa tak nieprzewidywalna?

- O wilku mowa! - zawołała June.

Kris uśmiechnęła się promiennie. Tak, na jego widok robiło się jej ciepło w sercu. Przy nim ożywała, stawała się świadoma wszystkich i wszystkiego, ludzi, zapachów, kolorów.

- Cześć.

Podeszła i wzięła od niego mokrą kurtkę.

- Cześć. Zostaw to. Sam ją powieszę.

- W porządku. - Nie kryła radości, że Max wrócił do „Rosy”. - Bałam się, że deszcz zatrzyma cię w Newport Beach.

- Zamierzałem zostać - powiedział zgodnie z prawdą. Nie wspomniał o walce, jaką stoczył sam z sobą.
- Ale w ostatniej chwili zmieniłem zdanie.

Jedyny gość był na górze w swoim pokoju, ogrodnik Jimmy wciąż przebywał na urlopie, a Antonio z Sydney, których romans rozkwitał od dnia zakochanych, pojechali po południu do miasta i pewnie tam zamierzali zostać na noc. To niesamowite, co może zdziałać bukiet róż na walentynki, pomyślała z zazdrością Kris i wbiła wzrok w Maxa. Jeśli nie liczyć Sama, który wciąż kręcił się po kuchni, i June, byli sami.

- Dlaczego? - spytała. Pragnęła usłyszeć, że stęsknił się za nią.

Wskazał głową na drzwi gabinetu.

- Zostawiłem plany na biurku. Muszę je przestudować, zanim zamówię materiały budowlane.

Akurat! Potrafiła przejrzeć go na wylot. Uśmiechnęła się figlarnie.

- To jedyny powód?

Zgarnął Kris w ramiona. Cudownie było tulić ją do siebie. Nie wyobrażał sobie dnia, kiedy to się skończy - kiedy Kris odzyska pamięć i wróci do Minneapolis. Starał się nie myśleć o przyszłości.

- A jakież mógłby być inny?

Zrobiła niewinną minkę.

- Nie wiem.

Miał ochotę pocałować ją w nos, w usta, w szyję, wszędzie.

- Zgadnij.

Jakby czytając w jego myślach, uniosła głowę, nadsztawiając wargi do pocałunku.

- Daj mi chociaż wskazówkę - poprosiła.

Nagle Max uświadomił sobie, że nie są sami. June obserwowała ich z zapartym tchem, zupełnie jakby siedziała w kinie i oglądała swój ukochany film.

- No tak - powiedziała, zreflektowawszy się, że Max i Kris nie są bohaterami filmu - powinnam chyba przejrzeć te instrukcje.

Chwyciła pierwszy z brzegu podręcznik do komputera i oddaliła się szybkim krokiem.

- Wciąż czekam na wskazówkę - szepnęła Kris.

- No dobrze, skoro nalegasz...

Kiedy ich usta się zetknęły, zmęczenie, które Max od-

czuwał, ulotniło się. Nie myślał o przyszłości; cieszył się chwilą obecną.

Kris zarzuciła mu ręce na szyję. Kiedy chciał się odsunąć, bojąc się, że lada moment straci nad sobą kontrolę, przytuliła się mocniej, wspięła na palce, pocałowała go żarliwie w usta, po czym sama przerwała pocałunek i cofnęła się.

- Mmm, częściej proszę o takie wskazówki. - Uśmiechnęła się. - Jesteś głodny?

- Jeszcze jak! - Oblizął się ze smakiem.

Roześmiała się wesoło.

- Mam na myśli kolację, Max.

- Tak, kolację też mógłbym zjeść.

Psiakość, Paul ma rację. Zakochał się w Kris.

Ujęła go za rękę i poprowadziła do jadalni, zupełnie jakby ona tu mieszkała, a on wpadł z wizytą.

Sam właśnie wybierał się na nocny spoczynek.

- Spójrz, Sam! - zawołała. - „Łowca z gór powrócił”!

Nagle umilkła. Słowa wydały się jej znajome, choć nigdy wcześniej ich nie słyszała.

- Skąd mi się wziął ten łowca? - spytała zdziwiona.

Max wrzuszył ramionami. Uważnie się jej przyglądał. Były to pierwsze słowa, jakie Kristina Fortune wypowiedziała na jego widok.

- Może to cytat z jakiejś książki? - powiedział. - Wygląda na to, że zaczynasz odzyskiwać pamięć.

- Wcale mi na tym nie zależy - oznajmiła cicho. Usiedli przy stole. - Czuję się teraz całkiem szczęśliwa.

Prawdę mówiąc, ostatnio coraz bardziej lękała się przeszłości, odkrywania mrocznych zakamarków swojej duszy.

- Odzyskanie pamięci ma wiele minusów. Człowiek przypomina sobie rzeczy nie tylko miłe, ale również smutne i ponure, o których wolałby jak najszybciej zapomnieć.

Popatrzyła Maxowi w oczy, ciekawa, czy ją rozumie i czy się z nią zgadza. Ale spojrzenie miał nieprzeniknione.

- Zresztą po co zaśmiecać pamięć przeszłością? W tej chwili wiem wszystko, co muszę wiedzieć. O tobie również.

Wstała od stolika i podeszła do drzwi, za którymi znajdowało się królestwo Sama. Zajrzawszy do środka, poprosiła kucharza o przysmak Maxa: kanapkę z pieczenią.

Kiedy wróciła na miejsce, Max podjął przerwany wątek.

- Co o mnie również wiesz?

Może nie powinna nic mówić... ale wolała nie mieć przed nim tajemnic.

- June mi powiedziała.

- O czym?

Usiadła naprzeciwko niego.

- Dlaczego czasem bywasz taki nieprzystępny.

- A bywam? - Czuł się tak, jakby przedzierał się przez pole najeżone minami.

- Tak. I rozumiem cię.

Wciąż nie wiedział, o czym Kris mówi. I niemal bał się dalej drażnić.

- Co właściwie powiedziała ci June? - spytał w końcu.

Kris wbiła wzrok w swoje ręce. Nie chciała wprawiać Maxa w zakłopotanie ani budzić w nim bolesnych wspomnień. Po prostu chciała, by wiedział, że go rozumie.

- O twoich zerwanych zaręczynach z Alexis. - Popatrzyła mu w oczy. - Nie musisz się mnie obawiać.

- Nie muszę?

- Nie. Nie jestem tu dla pieniędzy i nie ucieknę z kimś, kto roztoczy przede mną wizję wspaniałej przyszłości. Tu mi się podoba. - Mówiąc to, intuicyjnie czuła, że nigdzie dotąd nie było jej tak dobrze. - Lubię ludzi, którzy tu pracują, lubię panujący tu spokój. I bardzo mi się podobają twoje plany przebudowy „Rosy”.

Tak długo go prosiła, aż nareszcie pokazał jej wszystkie szkice i opowiedział o zmianach, jakie zamierza wprowadzić.

- To śmieszne - dodała po chwili - ale niemal mam wrażenie, jakbym sama wykonała te szkice. Wyglądają tak znajomo. Wiesz, o co mi chodzi?

Tak, nadszedł czas, aby wyznać jej prawdę. Paul mądrze mu radził. Lepiej, żeby o wszystkim dowiedziała się od niego, niż przypadkiem odkryła cichą zмовę, jaką przeciw niej uknuto.

- Owszem, wiem. - Wziął głęboki oddech. - Kris...

- Słucham?

- W przeszłości... - zaczął. Boże, jakie to trudne!

- Nie musisz nic mówić - przerwała mu. - O tym June też wspomniała.

O czym, na miłość boską?!

- Wspomniała, powiadasz?

- To znaczy, sama ją spytałam. No wiesz, o nas. Czy się lubiliśmy.

No dobrze, June przygotowała grunt. Teraz należało wykonać skok na głęboką wodę.

- I jaką dała ci odpowiedź?

- Że nie za bardzo. Właśnie wtedy powiedziałam jej, że cieszę się z mojego wypadku. - -Mówiła szybko, nie dopuszczając go do głosu. - Bo gdyby nie utrata pamięci, może nigdy nie odkryłabym, jaki z ciebie wspaniały facet.

Podjeżdżał, że Kristina Fortune nigdy by go nie określiła mianem wspaniałego faceta.

- Całkiem możliwe - rzekł.

Kris zarumieniła się.

- Aż taka byłam paskudna?

Roześmiał się.

- Paskudna? To mało powiedziane.

Nie obraziła się.

- Ojej. Przepraszam. Za to, jaka byłam i co mówiłam. Wyciągnął rękę i poklepał ją po dłoni.

- Posłuchaj, Kris. Muszę ci coś...

W tym momencie June wpadła do jadalni.

- Max! - Natychmiast zauważyła ich splecione ręce.

- Przepraszam, że ci przeszkadzam, ale dzwoni Paul. Mówi, że to bardzo pilne.

Wzdychając głęboko, Max wstał od stołu. No cóż prawda będzie musiała poczekać. Zresztą czuł, jak opuszcza go odwaga.

- Dobra, już idę.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Stał w ciemnym korytarzu, wpatrując się w drzwi sypialni Kris. Ciszę, która panowała na piętrze, zakłócał jedynie jego własny oddech. Oddech i niespokojne bicie serca.

Ostatnie trzy godziny spędził u siebie w gabinecie, głównie wisząc na telefonie. Na skutek niespodziewanej ulewy mieli co najmniej dwudniowe opóźnienie, a na dodatek dalej padało. Na szczęście udało mu się zorganizować dwie ekipy, które czekały, gotowe przystąpić do pracy, kiedy tylko ziemia trochę wyschnie.

Uporawszy się z tą sprawą, został dłużej w gabinecie, żeby jeszcze raz obliczyć koszty remontu.

A tak prawdę mówiąc, został dłużej ze strachu. Bał się uczucia, jakim darzył Kris.

Pokusa była silna. Wewnętrzny głos szeptał mu do ucha: No, śmiało. Zastukaj do drzwi. Ale nie mógł. Wiedział bowiem, czym to się może skończyć.

Co za koszmar. Kobieta, którą kochał znacznie mocniej od Alexis, nie istniała. To znaczy, chodziła, mówiła, oddychała, rozgrzewała go swoim dotykiem, uśmiechem, spojrzeniem.

Lecz nie istniała. Była czymś chwilowym, przelotnym. Kiedy odzyska pamięć, zniknie; jej miejsce zajmie Kri-

stina Fortune, która znienawidzi go za to, że ją oszukał. Miał jedynie nadzieję, że nie zmieni zdania w sprawie pensjonatu.

Paul słusznie mówił: jest jej winien prawdę. Ale jak ma powiedzieć kobiecie, którą kocha, że świadomie ją okłamał? Że uczynił to ze względów egoistycznych, nie przejmując się tym, co z nią będzie?

Nieprawda. Przejmował się. W przeciwnym razie nie odczuwałby wyrzutów sumienia, a one towarzyszyły mu stale i wszędzie.

Dziś wieczorem był o krok od wyznania jej prawdy. Uratował go telefon od Paula. Cholera, nie powinien stać pod jej drzwiami i wzdychać żałośnie. Powinien się porządnie wyspać. Budowa zbliżała się do końca, a czas nagli.

Chciał zobaczyć Kris chociaż jeszcze jeden raz, zanim będzie za późno. Wiedział, że zachowuje się jak zakochany nastolatek, lecz nic na to nie mógł poradzić.

Podniósł rękę. Wystarczy zastukać. Droga do szczęścia wiedzie przez te drzwi. Raczej do ułudy niż szczęścia, poprawił się w myślach, i opuścił rękę.

Gdyby wszedł, wynikłyby z tego same kłopoty. Po co się zadrećzać? Po co jeszcze bardziej komplikować sytuację?

Nie mógł kochać się z Kris. To byłoby nie w porządku. Po odzyskaniu pamięci zarzuciłaby mu, że ją wykorzystał. I miałyby rację. Przecież nie wiedziała, kim jest.

Psiakość, zaraz następnego dnia po upadku powinien był ją odesłać do domu, do rodziny. Powinien był przypiąć jej do piersi kartkę z imieniem, nazwiskiem, adre-

sem, i odwieźć na lotnisko. A tak tylko narobił sobie kłopotów.

Wzdychając ciężko, odwrócił się i skierował na dół do swojego pokoju. Jak dobrze pójdzie, może uda mu się przespać ze trzy godziny, zanim rano wyruszy na budowę.

Podejrzewał jednak, że czeka go długa, bezsenna noc.

Kris poderwała głowę. Miała wrażenie, że słyszy jakieś kroki na korytarzu. Wyteżyła słuch. Deszcz walił w okna i w dach, od czasu do czasu wiatr zawodził żałośnie, poza tym jednak panowała cisza.

A więc to nie Max. Szkoda.

Od kilku godzin czuwała. Parę razy wydawało jej się, że za drzwiami słyszy kroki. Marzyła o tym, aby Max zajrzał do niej, kiedy skończy pracę.

Oczywiście mogła sama zejść do niego do biura, ale nie chciała mu przeszkadzać. Nieprawda. Bardzo chciała mu przeszkodzić, odwrócić jego uwagę od tych pilnych spraw, którymi musiał się zająć, i skupić ją na sobie. Powstrzymywała się z najwyższym trudem.

Podeszła do okna i patrzyła na spływające po szybie krople deszczu. Czuła się odizolowana od świata. Podobnie się czuła, kiedy otworzyła po upadku oczy i uświadomiła sobie, że nic nie pamięta. Poczucie izolacji minęło, gdy zauroczył ją Max.

Zauroczył? Nie, to niewłaściwe słowo. Kiedy kierował na nią spojrzenie, nogi się pod nią uginały. A kiedy się uśmiechał, serce waliło jej młotem.

Przed oczami mignął jej kawałek dachówki zerwanej

przez wiatr. Dobrze, że Max zamierza wkrótce przystąpić o remontu, pomyślała. Wtedy będzie w „Rosie” dwadzieścia cztery godziny na dobę. Uśmiechnęła się na samą tę myśl.

No, Max, gdzie jesteś? Dlaczego cię tu nie ma? Na co jeszcze czekasz?

Chodziła tam i z powrotem po pokoju, szukając czegoś, czym mogłaby się zająć. Mimo późnej pory i kojącego szumu deszczu, była zbyt spięta, aby zasnąć.

Patrząc na szerokie łóżko, myślała o zmianach, jakie Max chciał wprowadzić. Ponieważ głównie zależało mu na tym, aby w każdym pokoju panował romantyczny nastrój, sama zaproponowała, aby wstawić łóżka z baldachimem. Wyobraziła sobie muślinową zasłonkę, która delikatnie powiewa na wietrze, zachęcając kochanków, aby skryli się pod nią i spełnili swoje marzenia.

Maxowi spodobał się ten pomysł. Zapisał go, po czym z uśmiechem poprosił o więcej. Ucieszyła się. Chciała mu pomóc, chciała też, by ludzie wyjeżdżali stąd bogatsi o cudowne wspomnienia. Gdyby kochała się z Maxem w łóżku z baldachimem, zapamiętałyby to do końca życia.

Zresztą wcale nie musiałyby to być łóżko z baldachimem. Mogłaby to być kanapa, stół, podłoga. Bez różnicy.

Chociaż nie pamiętała przeszłości, podświadomie czuła, że całe życie czekała na kogoś takiego jak Max.

Nie, to bez sensu. Musi przestać o nim myśleć!

Podeszła do komody, zaczęła wyciągać szuflady, grzebać w nich. Czy przed upadkiem z drabiny lubiła czytać? Może znajdzie jakąś książkę?

Ubrania leżały w szufladach starannie złożone. Zmarzczyła czoło. Niewiele tego było.

Nigdy wcześniej się nad tym nie zastanawiała. No cóż, widocznie nie przywiązywała wagi do ilości strojów, lecz do ich jakości. Wszystkie uszyte były z doskonałych materiałów. Przypuszczalnie miała niedużo pieniędzy, więc kupowała rzeczy dobre gatunkowo, żeby na dłużej starczyły.

Tak, to brzmi logicznie.

Wzdychając smętnie, usiadła przy szafce nocnej. Górna szuflada była pusta. Dolna też.

Rany boskie, czyżby nie miała żadnego hobby? Żadnych zainteresowań? Nie czytała książek ani nawet pism?

Nie uważała się za osobę nudną, ale chyba wcześniej taka była. Może dlatego Max starał się trzymać na dystans? Może nie wierzył w jej transformację?

Ponieważ nie miała nic innego do roboty i ponieważ wciąż nie czuła się senna, otworzyła szafę. Kilka rzeczy, które nosiła na zmianę od prawie dwóch miesięcy, wisiało na wieszakach. Niżej stały dwie beżowe walizki. Wyjęła większą. Usłyszała, jak coś się w środku przesuwają.

Otworzywszy walizkę, zobaczyła książkę w twardej oprawie. Ciekawa, coś takiego czytała w swoim poprzednim życiu, wyciągnęła się na łóżku. Z książki wypadło coś, co służyło za zakładkę.

Było to zdjęcie. Duże, panoramiczne. Ale nie dostrzegła na nim nikogo z pracowników pensjonatu.

Przyglądała się kolejno wszystkim twarzom. Serce zaabiło jej mocniej, kiedy zobaczyła siebie. Obok, z ręką na jej ramieniu, stała roześmiana rudowłosa kobieta.

Położyła zdjęcie na łóżku i zaczęła się w nie intensywnie wpatrywać. Przedstawiało obcych ludzi.

Obcych, a jakby znajomych.

Tak, byli to ludzie, których kiedyś musiała znać. Których na pewno znała. Zwłaszcza tę rudowłosą kobietę.

Zaraz, zaraz...

- Przecież to Rebeka - szepnęła Kris, jakby bała się wymówić głośno imię.

Łzy wezbrały jej pod powiekami, zamgliły oczy. Przetarła je ręką i zamrugła, usiłując odzyskać jasność widzenia.

- To Rebeka - powtórzyła drżącym głosem.

Pamięta! Podniecona, skupiła się na kolejnej twarzy.

- A to babcia.

Babcia Kate, która zginęła w katastrofie samolotu!

- Wtem Kris przypomniała sobie rozmowę z Rebeką, która nie wierzyła w śmierć Kate. Boże! Z jej ust wydobył się żaloszny jęk. Kiedy to było? Ile czasu minęło?

Powoli zaczęła kojarzyć wszystkie osoby na zdjęciu.

Nagle zobaczyła swoje odbicie w lustrze nad toaletką. Przynęła się bliżej. Wpatrywała się długo i uważnie, jakby nie widziała się od wielu tygodni.

Kobieta w lustrze nie była pokojówką.

Oszołomiona, drżącą ręką dotykała swoich policzków, ust, brwi.

- Nazywam się Kristina. Kristina Fortune.

Ledwo wypowiedziała te słowa, wszystko wróciło. Myśli, obrazy, wspomnienia.

Na miękkich nogach cofnęła się do łóżka. Łzy ścisnęły ją za gardło. Podniosła zdjęcie do oczu.

Jest Kristiną Fortune, nie zaś Kris Valentine. I pensjonat należy do niej, a przynajmniej pół pensjonatu. Dostała go w spadku po Kate. Zaczęła rozglądać się po pokoju, jakby widziała go po raz pierwszy w życiu.

Tak, wszystko pamięta. Wie, kim jest i co tu robi. Wie też, że została haniebień oszukana.

Ponownie opadła na łóżko. Czuła się jak balon, z którego ktoś wypuścił powietrze. Po chwili wstąpiła w nią furia.

- Co za wredny, przebiegły typ!

A ona myślała, że jest miły, delikatny, cierpliwy. Że stara się poskromić żądzę, dopóki ona nie odzyska pamięci. Guzik prawda! Igrał z jej sercem. Podpuszczał ją. Naśmiewał się z niej.

Energicznym krokiem ruszyła do drzwi, ale w połowie drogi zmieniła zdanie. Nie, musi się zastanowić, wszystko na spokojnie przemyśleć. Co z tego, że wściekłym tonem wygarnie mu, co o nim myśli? Ten podły facet zasłużył na większą karę.

Usiadła z powrotem na łóżku i zacisnęła dłonie w pięści. Łzy znów napłynęły jej do oczu. Nie puści mu tego płazem! Ten łajdak drogo jej za to zapłaci.

Upokorzona i nieszczęśliwa, przez całą noc obmyślała plan.

Dlaczego to zrobić? Nie było żadnego usprawiedliwienia. Siedziała w ciemnościach i wpatrując się w sufit, starała się znaleźć jakiś powód, który by go rozgrzeszył.

Nie znalazła żadnego.

Kierowała nim jedynie chęć, by ją upokorzyć. Ale dla-

czego? Nie miało to najmniejszego sensu. Owszem, pierwszego wieczoru pokłócili się na plaży, kiedy on z upo-
--- maniaaka sprzeciwiał się jej pomysłom, ale przecież później je zaakceptował; nie tylko zaakceptował, lecz postanowił wprowadzić w czyn. Kością niezgody pozostawało zwolnienie pracowników. W końcu jednak zgodziła się wszystkich zatrzymać.

Nagle zdała sobie sprawę, że musieli być wtajemniczeni w spisek. June, Sam, Sydney... Tak, grali przydzielone im role!

Łzy piekły ją w oczy. Cholera, udawali, że ją lubią, że są jej przyjaciółmi, a cały czas śmiali się za jej plecami. Ich zdrada zaboląła ją nie mniej niż zachowanie Maxa. Przecież ona naprawdę darzyła tych ludzi sympatią, uwielbiała z nimi przebywać. Przybiła ją świadomość, że to, co brała za przyjaźń, było zwykłym oszustwem.

Do rana wszystko sobie przemyślała. Tak, gorzko tego pożałują, zwłaszcza Max Cooper. Pałała chęcią zemsty, wiedziała też, jak zadać najboleśniejszy cios.

Wzięła prysznic, ubrała się, po czym sięgnęła po telefon. Musi zadzwonić w kilka miejsc, puścić maszynę w ruch.

Maszynę, która zniszczy Maxa.

Kiedy wieczorem przechodził koło recepcji, June z szerokim uśmiechem na twarzy powiedziała mu, żeby zajrzał do jadalni: Kris na niego czeka.

Gdy tam wszedł, stanął w progu jak wryty.

Kris siedziała przy stole dla dwóch osób, ubrana w ob-

cisłą, brzoskwiniową sukienkę bez ramiączek, która nie wiadomo jakim cudem trzymała się ciała. Wyglądała rewelacyjnie. Ponętnie, kusząco...

Max poczuł, jak jego silna wola kruszeje. Miał ochotę porwać Kris w ramiona, zanieść do łóżka...

W jadalni było pusto i ciemno; paliło się tylko kilka świeczek, które nadawały skórze Kris złocisty odcień.

Walcząc z sobą, Max podszedł do stolika. Pragnął przywrzeć ustami do jej szyi, wsunąć rękę w jasne włosy opadające na ramiona, delikatnie pogładzić...

Opanuj się!

- Nie jest ci zimno? - spytał.

Owszem, wieczór był chłodny, lecz w niej **płonął** ogień gniewu i nienawiści.

- Ani trochę - odparła szeptem.

Przez cały dzień musiała udawać, zachowywać się tak, jakby o niczym nie wiedziała. Nie było to łatwe. Z trudem powstrzymywała się, by nie wygarnąć im wszystkim prawdy i nie zażądać wyjaśnień.

Ufała im, więc dlaczego potraktowali ją tak podle? Wierzyła im, kiedy się do niej uśmiechali, kiedy traktowali ją jak przyjaciela. Dlaczego kłamali? Czym się tym ludziom tak strasznie naraziła?

Oczywiście grała dalej. Czekała. To były płotki, a ona chciała złowić większą rybę.

Sukienkę pożyczyła od Sydney, która miała kilka centymetrów więcej wzrostu i kilka mniej w obwodzie klatki piersiowej. Dlatego na niej, Kristinie, sukienka była tak ponętnie obcisła.

Sam też ucieszył się, kiedy spytała go, czy nie przy-

gotowałyby specjalnej kolacji dla dwóch osób. Świeczki z kolei przyniosła June. Potem wszyscy dyskretnie się ulotnili, aby mogła zostać z Maxem sam na sam.

Ale przejrzała ich na wylot. Więcej nie da się oszukać. Pewnie liczyli na to, że Max rozkocha ją w sobie, a wtedy ona zrzeknie się na jego korzyść współwłasności „Rosy”.

Zamiast wyzwać Maxa od kłamców i wrednych sukksynów, zamiast rzucić się na niego z pięściami, zamiast walić, dopóki sama nie poczuje się lepiej, uśmiechnęła się promiennie.

- A co? Tobie jest zimno?

Uchwycił się oparcia krzesła, ale nie usiadł.

- Nie. Sam twój widok mnie rozgrzewa.

Pochyliła się kusząco i zbliżyła dłoń do butelki, która chłodziła się w kubełku. Nie spuszczać oczu z Maxa, wolno przesunęła palcem po korku.

- Usiądź. Napij się ze mną szampana.

Natychmiast stanęła mu przed oczami Ewa oferująca Adamowi jabłko. Ugryź, kochany. Jeden mały kęs.

Wiedział, że jeśli nie chce mieć kłopotów, powinien odwrócić się i dać dyla. Im dalej ucieknie, tym lepiej.

Na jego twarzy nie drgnął ani jeden mięsień. Po chwili zacisnął rękę mocniej na oparciu krzesła.

- Kris, to chyba nie najlepszy pomysł. Muszę...

Cóż, pomyślała, góra musi przyjść do Mahometa. Wstała od stołu i podeszła do Maxa.

- Za ciężko pracujesz - powiedziała cicho. - Zostań, proszę cię. Sam specjalnie się natrudził, żeby przygotować nam kolację. Chociaż skosztuj...

Zapach jej perfum działał na jego zmysły z nie mniejszą siłą niż kusa, opinająca ciało sukienka. Ignorując zdrowy rozsądek, Max usiadł.

Nałożyła mu coś na talerz; równie dobrze mogłyby to być pordezewiałe gwoździe. Nie zwracał uwagi na to, co je. Z zafascynowaniem obserwował, jak migotliwy płomyk pieści jej skórę. Pomocy! Rozejrzał się wkoło. Zwykle o tej porze ktoś się kręcił po jadalni. Dziś byli sami.

Modlił się w duchu, by przestała się w niego tak wpatrywać. Jakby umierała z łaknienia, a on był szklanką wody.

- Gdzie są wszyscy? - spytał.

- Wyszli. - Pociągnęła łyk szampana. - June i Sam pojechali do kina, Antonio z Sydney mieli jakieś plany na wieczór, a Jimmy jeszcze nie wrócił z urlopu. Zostaliśmy tylko my.

Patrzył, jak Kris wysuwa koniuszek języka i oblizuje wargi. Był bliski obłędu.

- Próbujesz mnie uwieść?

Zalotny uśmiech wypełził jej na usta.

- Ja? - spytała niewinnym tonem. - Może - odparła po chwili. - Jak mi idzie?

W gardle miał sucho, chociaż przed chwilą wypił szklankę wody.

- Aż za dobrze. - Odsunął talerz. - Słuchaj, Kris. Myślę, że nie powinniśmy...

Wstała od stołu, wzięła Maxa za rękę i pociągnęła do siebie.

- Więc nie myśl - szepnęła mu do ucha.

Widziała, że ledwo nad sobą panuje. Pożerał ją wzrokiem. Doskonale, pomyślała. Nadszedł czas zemsty.

Zamierzała zaprowadzić go na szczyt rozkoszy i porzucić. Powiedzieć mu, że gra skończona. Że wraca do swojej rodziny, a jego nie chce więcej widzieć na oczy.

Właśnie tak: zostawi go dyszącego z podniecenia, błagającego, by nie odchodziła. A ona odejdzie, śmiejąc mu się prosto w twarz.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Dał się zaciągnąć na górę. Nawet zbytnio się nie opierał. Strużka potu ciekła mu po plecach.

Wiedział, że nie powinien, że nie ma prawa, ale nie potrafił zdobyć się na bunt. Psiakosć, ma trzydzieści dwa lata. Jest dorosłym mężczyzną, a nie jakimś szczeniakiem, który oszalał na punkcie koleżanki ze szkolnej ławki. Zresztą nawet jako szczeniak zawsze sam o sobie decydował. Więc dlaczego teraz pozwalalaby Kris przejąć ster w swoje ręce?

Pozwala? Po prostu nie ma wyjścia. Stał się totalnie bezwolny, uległy, jak zakładnik, który posłusznie wykonuje rozkazy porywacza.

Zależało mu na niej, dlatego nie chciał dopuścić do takiej sytuacji. Chciał, aby kochając się z nim, Kris wiedziała, kim on jest i kim ona jest. Żeby to była świadoma decyzja ich obojga. Uczucie wyrosłe z kłamstwa nie miało szansy przerodzić się w coś pięknego i trwałego.

Uczucie uczuciem, a na razie rozpierała go żądza. Nadludzkim wysiłkiem zebrał się w sobie. Musi powiedzieć jej prawdę. Teraz. Zanim będzie za późno. Zanim Kris na zawsze go znienawidzi.

Pragnął jej miłości, nie nienawiści.

- Kris... Kristino... - poprawił się. Pamiętał, że Kristina nie lubi zdrobnień.

Odwrociła się. Serce biło jej stanowczo zbyt szybko. Osoba, która ma pełną kontrolę nad tym, co robi, powinna być bardziej opanowana. Czym prędzej wzięła się w garść. To on ma się podniecić, nie ona.

Zmysłowym gestem odrzuciła do tyłu włosy.

- Słucham?

Oswobodziwszy rękę, Max ujął ją za ramiona.

To był błąd. Sam dotyk sprawił, że zapragnął jej z podwójną siłą. Przez moment w głowie miał pustkę.

- Kristino... - zaczął ponownie.

- Już to mówiłeś. - Wspięła się na palce, przysuwając wargi do jego ust. - A ja powiedziałam: słucham. - Musnęła je leciutko, rozpalając go do czerwoności, po czym cofnęła się. - Słucham, Max - szepnęła.

Nie powinna drzeć na całym ciele, nie o to przecież chodziło. To jego powinna doprowadzić na kraniec pożądania, wzniecić w nim ogień, a potem roześmiać mu się w twarz, powiedzieć, że tylko się nim zabawiła, a teraz wraca do domu.

Objął ją z całej siły. W porządku. Jeżeli sama coś z tego będzie miała, tym lepiej. Odrobina przyjemności nie zaszkodzi. Ona, Kristina Fortune, nad wszystkim panuje. Zresztą jej nienawiść wzbudza zachowanie Maxa, a nie jego ciało.

- Kristino, muszę ci coś powiedzieć.

Zakreśliło się jej w głowie. Tak dobrze się czuła w jego ramionach. Wyciągnąwszy w bok rękę, nacisnęła klamkę i pchnęła drzwi sypialni.

- Słucham...

Czy to był jej głos? Taki gruby i ochrypły? Niemożliwe.

Jeszcze chwila, myślał Max. Zaraz wyzna prawdę, tylko najpierw pocałuje Kris. W końcu parę sekund go nie zbawi.

Przywarł ustami do jej ust i zapomniał o bożym świecie. Z Kris w ramionach przekroczył próg i wszedł do raju.

Zamknął nogą drzwi, ignorując wewnętrzny głos, który ostrzegał go przed komplikacjami. Jakie komplikacje? Gdyby dziś miał umrzeć, umarłby szczęśliwy.

- Drżysz? - szepnął, stawiając ją na podłodze. A może to on drży? Ponownie zacisnął wokół niej ramiona.
- Zimno ci?

Kusa sukienka na pewno jej nie grzała, choć jemu rozpałała wyobraźnię.

- Ogrzej mnie, Max.

Kristina powtarzała sobie, że wie, co robi. Ze tylko gra. A że jest dobrą aktorką, to tym lepiej. Sama wybierze najbardziej odpowiedni moment, aby...

Nogi miała jak z waty.

- Ogrzej mnie, Max - szepnęła głosem przepojonym uczuciem.

Jej ciało żyło własnym życiem, głowa własnym. I dobrze, to część planu, pocieszała się. Przecież wolno jej trochę improwizować. W ten sposób nie wzbudza podejrzeń.

Błądził rękami po jej plecach, szukając suwaka.

- Jak to się zdejmuje?

Pomogła mu. Pod spodem była naga.

Pieścił ją ustami, dłońmi, językiem. Chciała, żeby

przestał, a jednocześnie, aby nigdy nie przestawał. Dyszała coraz głośniej. Już nic nie kontrolowała. Nie myślała o zemście, (myślała tylko o nim. |

- A tobie nie jest za ciepło? - spytała, czubkiem języka oblizując wargę. - Pomogę ci się rozebrać, dobrze?

Rozpięła guziki, ściągnęła mu koszulę, potem zajęła się suwakiem u dżinsów.

- Boże, doprowadzasz mnie do szaleństwa - szepnął.

- I o to chodzi.

Nadzy, opadli na łóżko. Razem odkrywali świat zmysłów, jakiego dotąd nie znali. Od czasu do czasu Maxa nachodziły myśli, które szybko od siebie odpychał, zanim zdążyły się wyklarować.

- Kris, do żadnej kobiety nie czułem tego, co do ciebie. Chcę, żebyś to wiedziała...

A ona chciała mu wierzyć, ale nie mogła. Jest oszustem i łajdakiem. Przywarła wargami do jego ust, żeby nic więcej nie mówił, żeby więcej nie kłamał. Wystarczył jej jego dotyk, pocałunki, pieszczoty - ciało przynajmniej nie kłamało.

Wyruszyli razem w długą, piękną podróż. Z początku nie spieszyli się, podziwiali widoki, napawali się sobą, lecz im bliżej byli celu, tym bardziej przyśpieszali, aż wreszcie opadli na łóżko pozbawieni sił.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Powoli odzyskiwała kontakt z rzeczywistością. Wróciła do pokoju, do szerokiego łóżka i pomiętej pościeli. Do mężczyzny, z którym przeżyła tak wspaniałe chwile i którego ciało okrywało ją teraz niby kołdra.

Euforia minęła.

Kristina zdała sobie sprawę, że sytuacja wymknęła się jej spod kontroli. Zaczęła się nerwowo zastanawiać nad dalszą strategią. Czy jeszcze ma szansę się zemścić?

Max poczuł, jak Kristina się rusza. Każdy jej ruch, nawet najdrobniejszy, sprawiał, że ulatywało z niego zmęczenie. Po chwili znów był świeży, wypoczęty, gotowy do działania.

Znał w życiu wiele kobiet, ale z żadną nie doświadczył tego co z Kris. Pragnął jej od nowa. Chciał, by razem znów wzniesli się na szczyty rozkoszy, mozolnie wspinając się pod górę, a potem przeżyli zapierający dech w piersi zjazd w dół.

Zsunąwszy się na materac, podparł się na łokciu i uśmiechnął.

- O rany!

Starła się nie okazywać radości. Przecież wiedziała, że Max tylko bawi się jej kosztem. Powinna być zła, a czuła narastające podniecenie. Miała ochotę śmiać się

płakać. Dlaczego jest taka głupia? Dlaczego znów chce się z nim kochać?

Pogładził ją delikatnie po twarzy.

- Jesteś niesamowita, wiesz?

Zaczął obsypywać jej ciało pocałunkami. Powieki miała coraz cięższe, zupełnie jakby hipnotyzował ją oddechem.

- I jaka jeszcze? - spytała ochryłym głosem.

- Doskonała. Cudowna. Idealna.

Leciutko całował jej szyję, piersi, brzuch, a ona wiała się, pragnąc znów wejść do raj. Jęczała cicho, prężyła się, to przysuwała się bliżej, to odsuwała.

- Jesteś moja, Kris. Bez względu na to, co się stanie, jesteś moja.

Och, jak strasznie chciała uwierzyć w to kłamstwo.

Ale na razie o tym nie myślała. Ponownie wspięli się na szczyt, odbywając wędrowkę jeszcze wspanialszą niż za pierwszym razem. A potem znów zatracili się w rozkoszy.

I tak przez całą noc - na moment zasypiali przytuleni, po czym budzili się i kochali. Raz po raz przekraczali bramy raj. Radując się terażniejszością, nie myśleli o tym, co przyniesie dzień. Wreszcie pierwsze promienie słońca zaczęły się nieśmiało wkradać do pokoju.

Otworzywszy oczy, Max zobaczył, że leży w łóżku z Kristiną, obejmując ją mocno w talii. Przez chwilę wpatrywał się w jej śpiącą twarz. Niczego więcej mu do szczęścia nie brakowało.

Wiedział, że dziś czeka go trudne zadanie. Wczoraj

sprawy całkiem wymknęły mu się spod kontroli. Najpiery chciał wyjawic Kris prawde, a dopiero potem sie z nia kochać.

Coś połaskotało ją w policzek. Nie chciała się jeszcze budzić, ale nie umiała zatrzymać snu. Nagle uświadomiła sobie, że nie jest sama. Uniosła powieki.

O Boże!

- Max? - jęknęła.

W jej głosie pobrzmiwało niedowierzenie, przerażenie i dziesiątki innych emocji, których Max nie potrafił rozpoznać. Uśmiechnął się.

- Tak, to ja.

Zawstydzona, czym prędzej chwyciła prześcieradło i zakryła swe nagie ciało. Max obserwował ją ze wzruszeniem.

- Trochę na to za późno, nie sądzisz?

Splonęła rumieńcem. Tak samo jak on była winna temu, co się wydarzyło w nocy, ale teraz, wyzwolona z pęt szaleństwa, chciała znów panować nad sytuacją.

Ogarnęła ją wściekłość.

- Wynoś się - rozkazała.

Tego się nie spodziewał.

- Kris...

Zmrużyła oczy. Nie tak to zamierzała rozegrać, ale słowa same wyrwały się jej z ust:

- Mam na imię Kristina. Zapomniałeś?

Przeszył go lodowaty dreszcz.

- Odzyskałaś pamięć?

Dobrze, pomyślała; przynajmniej nie udaje niewiniątka.

- Jak widzisz - stwierdziła oschle.

- Kiedy? Czy wczoraj wieczorem już wiedziałaś?
Myślała, że będzie się usprawiedliwiać, tłumaczył, protestował, wypierał. A on nic.

- Tak - odparła.

Nie rozumiał jej zachowania.

- To dlaczego...?

Wyciągnął do niej rękę. Przecież sama zaciągnęła go do łóżka; skoro знаła prawdę, to znaczy, że mu wybaczyła kłamstwo. Ona zaś nerwowo zastanawiała się, jak odpowiedzieć na pytanie „dlaczego?” i zachować twarz.

- Bo chciałam, żebyś cierpiał. Żebyś zobaczył, co mogłeś mieć, a czego mieć nie będziesz.

- Poczekaj, pogubiłem się. Czego mieć nie będę? Przecież miałem cię. Kochaliśmy się całą noc...

- Jedną noc - przerwała mu. Powinna była wykazać więcej rozumu i nie ulegać pożądaniu. - To była tylko jedna noc, a mogło ich być znacznie więcej.

I nadal może! - zawołało jej serce, ale ona pozostawała głucha na jego błaganie.

- I nadal może - rzekł cicho Max, ponownie wyciągając rękę. Owszem, sytuacja jest skomplikowana, wierzył jednak, że wszystko mogłoby się jeszcze ułożyć.

- Zabierz łapę! Za kogo ty mnie uważasz? Za idiotkę? Myślisz, że chciałabym być z człowiekiem, który okłamywał mnie przez dwa miesiące? Który bawił się moim kosztem?

Z bezsilności zacisnął dłonie w pięści.

- Nie bawiłem się twoim kosztem.

Owinąwszy się prześcieradłem, odsunęła się na łóżku.

- Nie? - W jej oczach płonąła furia. Nadal ją oszu-

kuje! Boże, co za tupet. - Więc dla mojego dobra zrobiłeś ze mnie pokojówkę?

Wiedział, że nie ma sensu kręcić.

- Przyznaję, to było głupie z mojej strony, ale kierowały mną słuszne pobudki.

Tego było już za wiele!

- No pewnie. Nawet wiem jakie. - Jej głos ociekał sarkazmem. - Chciałeś pokazać swoim przyjaciołom, jak łatwo można człowieka upokorzyć!

Zabolało go to, bo istotnie miała rację. Za wszystkim jednak kryła się głębsza prawda.

- Nie, Kris, chciałem, żebyś spojrzała na świat ich oczami. Żebyś poznała ich lepiej. Żebyś zobaczyła, jacy to wspaniali ludzie.

- Chciałeś mnie ośmieszyć. - Nie zamierzała dać się nabrać na jego gadkę. Miała swój honor.

- Tak, od tego się zaczęło - przyznał. - Ale wytrąciłaś mi broń z ręki.

Ona? Jemu? O czym on, do diabła, mówi?

- Chciałem utrzyć nosa zarozumiałej wiedźmie. - Umilkł, czekając, aż Kris wyrzuci z siebie stek przekleństw. Zasłużyłem na to, pomyślał. - Okazało się jednak, że wiedźma zniknęła, a jej miejsce zajęła słodka, chętna do pomocy kobieta.

Straciła do niego zaufanie. Skłamał nie raz i nie dwa razy, ale okłamywał ją codziennie przez dwa miesiące. Czy naprawdę sądził, że mu wybaczy?

Kiedy po raz kolejny wyciągnął do niej rękę, uniosła zaciśniętą pięść.

- Wynoś się z mojego pokoju!

Chyba nie myślała, że się jej wystraszy? Może była zwinna i wygimnastykowana, ale nie była w stanie go zranić. Psychiczenie owszem, ale nie fizycznie.

- Nic z tego, Kris. Nie wyjdę, dopóki się nie uspokoisz.

- Już ci mówiłam - warknęła. - Mam na imię Kristina. I uspokoję się, kiedy zechcę. A teraz bądź łaskaw zostawić mnie samą, żebym mogła się ubrać. Nie zamierzam zostać tu chwili dłużej.

Serce zabiło mu mocniej. Strach ścisnął go za gardło.

- Chcesz wyjechać? Dokąd?

Wyczuła niepokój w jego głosie, ale domyśliła się, że chodzi mu o przyszłość pensjonatu.

- Jak najdalej stąd. I jak najszybciej.

Musi ją zatrzymać. Potrzebuje czasu, aby wszystko dokładnie jej wytłumaczyć.

- A co z pensjonatem? - spytał, licząc na to, że może będzie chciała kierować remontem.

Tak, mam rację, pomyślała smutno. Interesuje go wyłącznie pensjonat.

- Poczyniłam już kroki, aby sprzedać moją połowę - skłamała. Oczywiście było to najrozsądniejsze wyjście. Do takiego wniosku doszła wczoraj, kiedy szykowała się do kolacji. Ale jeszcze nie miała kupca. - Będziesz mógł sobie uwodzić i okłamywać nową właścicielkę.

Nie wierzył własnym uszom. Wydawało mu się, że zależało jej na „Rosie”.

- Chcesz sprzedać...

- Już sprzedałam - przerwała mu w pół słowa. - Wczoraj po południu. Mój prawnik obiecał, że na dziś

rano przygotowuje umowę. - Mówiła szybko, aby nie mógł spytać, kim jest nabywca. - A teraz wynocha. Nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia.

O nie, tak łatwo się go nie pozbędzie!

- Wytłumacz mi, proszę: dlaczego wczoraj nie wyjechałaś?

Zmrużyła oczy. Psiakrew! Czy on musi ją dręczyć?

- Żałuję, że tego nie zrobiłam.

- Kochałaś się ze mną. Ty, a nie Kris.

Rumieniec zabarwił jej policzki.

- Już ci mówiłam, że...

- Nie jesteś aż tak dobrą aktorką, Kris. Pragnęłaś mnie równie mocno, jak ja ciebie.

I nadal go pragnęła. Ale trudno; musi to pozostać jej tajemnicą.

- Bo ciało masz niezłe. Pomyślałam sobie, że warto skorzystać z okazji. W końcu coś mi się należy za dwa stracone miesiące, nie?

Zerwał się z łóżka, niczym się nie zakrywając, i stanął przed nią. Widziała w jego oczach wściekłość.

- I pomyśleć, że miałem wyrzuty sumienia. Mogłem sobie ich oszczędzić. Boże, ale ze mnie głupiec! - Na moment zamilkł. - No dobrze, Kris. Rób, co chcesz. Wyjedź. Sprzedaj swoją połowę „Rosy”. Wiedz jednak... nie żeby to miało teraz jakiegokolwiek znaczenie... że twoje pomysły przebudowy były świetne.

Zaskoczył ją. Nie spodziewała się pochwały.

- Dziękuję - rzekła sztywno. - Na ogół wszystkie moje pomysły są świetne. A tych na pewno nie zmarnuję. Postaram się je wykorzystać w nowym pensjonacie.

Zaniemówił.

- W nowym? To znaczy...

- Kupuję własny.

Niełatwo jej było ciągnąć rozmowę, kiedy stał przed nią nagi jak go Pan Bóg stworzył. Pewnie drań specjalnie się nie zakrył, żeby ją zdekoncentrować. Nie uda ci się, pomyślała. I najwyższym wysiłkiem woli zmusiła się, aby patrzeć mu w twarz.

- Dalej zamierzam stworzyć sieć hoteli dla zakochanych. Tak, to dobry pomysł. - Przytrzymując prześcieradło, aby nie zsunęło się jej z piersi, podeszła do Maxa.

- Mam pieniądze, mogę więc sobie na to pozwolić. A ty zostań ze swoją rozpadającą się „Rosą”. - Machnęła lekceważąco ręką. - Może ci nawet prezentuję moją połowę.

- Powiedziałaś, że masz kupca.

- Bo mam - warknęła. - Ale może go przeproszę. Może zamiast tego, tobie ją podaruję. W prezencie pożegnalnym.

Tak, pomyślała, to ładny gest. Nie chciała mieć więcej nic wspólnego z tym miejscem.

- Możesz sobie dalej siedzieć z założonymi rękami i patrzeć, jak budynek niszczeje. Mnie to już nie obchodzi.

Wściekła i zrozpaczona, chwyciła z szafki nocnej książkę, którą znalazła na dnie walizki i która pomogła jej odzyskać pamięć.

- A teraz wyjdź stąd! - krzyknęła.

Czuła, jak oczy pieką ją od łez. Niewiele się zastanawiając, z rozamachem cisnęła przed siebie grube to-miszcze. Uderzyło w drzwi, za którymi znikł Max.

- O rany! - mruknął pod nosem. - Wiedźma wróciła.

Tylnymi schodami ruszył do swojego pokoju. Cieszył się, że w „Rosie” przebywa tak niewielu gości i że o tej porze wszyscy jeszcze śpią. Jego radość trwała jednak krótko. Po chwili bowiem natknął się na Sama, który z rozbawieniem w oczach zmierzył go od stóp do głów.

- Ani słowa, Sam - ostrzegł go Max. - Nie chcę słyszeć ani pół komentarza.

- Jak sobie życzysz, szefie.

Uśmiechając się pod wąsem, Sam udał się do kuchni. Casy się zmieniły, odkąd sam uganiał się za spódniczkami.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

- Max, jak długo się znamy? - spytała June, która od kilku minut stała w drzwiach, przyglądając mu się bez słowa.

W małym, ciasnym gabinecie nie było skrawka wolnego miejsca. Wszędzie leżały rzeczy bezpośrednio związane z przebudową i remontem pensjonatu: broszury, próbki tapet, próbki obić, zdjęcia przedstawiające wyposażenie łazienek, zamówienia, rachunki. Po słowach Kristiny, aby darował sobie remont, rzucił się w wir pracy.

Paul obiecał zastąpić go na budowie. Jednakże to nie rozwiązywało sprawy. Wygrali bowiem przetarg na nowe osiedle w San Clemente. Pomiedzy zakończeniem jednej budowy a rozpoczęciem następnej mieli zaledwie tydzień wolnego.

Jeszcze nigdy nie czuł się tak zapracowany. Ani tak samotny.

Popatrzył na June nieprzytomnym wzrokiem. Nie miał czasu na zgadywanki; musi zdecydować się na jakiś motyw. Ale cóż, do licha, on wie o motywach? To jest specjalność Kris. Tyle że jej tu już nie było.

- Nie wiem, June. - Nie krył irytacji w głosie. - Dziesięć lat. Piętnaście.

June podeszła do biurka; nie pytając o pozwolenie, przeniosła stos papierów na podłogę i usiadła na fotelu.

- Całe szczęście, że to nie ty prowadzisz księgowość, Max. Dziewiętnaście lat, mój drogi. Znam cię od dziewiętnastu lat.

W jej oczach malowała się troska. Od wyjazdu Kristiny na wszystkich warczał. Uznali, że ktoś musi z nim porozmawiać.

- I w ciągu tych dziewiętnastu lat ani razu nie widziałam cię w takim stanie.

Przezesął ręką niesforne włosy. Wzory tapet zaczynały mu się zlewać przed oczami. Cholera, dlaczego wszystko musi być takie zawiłe? Wzdychając ciężko, dokonał wyboru. W następnej sekundzie odrzucił tapetę, którą przed chwilą wybrał.

- To nowa faza w moim życiu, June - mruknął.

Patrzyła, jak przewraca strony katalogu z wzorami tapet i głowi się nad wyborem. Od dwóch tygodni wszystko go drażniło, każda najprostsza rzecz sprawiała ogromne kłopoty. Był jak ranny niedźwiedź, który nikomu nie pozwalała wyciągnąć sobie z łapy kolca.

- Nowa faza? Akurat! Nie okłamuj staruszki, Max, bo jej się to wcale nie podoba. - Naprawdę się o niego martwiła.

Podniósł oczy do jej twarzy. Na jego wargach pojawił się cień uśmiechu - ale tylko cień.

- Nie jesteś staruszką, June.

- Ale jestem starsza od ciebie. Starsza i bardziej doświadczona, a to oznacza, że wiem, kiedy popełniłam błąd.

Wyczuł w jej głosie powagę.

- A popełniłaś?

Nie zamierzała analizować swojej przeszłości. Westchnęła niecierpliwie.

- Mówię o tobie, chłopcze. Skup się.

Położył sobie na kolanach gruby katalog z próbkami obić i zaczął je przeglądać. Mimo zapowiedzi Kristiny, że zamierza stworzyć własną sieć hoteli, postanowił urządzić „Rosę” w tym samym stylu, innymi słowy wprowadzić w życie pomysły Kris, te same, którym tak uparcie sprzeciwiał się na początku.

Teraz równie uparcie przy nich obstawał. Czuł się tak jakby uczestniczył w wyścigu. Założył sobie, że ukończy remont, zanim Kristina otworzy swój pierwszy pensjonat. Liczył na to, że praca pochłonie całą jego uwagę i nie będzie miał czasu na myślenie.

O jedwabistej skórze Kris, o tym, jak leżeli przytuleni, gdy pierwsze promienie słońca wdzierały się do pokoju. O smaku jej ust, które były słodkie jak dojrzałe truskawki.

Boże, jak tak dalej pójdzie, za tydzień trafi do domu wariatów. Popatrzył na June, usiłując zebrać myśli.

- Co? Ja? A jaki ja błąd popełniłem?

Chwycił stos rysunków i rozłożył je na biurku.

- Powiedz, czy tak może być? Łazienki nie są za małe?

June machnęła ręką.

- Łazienki są w sam raz, czego nie można Powiedzieć o tobie. Od jej wyjazdu zmieniłeś się nie do poznania.

Zgarnął rysunki.

- Chciała wyjechać, to wyjechała. Miała prawo. Koniec dyskusji.

Wiedziała, co Max czuje; sama również przeżyła kiedyś zawód miłosny.

- A ty masz prawo udać się za nią.

Podniósł głowę.

- I co? Płaszyc się? Błagać, żeby wróciła? To nie w moim stylu. - Uwielbiał June, ale nie był w nastroju, żeby słuchać jej matczynych rad. - Nie chcę być niegrzeczny, June, ale nie wtrącaj się, dobrze?

Nie zamierzała się poddawać.

- Nie jesteś niegrzeczny, a ja będę się wtrącać. - Zauważyła zdziwienie w jego oczach. - Nie mówimy o stylu, Max; mówimy o błędach. O pomyłkach, które mogą cię dręczyć przez całe życie. - Uśmiechnęła się smętnie. - Wierz mi, Max. Ja też przez to przeszłam.

Miała dobre intencje, ale wolał, by zostawiła go w spokoju. Chciał sam wszystko przeanalizować i sam znaleźć wyjście z sytuacji. Zawsze tak robił i nie widział powodu, dlaczego teraz miałyby mu się nie udać. Złamane serce nie oznacza kalectwa umysłowego.

- I co? Chcesz mi opowiedzieć jakąś żalną historijkę, która sprawi, że przejrzę na oczy?

Nie osiągnął zamierzonego celu. June nie wyszła obrażona, a jedynie pokręciła smutno głową.

- Boże, ale z ciebie zgorzkniały drań.

Zmęczony, splótł dłonie na karku i, wypuścił z płuc powietrze. Nie powinien wyładowywać złości i frustracji na biednej June.

- Przepraszam. Niesłusznie wyzywam się na tobie.

- Niesłusznie - przytaknęła. Przysunęła do siebie największy katalog z wzorami tapet i zaczęła je przeglądać.
- Powinieneś jednak pójść po rozum do głowy.

O czym ona mówi? Czyżby brała stronę zarozumiałej snobki, która wyjechała tak jak stała, nawet nie zabierając swoich rzeczy? Pewnie zamierza przysłać po nie służbę.

- Naprawdę ją polubiłeś? - spytał z niedowierzaniem.

- Tak. Nie tę Kristinę, która niespodziewanie przybyła z Minneapolis - wyjaśniła szybko, widząc zdumienie rysujące się na twarzy Maxa - ale tę, która mieszkała z nami przez dwa miesiące.

On też dał się nabrać na jej podwójną osobowość.

- Ona taka nie jest, June. Prawdziwa Kristina to ta, która nie wzbudziła twojej sympatii.

- W zimnej, wyniosłej Kristinie tkwi miła, wspaniałomyślna Kris. - Czy on tego nie rozumie? - Amnezja pozbawiła ją tupetu, przebojowości, natomiast nie zmieniła jej charakteru. Jeśli mi nie wierzysz, spytaj swojego przyjaciela lekarza. Pod maską wrednej jędzy kryje się cudowna dziewczyna, która boi się pokazać swoją prawdziwą twarz. - Dokonawszy wyboru, June przekreśliła katalog i wskazała palcem wzór. - Nigdy o tym nie pomyślałeś?

Skinął głową. Godzinami oglądał wzory, a jej wystarczyła chwila.

- Nie. Może byłem zbyt zajęty opatrywaniem ran po ukąszeniu żmii.

Co za zakuta pała! Nic do niego nie trafia!

- No dobrze, Max. Pora, żebyś wysłuchał mojej historii.

Nie miał na to ochoty. Chciał być sam. Zerknął na drzwi, dając June jasno do zrozumienia, co powinna zrobić. Ponieważ nie zareagowała, dźwignął się z fotela.

- Przepraszam, ale...

June zacisnęła rękę na jego nadgarstku.

- Siadaj i słuchaj. Nigdy ci o tym nie opowiadałam i nigdy więcej do tego tematu nie wrócę.

Na moment umilkła. Kiedy ponownie się odezwała, mówiła całkiem innym głosem, nie sześćdziesięciokilkuletniej kobiety, lecz młodej dziewczyny, którą była dawno temu. Max słuchał, zafascynowany dziwną przemianą.

- Kiedy byłam sporo od ciebie młodsza, zakochałam się. - Uśmiechnęła się do wspomnień. - On był najtrojskliwszym, najszlachetniejszym mężczyzną, jaki kiedykolwiek stąpił po ziemi.

Max parsknął śmiechem.

- Na razie nie widzę żadnej analogii. No dobrze, już nic nie mówię - dodał szybko, kiedy June posłała mu ostrzegawcze spojrzenie.

- Niestety, nie spodobał się moim rodzicom. Tyle że oni go nie znali. Nawet nie chcieli poznać. Wystarczyło im to, co słyszeli o „takich jak on”. Bo widzisz, Joshua był innego... - szukała w myślach słowa, jakiego użyłby jej ojciec - innego pochodzenia. Różniła nas pozycja społeczna, pozycja materialna, religia. Te rzeczy w tamtych czasach miały ogromne znaczenie. Rodzice nie zgodzili się na nasze małżeństwo. Joshua błagał, żebym z nim wyjechała, ale byłam posłuszną córką. Odmówiłam. I złamałam serce najcudowniejszemu człowiekowi na

świecie. - Westchnęła ciężko. - Gdybym mu uległa, tej wiosny obchodzilibyśmy czterdziestą rocznicę ślubu.

Wzruszony historią jej nieszczęśliwej miłości. Max poklepał June po dłoni.

- Co się z nim teraz dzieje? - spytał.

- Nie wiem. Straciliśmy kontakt. Ale nie ma dnia, żebym nie żałowała swojej decyzji. - Zawahała się, czy mówić dalej. Jednakże za bardzo kochała Maxa, aby patrzeć na jego cierpienie. - Po śmierci rodziców próbowałam go odszukać, ale nie udało mi się. Nie pozwól, żeby to samo spotkało ciebie. Pojedź do niej, Max. Zrób coś. zanim będzie za późno.

Wstała z krzesła i skierowała się do drzwi, patrząc pod nogi, żeby nie potraćić żadnego ze stosów papierzysek.

- I zanim nas wszystkich" doprowadzisz do szału swoim zachowaniem - dodała.

Skinął głową.

- Może masz rację.

Wyszczrzyła zęby. Znów była sobą - June, którą znał i szczerze kochał.

- Nie może, tylko na pewno. - Wskazała na telefon.

- Zarezerwuj sobie bilet do Minneapolis i pokaż Kristi-
kcie, jaki świetny z ciebie facet.

Zadowolona, że udało jej się przekonać Maxa, wyszła z gabinetu. Tuż za drzwiami natknęła się na Sama, który pokiwał z aprobatą głową. Popatrzyła na niego pytająco.

- Drzwi były otwarte - oznajmił. - Słyszałem, co mówiłaś. Wzruszająca historia.

June rozciągnęła wargi w uśmiechu.

- Prawda?

Sam zmrużył oczy. Czyżby...? Przyjrzał się jej uważnie. Do diabła, przecież o mało nie uronił łyży!

- Chcesz powiedzieć, że nic takiego się nie wydarzyło?

- To moja słodka tajemnica - stwierdziła June. Po chwili znikła mu z oczu.

Sam roześmiał się cicho. Co za kobieta!

- Panno Fortune...

Kristina siedziała przy biurku, pocierając skronie. Głowa pękała jej z bólu. Przedwczoraj, wczoraj i dziś od nowa. Właściwie codziennie, odkąd wróciła z La Jolli.

Matka nalegała, żeby zrobiła sobie tomografię komputerową. Ale zdjęcie nic nie wykazało, podobnie jak wcześniejsze badania, którym poddano ją po upadku w La Jolli. Fizycznie nic jej nie dolegało. Oczywiście, najlepszym lekarstwem na wszelkie bóle byłaby kolejna amnezja, która pozwoliłaby jej zapomnieć o tym przy stojnym draniu z pensjonatu.

Starając się ukryć irytację, popatrzyła na stojącą w drzwiach sekretarkę.

- Słucham, Jennifer?

Sekretarka zerknęła niepewnie przez ramię. Ponieważ zawsze odznaczała się dużym opanowaniem, jej zachowanie zdziwiło Kristinę.

- Przyszedł jakiś człowiek. Mówi, że musi się z panią zobaczyć.

Kristina zerknęła do terminarza. Z nikim nie była umówiona, natomiast najdalej za czterdzieści minut musiała podjąć decyzję w sprawie reklamy nowego zapachu.

- Powiedz mu, że nie mam w tej chwili czasu. Jeśli chce się ze mną widzieć, musi poczekać.

- Niech jej pani powie, że czekam od ponad dwóch tygodni i nie zamierzam czekać ani minuty dłużej - oznajmił Max, odsuwając sekretarkę na bok.

Kristina otworzyła szeroko oczy. Ogarnęła ją nieopisana radość, ale natychmiast zdusiła w sobie to uczucie. Miała nadzieję, że Max niczego nie zauważył.

Jennifer zaś patrzyła na niego takim wzrokiem, jakby był King Kongiem, który oswobodziwszy się z więzów, zamierzał porwać jej szefową i wdrapać się z nią na Empire State.

- Panno Fortune, czy mam wezwać ochronę? - spytała.

Kristina podniosła się z fotela.

- Nie trzeba, Jennifer. Sama sobie poradzę.

Wyglądała naprawdę bosko. Miał ochotę chwycić ją w ramiona, tulić, całować.

- Tak sądzisz, Kris? - Podszedł do niej powolnym krokiem, niczym pantera szykująca się do skoku na swą ofiarę. - Bo moim zdaniem ucieczka to kiepski sposób radzenia sobie z czymkolwiek.

Zacisnęła dłonie w pięści. Nie, wcale nie ma wilgotnych rąk; tylko jej się tak wydają.

- Możesz odejść, Jennifer - zwróciła się do sekretarki.

Tego tylko brakuje, żeby całe biuro znało wszystkie szczegóły z jej życia prywatnego. Kiedy drzwi się zamknęły, wbiła oczy w Maxa.

- Jakim prawem wdzierasz się tu i urządzasz scenę?

Wahał się, czy nie uprzedzić jej telefonicznie o swojej

wizycie, ale uznał, że lepsza będzie niespodzianka. Zre-sztą nie miał czasu ani ochoty bawić się w dżentelmena. Oparł się biodrem o biurko, starając się przybrać swo-bodną pozę.

- Przywiozłem ci prezent. - Położył na biurku karty kredytowe, które pierwszego dnia po upadku zabrał jej z portfela.

Nawet ich nie tknęła.

- Mam nowe - odparła. Czy naprawdę sądzi, że po tym, jak się zachował, może ni stąd, ni zowąd wtargnąć w jej życie? Zmrużyła oczy. - Wracaj do siebie, Cooper.

Jego twarz rozświetlił uśmiech, ciepły i przyjazny ni-czym słońce, które opromienia poranny krajobraz.

- Wrócę, ale tylko z tobą.

Co z tupet!

- Wrócisz sam.

Uniósł brwi.

- Chcesz się założyć? Właśnie spędziłem trzy godziny zamknięty w małej metalowej puszcze setki metrów nad ziemią. Drugi raz do czegoś takiego nie wsiądę, chyba że ktoś mnie będzie trzymał za rękę. - Włożył palce w szlufki. - Pomyślałem sobie, że tą osobą będziesz ty.

Nie wierzyła własnym uszom. Przez moment korciło ją, aby wezwać ochronę, ale w końcu zrezygnowała z po-mysłu.

- Mam pracę. Zajmuję kierownicze stanowisko.

Nie potrafił się dłużej oprzeć. Pochylił się i odgarnął jej z twarzy luźny kosmyk włosów.

- Wolałem cię taką, jaką byłaś w La Jolli.

Odsunęła się.

- Tak, wolałeś bezwolną marionetkę, której mogłeś rozkazywać.

- Czy naprawdę tak robiłem, Kris? - Głos miał niski, zmysłowy. - Czy zmuszałem cię do czegokolwiek, na co sama nie miałabyś ochoty?

- Wmówiłeś mi, że jestem pokojówką.

Obiecał sobie, że nie straci cierpliwości. Zresztą nie powinien się dziwić jej rozdrażnieniu.

- Już o tym rozmawialiśmy. Poza tym żadna praca nie hańbi. A ty swoją wykonywałaś znacznie lepiej, niż ktokolwiek by przypuszczał. - Omiótł ją spojrzeniem. - Byłaś... jesteś doskonała.

Poczuła, jak cała płonie. Boże, chyba zwariowała!

- To ma być komplement?

Przejechał ręką włosy. Podczas lotu dziesiątki razy odbywał w myślach tę rozmowę; za każdym razem natykał się na mur niechęci.

- Nie, Kris. To prośba, żebyś mi wybaczyła. Chcesz, żebym się przed tobą płaszczył?

- Czemu nie?

Ujął ją za rękę.

- Kris, wróć ze mną. Proszę cię.

Przez moment patrzyła na niego oszołomiona, potem ze złością wyrwała rękę.

- Po co? - spytała. - Jak wiesz, nie jestem już współwłaścicielką „Rosy”.

Odwróciwszy się plecami, zaczęła zgarniać z biurka materiały reklamowe. Nie miała czasu na czcze rozmowy; musi się przygotować do prezentacji.

Stanął naprzeciwko niej.

- Ale możesz być.

O czym on, do licha, mówi? Mimo protestów ojca scedowała na Maxa swoje prawo własności.

- Jak? Przecież...

- W Kalifornii mąż i żona dzielą się wszystkim po równo.

- I co to ma wspólnego z nami?

Ponownie zacisnęła dłonie na jej rękach. Częściowo po to, by mu nie uciekła, a częściowo, by niczym w niego nie rzuciła.

- Wszystko. Wyjdź za mnie, Kris. Z „Rosy” stworzymy hotelik dla zakochanych, tak jak chciałaś od samego początku.

O nie, już więcej nie da się nabrać. Oswobodziwszy ręce, znów zaczęła przeglądać papiery na biurku.

- Twórz sobie co chcesz, ale z kim innym.

Obrócił ją twarzą do siebie.

- Nie mogę. Nic nie mogę, bo bez przerwy myślę o tobie. - Kiepsko mu szło sumitowanie, się, może dlatego, że nie miał w tym zbyt dużej wprawy. - Przepraszam, że cię okłamałem. Zrobiłem to pod wpływem impulsu, a potem nie umiałem się z tego wyplątać. Brnąłem coraz dalej... - Musi ją przekonać! Sprawić, aby zrozumiała i mu wybaczyła! - Chciałem wyjawić ci prawdę. Próbowałem.

Mimo wszystko pragnęła mu zaufać. A jednocześnie była zła na siebie; człowiek powinien uczyć się na błędach, a ona...

- Kiedy? - spytała chłodno.

- Wiele razy. Ale za każdym razem myślałem o two-

jej reakcji. Właśnie takiej. - Tego się najbardziej obawiał: że Kristina wyjedzie, że wróci do swojego poprzedniego życia, do eleganckiego biura, mebli z hebanu, abstrakcyjnych obrazów na ścianach. I tak też się stało. - Bałem się ryzyka. Nie chciałem cię utracić.

- Mam ci uwierzyć?

Nie spuszczał z niej oczu. Szukał w jej twarzy przebaczenia.

- Tak.

Uniosła dumnie brodę.

- Niby dlaczego? - spytała.

A w duchu modliła się: Przekonaj **mnie, Max. Spraw**, abym ci uwierzyła.

- Bo to prawda.

- Udowodnij.

Czego się spodziewała? Na co liczyła?

- Jak? Mam ci przynieść złożone w obecności prawnika oświadczenie, że... E, do diabła z tym!

Zgarnął Kris w ramiona i przywarł ustami do jej ust. Całował ją długo i namiętnie, dając upust emocjom, które tłumził w sobie ponad dwa tygodnie. Kiedy ją puścił, nogi miała jak z waty, a świat wirował jej przed oczami.

- I to ma mnie przekonać? - spytała drżącym głosem.

- Mnie przekonało. Wróć ze mną, Kris. Daj mi jeszcze jedną szansę. Wszyscy za tobą tęsknią.

- Akurat! - burknęła. Za kogo on ją ma?

- Słowo honoru. Dlaczego tak trudno ci w to uwierzyć?

- Bo mnie okłamywali.

- Postaraj się zapomnieć...

- Nie mogę. - Po chwili wahania uznała, że powie mu prawdę. Może wtedy zostawi ją w spokoju. - Zależało mi na tobie... - zaczęła, ale urwała, widząc wielki, radosny uśmiech na jego twarzy. - Nie rób takiej zadowolonej miny. Byłam głupia i naiwna. Zachowałam się jak idiotka...

- Kiedy? Kiedy zachowałam się jak idiotka?

- Gdy... no... No wiesz. - Czy naprawdę nie mógł jej oszczędzić zakłopotania?

- Nie, nie wiem.

- Kiedy... no... kiedy próbowałam cię uwieść - syknęła poprzez zęby.

- A ja nie reagowałam na twoje wdzięki?

Zbliżył się o krok.

- No właśnie...

- Nigdy nie zastanawiałaś się, dlaczego nie reaguję? Chryste, czy musi ją tak poniżać?

- Bo cię nie pociągałam.

- Aha, i dlatego, tu przyjechałam, tak? Bo mnie nie pociągasz? - Trudno się z nią rozmawiało. - Zrozum, Kris, nie reagowałam, bo pozbawiona pamięci byłaś w pewnym sensie kaleką. Nie chciałem cię wykorzystywać.

Dobre sobie! Chyba nie myślał, że uwierzy w tę bajeczkę?

- Więc dlaczego w końcu uległeś?

- Bo nie mogłem dłużej wytrzymać. Pragnąłem cię bardziej niż czegokolwiek na świecie. I pragnę. Czy dalej masz zamiar mi się opierać?

Strasznie namieszał jej w głowie, a ona lubiła jasne sytuacje. Zaczęła krążyć po pokoju.

- Ja...

- W porządku. Nie będziemy, dalej dyskutować. -
Chwycił ją w ramiona. - Po prostu zabieram cię z sobą,
czy ci się to podoba, czy nie.

Nieświadoma tego, co czyni, zarzuciła mu ręce na szyję.

- I nie mam w tej sprawie nic do powiedzenia?

- Możesz powiedzieć: Dobrze, kochany.

Dobrze, kochany.

- Mogę cię oskarżyć o porwanie.

- Zaryzykuję. - Pocałował ją w czubek nosa.

- Dlaczego?

- Bo cię kocham.

Zaskoczyło ją jego wyznanie. Wzruszona i uszczęśliwiona, przytuliła się mocniej.

- Kochasz mnie?

Parsknął śmiechem.

- Nie słuchałaś, co mówię? Że zostawiłem pensjonat
w środku remontu, a firmę na głowie Paula tylko po to,
żeby przyjechać po ciebie i zabrać cię z powrotem? Wię-
kszość ludzi odczytałaby to dość jednoznacznie.

Nic do niej nie trafiało.

- Kochasz mnie? - powtórzyła.

- Kocham. Na śmierć i życie.

Miała wrażenie, że śni.

- I chcesz się ze mną ożenić?

- No, nareszcie zaczynasz co nieco kojarzyć! - za-
wołał ze śmiechem.

W tym momencie rozległ się przenikliwy dzwonek in-
terkomu. Max rozluźnił uścisk, aby Kristina mogła wcis-
nąć przycisk.

- Tak, Jennifer?

Głos sekretarki wypełnił pokój.

- Czy wszystko w porządku, panno Fortune?

- Tak. Proszę mnie z nikim nie łączyć. - Popatrzyła w oczy Maxa. - Przez kilka najbliższych godzin.

Sekretarka chciała jej przypomnieć o zebraniu, ale Kris rozłączyła się.

- Na czym to skończyliśmy?

- Zaraz ci pokażę. - Przytulił ją do siebie mocniej.

- O, na tym... - Wyszczrzył w uśmiechu zęby. - Jeśli kiedykolwiek o czymś zapomnisz, po prostu mnie spytaj. Zawsze ci pomogę.

Była to obietnica, której zamierzał dotrzymać.

EPILOG

Pokój, choć rzadko używany, był duży, toteż mógł pomieścić wiele osób. Przez pewien czas Sterling nawet wahał się, czy nie poprosić członków licznej rodziny Fortune'ów o przybycie do rezydencji nad jeziorem Travis, uznał jednak, że lepsze będzie miejsce neutralne.

Doszedł też do wniosku, że właśnie tu, w jego domu, powinna zamieszkać Kate. Była nie tylko kobietą dzierżącą ogromną władzę, ale również kobietą niezwykle czułą, wrażliwą i potrzebującą opieki.

On zaś pragnął jej tę opiekę zapewnić.

Skontaktował się więc z wszystkimi Fortune'ami - telefonicznie, listownie, telegraficznie - i poprosił ich, a raczej polecił im, aby określonego dnia o określonej godzinie stawili się w wyznaczonym miejscu.

Uśmiechnął się pod nosem. Tak, pomysł był trochę jak ze staroświeckiej powieści kryminalnej, w której detektyw zbiera wszystkich bohaterów, aby przedstawić im rozwiązanie zagadki, ale co tam! Liczy się to, czego chce Kate, a ona chce się ujawnić. Skoro Jake wie, że ocalała z katastrofy, pragnęła powiadomić resztę rodziny. Uważała, że tak będzie sprawiedliwiej.

Podobnie jak inni, Kristina nie miała pojęcia, dlaczego Sterling prosił ją o przybycie, ale wkrótce jej zdziwienie zastąpiła radość. Cieszyła się na widok tylu kochanych twarzy. Po krótkiej przygodzie, kiedy to żyła w terażniejszości, w świecie bez wspomnień, świadomość, że nie jest sama, że może liczyć na pomoc rodziny, sprawiała jej ogromną satysfakcję.

Odzyskanie pamięci nie wpłynęło na trzeźwość jej sądów. Wiedziała, że ten ma takie wady, a tamten inne, lecz właśnie za te wady ich kochała. Różne słabostki i ułomności czynią ludzi bardziej... no, ludzkimi.

Była szczęśliwa. Stała, trzymając Maxa za rękę i uśmiechała się szeroko.

Odkąd wprowadził ich do środka małomówny, nie rzucający się w oczy człowiek, który przypuszczalnie był lokajem, Max czuł się coraz bardziej nieswojo. W pewnej chwili zerknął na stojącego przy kominku mężczyznę o posępnym wyrazie twarzy. Na mężczyznę, który -jeśli wszystko dobrze pójdzie - wkrótce zostanie jego teściem. Mina faceta nie była zbyt zachęcająca.

- Więcej tu osób niż śpiewaków w mormońskim chórze - szepnął Kristinie na ucho. - Na pewno jesteście wszyscy spokrewnieni?

Własną rodzinę mógłby policzyć na palcach jednej ręki - i jeszcze kilka palców miałby wolnych.

Kris skinęła głową.

- Tak, chociaż różne łączą nas stopnie pokrewieństwa.

Z drugiego końca pokoju przyglądała im się Rebeka. Uważała, że wyglądają uroczo, jak dwoje zakochanych

nastolatków, którzy świata poza sobą nie widzą. Obserwując ich, też zapragnęła dzielić z kimś życie.

Będę musiała go sobie stworzyć, pomyślała. Tak, może w następnej powieści powoła do życia przystojnego, dowcipnego bohatera, w którym mogłaby się zakochać. Bohatera, który z wyglądu będzie przypominał...

Nie! Czym prędzej odrzuciła tę myśl. Zresztą z fikcyjnym bohaterem nie mogłaby mieć dziecka, a coraz bardziej zazdrościła Caroline ślicznej małej Katie.

Przecisnąwszy się przez tłum, dotarła do Kristiny i Maxa.

- O czym tak szepczecie?

Odpowiedział jej Nate, który przestępował z nogi na nogę i spoglądał niecierpliwie na drzwi.

- Może wiedzą, po co nas Sterling wezwał? - Skrzywił się niezadowolony. - Najpierw wszystkich tu ściąga, a potem sam znika. Jak Houdini. - Rozejrzył się po zebranych. - Mam ciekawsze rzeczy do roboty, niż sterzeć tu beczynnę.

- Tak, kochanie. - Barbara Fortune poklepała męża po ramieniu i mrugnęła porozumiewawczo do córki. - Wiemy, jakim jesteś zajęтым człowiekiem.

- I szczęśliwym - dodała Rebeka, patrząc pytająco na brata.

Nate przycisnął rękę żony do serca i uśmiechnął się. Barbara była jego portem i przystanią.

- Bezgranicznie - przyznał.

Zach Bolton czuł się w tym tłumie całkiem zagubiony. Łatwiej mu było zrozumieć zmiany, jakie zaszły w świecie w ciągu ostatnich stu lat, niż połączyć się w koliga-

cjach rodzinnych swojej ukochanej Jane. Przed przyjazdem Jane cierpliwie pokazywała mu zdjęcia członków rodziny, tłumaczyła, kto jest kim i czym się zajmuje, ale wszystko mu się pomieszało.

Kiedy w drzwiach pojawiła się kolejna para, był bliski załamania.

- A ci nowi to kto? - zwrócił się do Jane.

Popatrzyła na niego zakochanym wzrokiem.

- Chodź, przedstawię was sobie. Zach, to jest Kristina Fortune, moja siostra przyrodnia. A to... - Urwała, bo sama się pogubiła.

Nie czekając, aż Kris dokona prezentacji, Max wyciągnął rękę do obcego mężczyzny. Z miejsca wyczuł w nim bratnią duszę.

- Jestem Max Cooper - powiedział.

Jego nazwisko wydało się Jane znajome. Zerknęła na Kristinę, usiłując sobie przypomnieć, co ojciec mówił o Cooperze.

- Wspólnik Kristiny, tak? - spytała.

Kris z Maxem wymienili rozbawione spojrzenia.

- Wspólnik na życie - wyjaśnił Max. - Przynajmniej taką mam nadzieję.

Wspólnik na całą wieczność, dodała w myślach Kristina.

Nim się zorientowali, wszyscy wkoło zaczęli ich ścisnąć, poklepywać, gratulować im i życzyć szczęścia.

- Co, ślub?

- Wspaniale! Wszystkiego najlepszego!

- Witaj w rodzinie, Max.

- Dlaczego nic mi nie powiedzieliście?

Jak miło być akceptowanym, pomyślał Max. Nawet

nie zdawał sobie sprawy, że cały czas wstrzymywał oddech, niepewny, jak zostanie przyjęty. Miłość Kristiny była rzeczą najważniejszą,) ale błogosławieństwo [jej rodziny też się liczyło.

Nagle poczuł, jak ktoś zaciska rękę na jego ramieniu. Odwróciwszy się, ujrzał za sobą mężczyznę o twarzy ogorzałej od słońca i wiatru.

- No, nareszcie! Bałem się, że nie znajdzie się nikt na tyle silny i odważny, żeby poradzić sobie z moją małą siostrzyczką! - Grant McClure porwał Kristinę w objęcia. Ponad jej głową uśmiechnął się przyjaźnie do Maxa.
- Witaj w wariatkowie, bracie!

Bracie. Jak to sympatycznie zabrzmiało.

- Czy dlatego Sterling nas tu ściągnął? - spytał Michael, który następny po Grancie gratulował Maxowi i Kristinie. - Żeby powiadomić nas o waszym ślubie?

Wprawdzie takie zachowanie nie pasowało do Sterlinga, ale nigdy nic nie wiadomo.

- Nie żartuj. - Kristina pocałowała go w policzek, po czym uściśnęła Kyle'a. - Sterling o niczym nie wie.
- Popatrzyła przepraszająco na matkę; zamierzała jej pierwszej przekazać radosną nowinę. - Właściwie do tej pory nikt o niczym nie wiedział.

- O wilku mowa - mruknął Kyle, wskazując na drzwi.

Wszyscy kolejno odwrócili głowę. Gratulacje: ustały, śmiech ucichł; w pokoju zapadła głęboka cisza.

Na progu stał Sterling Foster. Wargi miał zaciśnięte, wyraz twarzy nieprzenikniony, Nie bez powodu był nie tylko świetnym prawnikiem, lecz i doskonałym pokerzystą.

Allie, jedna z sióstr bliźniaczek, zadała pytanie, które wszystkim cisnęło się na usta:

- Czy chodzi o tatę?

Rafe objął żonę, chcąc dodać jej otuchy. Bliźniaczka Allie, Rocky, postąpiła krok do przodu. Jej mąż Luke położył rękę na jej ramieniu, żeby ją powstrzymać.

- No gadajże, człowieku! - zdenerwował się Nate.
- Nie baw się z nami w kotka i myszkę. Po co nas tu wezwałeś? Żeby powiedzieć nam coś o Jake'u?

- Nie, rzecz nie dotyczy Jake'a - odparł Sterling. - Przynajmniej nie bezpośrednio.

- A pośrednio? - spytał Adam, który dopiero niedawno pogodził się z ojcem i nie chciał, aby cokolwiek znów im stanęło na drodze do pełnego porozumienia.

Podobnie jak inni, on też trzymał za rękę kobietę, którą kochał. Laura nic nie mówiła, ale czuł, że go wspiera.

- W pewnym sensie.

Takie spotkanie rodzinne nie było pomysłem Sterlinga, jednakże nigdy nie potrafił odmówić Kate, kiedy czegoś chciała, a chciała wszystkich jednocześnie powiadomić o tym, że nie zginęła w katastrofie.

Obserwując wysokiego, chudego prawnika, Natalie nagle uświadomiła sobie, że on się męczy. Coś w jego ruchach, w całej postawie, świadczyło o tym, że wolałby teraz być gdzie indziej. Poczowała straszliwy ucisk w sercu. Najwidoczniej Sterling miał im do przekazania jakąś porażającą wiadomość.

- No mów. - Położyła dłoń na jego ramieniu. - W jakim sensie?

Wziął głęboki oddech.

- Kate... - zaczął.

Rebeka przecisnęła się na przód.

- Znalazłeś zabójcę mamy?

Dalsze czekanie znużyło Kate; już stanowczo zbyt długo się ukrywała.

- Nie - oznajmiła, wychodząc z biblioteki. Na widok zgromadzonej w pokoju rodziny poczuła dreszcz podniecenia. - Znalazł mamę.

Nikt się nie odezwał, nikt się nie poruszył. Wyglądali jak postaci na obrazie uwiecznione w chwili przeżywania szoku.

Pierwsza ocknęła się Rebeka. Wpatrując się z niedowierzaniem w wysoką kobietę o kasztanowych włosach, spytała cicho:

- Mama?

Powiedziała to szeptem, choć wydawało się jej, że wydziera się na całe gardło. Bała się drgnąć, zupełnie jakby najłżejszy ruch powietrza mógł spowodować, że jej ukochana matka zniknie, że rozwieje się niczym dym.

Kate powiodła wzrokiem po ludziach, których kochała bezgranicznie. Bez których nie wyobrażała sobie życia.

- Tak - odparła głosem równie cichym i słabym jak głos jej córki. - To ja.

- Ale jak...? - Lindsay nie potrafiła znaleźć słów, aby dokończyć pytanie.

Stojąca najbliżej zjawy Kristina wyciągnęła rękę. Kiedy poczuła, że dłoń o długich, arystokratycznych palcach jest ciepła, oczy zaszyły jej łzami. Po chwili rzuciła się w ramiona babki.

- Boże, ty żyjesz! 4 zawołała przez łzy.

Kate przytuliła wnuczkę.

- Tak, kochanie. Żyję - szepnęła, całując ją w głowę.

Dopiero wtedy wszyscy ruszyli na powitanie osoby, którą tak długo uważali za zmarłą i której tak bardzo im brakowało. Ciszę wypełniły okrzyki radości, zdziwienia oraz dziesiątki pytań.

Sterling usunął się na bok, pozwalając Kate nacieszyć się bliskimi. Ze wzruszeniem i lekkim rozbawieniem patrzył na scenę powitania. Królowa wróciła na łono rodziny, by zająć należne jej miejsce i znów niepodzielnie władać.

Od chwili, gdy po raz pierwszy ujrzał Kate na oczy, nazywał ją w myślach królową. Uświadomił sobie, co to oznacza: że kocha ją. Do szaleństwa. W dodatku że pokochał tamtego pierwszego dnia przed dziesiątkami lat. Parę minut temu słyszał, jak Kristina i jej przyjaciel ogłaszają, że zamierzają się pobrać. Uśmiechnął się: nie wyjedni. Ale on może poczekać ze ślubem. Jest cierpliwy. Kate potrzebuje czasu, aby pobyć ze swoją rodziną.

Nawet nie zdawała sobie sprawy, jak strasznie za nimi tęskniła. Jak mocno ich kochała. Przez prawie dwa lata żyła w ukryciu, lecz jakby na obrzeżach ich życia; od czasu do czasu słyszała czyjś głos, śmiech, widziała czyjąś twarz, ale to wszystko. Teraz rozpierała ją radość.

- Nie ma większego szczęścia - szepnęła, głaszcząc i Reбекę po włosach - niż odnaleźć skarb, o którym sądziło się, że przepadł na zawsze.

Nate z trudem panował nad wzruszeniem.

- To samo możemy powiedzieć o tobie, mamó - rzekł.

Czuł się jak mały chłopiec, który nie chce puścić mat-

czynej spódnicy, by się nie zgubić. Albo by ona, matka, mu się nie zgubiła. Bo taki był przez te dwa lata, kiedy jej zabrakło - zagubiony, niepewny drogi, którą kroczy.

Odchrząknął, przełykając łzy. Chciał uzyskać jakieś wyjaśnienie.

- Gdzie byłaś przez ten cały czas? Dlaczego się przed nami ukrywałaś?

Zadając pytania, patrzył na Sterlinga. Nie winił matki. Kate nie miała łatwego charakteru, była osobą upartą, ciężko doświadczoną przez życie, ale okrucieństwo nie leżało w jej naturze. Nie narażałaby rodziny na cierpienie i ból.

Prawnik postanowił stawić czoło wyzwaniu. Wziął głęboki oddech, ale zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, Kate potrząsnęła głową. Sama chciała udzielić najbliższym odpowiedzi.

- Katastrofa samolotu nie była nieszczęśliwym wypadkiem. Ktoś chciał mnie zabić. - Powiodła spojrzeniem po rodzinie. Ktoś, ale nie wy, pomyślała; nareszcie wiem, że to nie było żadne z was. - Uznałam, że jeśli ten drań dowie się, że mu się nie powiodło, spróbuje po raz drugi. Albo będzie starał się was skrzywdzić. Nie chciałam ciągle oglądać się przez ramię, zastanawiać, czy osoba, która za mną idzie, to przyjaciel czy wróg, więc udawałam martwą.

- Przed nami również - stwierdził gorzko Nate.

Cieszył się, że matka żyje, ale miał do niej żal. Jak mogła tak postąpić, oszukiwać własne dzieci...?

Barbara ścisnęła męża za rękę, usiłując temperować jego złość.

- Ale dlaczego...

Nie dokończyła, bo Lindsay odsunęła ją na bok.

-! Nieważne dlaczego - powiedziała, tuląc matkę. - Ja się po prostu cieszę, że znów jesteście z nami.

- Ojej, trzeba powiadomić Jake'a! - zawołała Erica.

- Jake wie - oznajmiła Kate. - Jego pierwszego poinformowałam.

- Pierwszego? - zdumiał się Nate.

Rebeka ujrzała zazdrość na twarzy brata. O nie, pomyślała, nie czas na pretensje, zawiść czy współzawodnictwo.

- Trzeba uczcić powrót mamy - oznajmiła, patrząc wyczekująco na Sterlinga.

- Absolutnie - poparł ją prawnik. Zauważył, że szok i zdziwienie na twarzach obecnych powoli ustępują miejsca radości i uldze. - W jadalni czeka zmrożony szampan. Zapraszam!

Podszedł do Kate i podał jej ramię, a ona, śmiejąc się wesoło, skinęła w podzięcie głową.

- Jesteś niesamowity, Sterling. Myślisz o wszystkim.

- Muszę. Żeby zawsze być pół kroku przed tobą.

- Oj, chyba za mną? - spytała, z całej siły starając się zachować powagę.

- Idziecie równo krok w krok - stwierdziła przysłuchująca się ich rozmowie Kristina.

Oboje chętnie zaakceptowali to rozwiązanie.

- Równo. Krok w krok - powtórzyła cicho Kate.

W tak wyszli do jadalni. Równo, krok w krok.

Drogie Czytelniczki!

Przeczytałyście właśnie przedostatni tom
Dzieci Szczęścia i być może utwierdziłyście się
po **tej** lekturze w przekonaniu, że człowiek naprawdę
jest w stanie zmienić niektóre cechy swego charakteru!

Potrzeba do tego tylko trochę miłości
i zaufania bliskiej osoby...

Poznałyście już także losy samej Kate,
która wreszcie *ujawniła się rodzinie*
i wyjaśniła przyczyny swej długiej nieobecności.

W czerwcu ukaże się **Marzycielka**,
w której Jennifer Greene opowie Wam
o ostatniej z wnuczek Kate,
samotnej pisarce Rebecce.